

# Mężczyzna w brązowym garniturze

(tłum. Beata Długajczyk)

**Tytuł oryginału: „The Man in the Brown Suit”**

## PROLOG

Nadina, rosyjska tancerka, która szturmem zdobyła Paryż, stała teraz w burzy niemilkających oklasków i kłaniała się rozentuzjasmowanej publiczności. Mrużyła przy tym swoje wąskie, czarne oczy i unosiła w górę kąciki szkarłatnych, mocno zaciśniętych warg. Brawa zachwyconych Francuzów nie umilkły nawet wówczas, gdy kurtyna opadła z szelestem, zakrywając wyszukaną dekorację w odcieniach czerwieni, błękitu i purpury. Tancerka, spowita w zwoje niebieskich i pomarańczowych draperii, opuściła scenę. Brodaty impresario z zapalem chwycił ją w ramiona.

- Wspaniale, petite, po prostu wspaniale - wykrzykiwał. - Dzisiejszego wieczoru przesłaś samą siebie. - Z galanterią ucałował ją w oba policzki.

Nadina, przyzwyczajona do hołdów, przyjęła ten gest dość obojętnie. Garderobę artystki wypełniały niedbale poustawiane bukiety okazałych kwiatów, na wieszakach wisiały wyszukane kostiumy o futurystycznym kroju. Gorące powietrze przesycone było wonią kwiatów, duszącym zapachem perfum i innych pachnideł. Garderobiana Jeanne podbiegła do swojej pani, zasypując ją pochlebstwami. Ten potok wymowy przerwało pukanie do drzwi. Jeanne poszła otworzyć i po chwili wróciła z wizytówką w dłoni.

- Madame, czy pani przyjmie?

Tancerka niechętnie wyciągnęła rękę, gdy jednak przeczytała „hrabia Sergiusz Pawłowicz”, ożywiła się wyraźnie.

- Tak, przyjmę go. Jeanne, szybko, mój złocisty peniuar. Gdy hrabia wejdzie, możesz odejść.

- Bien, madame.

Jeanne podała peniuar, delikatny zwój szyfonu w kolorze dojrzałej kukurydzy, ozdobiony gronostajem. Nadina narzuciła go na ramiona i usiadła, uśmiechając się do siebie, podczas gdy jej długie palce wystukiwały powolny rytm na szklance stojącej na toaletce.

Hrabia wszedł niemal natychmiast, skwapliwie korzystając z przywileju, jakiego mu udzielono. Był średniego wzrostu, bardzo szczupły, bardzo elegancki i bardzo blady. Sprawiał wrażenie znudzonego. Właściwie gdyby nie jego wyszukane maniery, byłby postacią zupełnie bezbarwną, nie zwracającą większej uwagi. Teraz pochylił się nad ręką tancerki z wystudiowaną uprzejmością.

- Madame, to dla mnie wielka przyjemność.

Tyle tylko udało się usłyszeć Jeanne, zanim opuściła garderobę. W uśmiechu Nadiny pojawiła się subtelna zmiana.

- Jesteśmy wprawdzie rodakami, ale nie przypuszczam, abyśmy chcieli rozmawiać po rosyjsku - zauważyła.

- Zwłaszcza że żadne z nas nie zna ani słowa w tym języku - odparł jej gość.

Dalsza rozmowa toczyła się po angielsku. Bez wątpienia był to ojczysty język hrabiego. Gość tancerki zapomniał też jakby o swoich wyszukanych manierach. W rzeczywistości hrabia zaczynał karierę w londyńskim music-hallu.

- Odniosłaś dzisiaj wielki sukces - zaczął. - Przyjmij gratulacje.

- Mimo to nie jestem spokojna - odparła tancerka. - Moja pozycja nie jest już taka jak niegdyś. Te wszystkie pogłoski, jakie zrodziły się podczas wojny, nigdy naprawdę nie ucichły. Jestem pod stałą obserwacją.

- Ale przecież nigdy nie oskarżono cię o szpiegostwo.

- Plany, jakie zwykle układa nasz szef, są zbyt dobre, aby to kiedykolwiek miało nastąpić.

- A więc za zdrowie Pułkownika - powiedział hrabia uśmiechając się. - Jednak czy to nie zdumiewające, że Pułkownik wybiera się na emeryturę? Na emeryturę! Zupełnie niczym lekarz, rzeźnik, hydraulik czy...

- Czy też biznesmen - dokończyła Nadina. - Właściwie nie powinniśmy się temu dziwić. Przecież Pułkownik jest właśnie biznesmenem. Kieruje zbrodnią, tak jak ktoś inny kierowałby fabryką obuwia. Nie angażując się w nic osobiście, zaplanował i zrealizował cały szereg przestępstw, i to we wszystkich dziedzinach swojej... hm... profesji. Kradzieże kosztowności, fałszerstwa, szpiegostwo, bardzo opłacalne w czasie wojny, sabotaż, dyskretne zabójstwa. Doprawdy niewiele znam spraw, których by się nie podejmował. A najmądrzejsze jest to, że wie, kiedy skończyć. Gra zaczyna być zbyt niebezpieczna? Więc dobrze, wycofuję się na emeryturę - i to z ogromną fortuną.

- Hm, dla nas natomiast jest to raczej denerwujące - powiedział hrabia z pewnym powątpiewaniem. - Zostajemy bez zajęcia.

- Musisz przyznać, że do tej pory byliśmy sowicie opłacani.

Szyderczy ton w głosie Nadiny sprawił, że hrabia popatrzył na nią ostro. Tancerka uśmiechała się do siebie. Hrabia poczuł się zaintrygowany, jednak kontynuował dyplomatycznie.

- O tak, Pułkownik miał hojną rękę. Temu zresztą zawdzięcza większość swoich sukcesów. Temu oraz umiejętności znalezienia zawsze odpowiedniego kozła ofiarnego. Tak, Pułkownik to wielki umysł. Wyznawca zasady „jeśli chcesz zrobić coś bezpiecznie, nigdy nie rób tego osobiście”. Na tym polegała jego metoda. On zawsze dysponował dowodami przeciwko nam, natomiast nikt z nas nie miał nigdy nic na niego.

Zrobił króciutką przerwę, jakby oczekując zaprzeczenia, tancerka jednak siedziała w milczeniu. Na jej wargach igrał tajemniczy uśmiech.

- Nikt z nas - zadumał się hrabia. - A czy ty wiesz, że Pułkownik jest przesądny? Kiedyś, och, dobrych parę lat temu, udał się do wróżki. Przepowiedziała mu, że będzie odnosił w życiu same sukcesy, jednak w końcu wpadnie, i to przez kobietę.

Tancerka popatrzyła na niego z zainteresowaniem.

- Powiadasz, że przez kobietę? To dziwne, bardzo dziwne. Hrabia uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Teraz, kiedy przechodzi w stan spoczynku, pewnie się ożeni. Z jakąś młodą, uroczą damą z towarzystwa, która zacznie wydawać jego miliony o wiele szybciej, niż on je zdobywał.

Nadina potrząsnęła głową.

- Nie, nie, o tym nie może być mowy. Posłuchaj, przyjacielu. Jutro jadę do Londynu.

- A twój kontrakt?

- Będę nieobecna tylko przez jedną noc. Pojadę incognito, niczym członek rodziny królewskiej. Nikt nie będzie wiedział, że opuszczałam Francję. Jak myślisz, dlaczego to robię?

- Z pewnością nie dla przyjemności, zwłaszcza o tej porze roku. Ta obrzydliwa, styczniowa mgła. Masz na widoku jakiś korzystny interes, co?

- Właśnie.

Tancerka podniosła się z miejsca i stanęła przed hrabią. Z każdej linii jej ciała, z każdego gestu biła arogancja i duma.

- Mówiłeś, że nikt z nas nie ma nic na szefa. Myliłeś się. Ja, kobieta, miałam na tyle rozumu i

odwagi - tak, odwagi - by go przechytrzyć. Pamiętasz diamenty De Beerów?

- Coś sobie przypominam. To ta sprawa w Kimberley tuż przed wybuchem wojny? Osobiście nie miałem z tym nic wspólnego i nigdy nie słyszałem o żadnych szczegółach. Z pewnych powodów sprawę zatuszowano, prawda? Zdobycz była niezła.

- Kamienie były warte sto tysięcy funtów. Braliśmy w tym udział we dwójkę - ja i jeszcze ktoś. Oczywiście pod rozkazami Pułkownika. Właśnie wtedy dostrzegłam swoją szansę. Plan zakładał, że diamenty De Beerów zostaną zastąpione diamentami przywiezionymi z Ameryki Południowej przez dwóch eksploatorów, którzy właśnie przyjechali do Kimberley. Oczywiście podejrzenia musiały paść na nich.

- Bardzo mądrze - zaopiniował hrabia tonem pełnym aprobaty.

- Pułkownik zawsze był bardzo mądry. Cóż, wykonałam swoją część zadania, ale zrobiłam coś jeszcze, czego Pułkownik nie przewidywał w swoim planie. Zatrzymałam kilka południowoamerykańskich kamieni. Jeden czy dwa z nich są zupełnie unikalne i łatwo dało się dowiedzieć, że nigdy nie przeszły przez ręce De Beerów. Będąc w posiadaniu tych kamieni, mam jednocześnie bicz na naszego szanownego szefa. Mam też dowód na to, że ci dwaj młodzi ludzie, na których padły podejrzenia, są niewinni. Dotychczas nie zrobiłam żadnego użytku z tej broni, jednak byłam zadowolona, mając ją w zanadrzu. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Teraz zażądam zapłaty i moja cena będzie znaczna. Powiedziałabym, wręcz ogromna.

- Zdumiewające - odezwał się hrabia. - Czy wozisz te diamenty wszędzie ze sobą?

Jego oczy wędrowały dyskretnie po zabałaganionym pomieszczeniu.

Nadina roześmiała się łagodnie.

- Nie, nie. Nic z tego. Nie jestem przecież głupia. Diamenty są bezpiecznie schowane, w miejscu gdzie nikomu by się nie śniło ich szukać.

- Nigdy nie uważałem cię za głupią, moja droga, ale ośmielę się stwierdzić, że sporo ryzykujesz. Pułkownik nie należy do ludzi łatwo ulegających szantażowi.

- Nie boję się go. - Tancerka roześmiała się. - W swoim życiu obawiałam się tylko jednego człowieka, a on już nie żyje.

Hrabia popatrzył na nią zaciekawiony.

- Miejmy nadzieję, że nic nie przywróci go do życia - powiedział lekko.

- Co masz na myśli?! - Nadina niemal krzyknęła.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jego zmartwychwstanie byłoby dla ciebie mocno niewygodne - wyjaśnił. - Taki głupi żart.

Nadina odetchnęła z ulgą.

- Och, on naprawdę nie żyje. Zginął w czasie wojny. Ten mężczyzna kochał mnie kiedyś.

- W Południowej Afryce? - zapytał hrabia lekceważącym tonem.

- Tak, skoro już o to pytasz. W Południowej Afryce.

- Zdaje się, że to twój kraj rodzinny?

Nadina przytaknęła. Jej gość podniósł się z miejsca i sięgnął po kapelusz.

- No dobrze - powiedział - pewnie sama najlepiej wiesz, co robisz, ale ja na twoim miejscu znacznie bardziej obawiałbym się Pułkownika niż jakiegoś zawiedzionego kochanka. Pułkownika łatwo nie docenić.

Roześmiała się pogardliwie.

- Tak mówisz, jakbym przez te wszystkie lata nie zdołała go jeszcze poznać.

- Właśnie się zastanawiam, czy zdołałaś - odparł łagodnie. - Mocno się nad tym zastanawiam.

- Och, przecież nie jestem głupia. I nie działałam sama.

Jutro do Southampton zawija statek z Południowej Afryki. Na jego pokładzie znajduje się człowiek, który przybywa na moje wezwanie i który wypełnia moje polecenia. Pułkownik będzie miał do czynienia i z nim, i ze mną.

- Czy to jest roztropne?

- To niezbędne.

- Jesteś pewna tego człowieka?

Przez twarz tancerki przemknął dziwny uśmiezek.

- Zupełnie pewna. On jest może nieudolny, ale całkowicie godny zaufania. - Urwała, a potem dodała zupełnie innym tonem: - Tak się składa, że to mój mąż.

## I

Wszyscy namawiali mnie, abym opisała tę historię. Nalegali i ci najznamienitsi (na przykład lord Nasby), i ci mniej ważni, jak nasza dawna służąca Emily, którą spotkałam podczas mojego

ostatniego pobytu w Anglii. („Proszę pomyśleć, panienko, jaką przepiękną książkę mogłaby panienska napisać. Przecież ta historia jest zupełnie jak z filmu.”)

Muszę przyznać, że posiadam wszelkie kwalifikacje, aby sprostać temu zadaniu. Byłam zamieszana w całą sprawę od samego początku, przez cały czas znajdowałam się w centrum wydarzeń, wreszcie triumfalnie doprowadziłam ją do końca. Ponadto tak się szczęśliwie złożyło, że te epizody, których nie mogłabym opisać na podstawie własnych przeżyć, doskonale uzupełniają dziennik sir Eustachego Pedlera. Sir Pedler bardzo uprzejmie pozwolił mi wykorzystać swoje zapiski.

A więc do dzieła. Anna Beddingfeld zaczyna opowieść o swoich przygodach.

Zawsze marzyłam o przygodach. Moje życie było tak przeraźliwie, nużąco monotonne. Mój ojciec, profesor Beddingfeld, uchodził za jeden z największych w Anglii autorytetów, jeżeli idzie o człowieka paleolitycznego. Był doprawdy geniuszem, każdy musiał to przyznać. Myślami przebywał ciągle w epoce paleolitu, a fakt, że jego ciało musiało egzystować w czasach współczesnych, był dla niego źródłem wszelkich niedogodności. Papa nie zwracał uwagi na współczesnych, nawet człowiekiem neolitycznym pogardzał, twierdząc, że to zwykły hodowca bydła. Prawdziwy entuzjazm papy wzbudzała dopiero kultura mustierska.

Niestety, nie można się całkowicie uwolnić od człowieka współczesnego. Życie zmusza nas do obcowania zarówno z rzeźnikiem, jak i z piekarzem, mleczarzem oraz sprzedawcą ze sklepu z warzywami.

Moja matka umarła, gdy byłam małym dzieckiem, a mając ojca całkowicie pogrążonego w przeszłości, sama musiałam stawić czoło praktycznej stronie życia. Szczerze mówiąc, nienawidziłam człowieka paleolitycznego, niezależnie od tego, czy reprezentował kulturę oryniacką, mustierską, szelską czy jakąkolwiek inną. Chociaż pomagałam papie w redagowaniu jego wielkiego dzieła. Człowiek neandertalski i jego przodkowie, neandertalczyki napełniali mnie odrazą i fakt, że wymarli tak dawno temu, zawsze uważałam za wyjątkowo szczęśliwą okoliczność.

Pojęcia nie mam, czy papa domyślał się moich uczuć. Prawdopodobnie nie. Zresztą nawet gdyby się domyślał, to i tak nie przywiązywałby do tego najmniejszej wagi. Opinie innych ludzi nigdy go nie interesowały. Myślę, że na tym właśnie polegała jego wielkość. Ojciec żył w całkowitym oderwaniu od codziennych problemów. Przykładowo zjadał to, co przed nim postawiono, jednak fakt, że za żywność się płaci, zawsze zdawał się go zdumiewać. Przez całe życie cierpieliśmy na brak gotówki. Sława ojca nie zaowocowała pieniędzmi. Aczkolwiek był członkiem wszystkich liczących się towarzystw naukowych i opublikował mnóstwo prac, był zupełnie nie znany szerszej publiczności. Grube, mądre książki papy były oczywiście cennymi przyczynkami do sumy ogólnoludzkiej wiedzy, nie stanowiły jednak żadnej atrakcji dla przeciętnego odbiorcy. Raz tylko papie udało się znaleźć w centrum uwagi publicznej. Wygłosił mianowicie odczyt w pewnym towarzystwie naukowym na temat młodych szympanów. Stwierdził wówczas, że młode osobniki z rodzaju ludzkiego posiadają wiele cech małych człekokształtnych, podczas gdy młode szympany wykazują spore podobieństwo do ludzi, o wiele większe niż dorosłe osobniki tego gatunku. To zaś dowodzi, że podczas gdy stopień pokrewieństwa naszych przodków z małpami był znacznie bliższy niż nasz, z szympanami jest wręcz odwrotnie. Przodkowie szympanów reprezentowali wyższy

szczebel rozwoju niż współczesny gatunek tych małp. Innymi słowy, szympansy są degeneratami.

Popularna gazeta „Daily Budget”, bez przerwy goniąca za sensacją, natychmiast to podchwyciła, drukując krzyczące nagłówki: „CZY TO MY POCHODZIMY OD MAŁP, CZY TEŻ MAŁPY OD NAS? ZNANY PROFESOR TWIERDZI, ŻE SZYMPANS TO ZDEGENEROWANY CZŁOWIEK.” Wkrótce pojawił się u papy dziennikarz z propozycją napisania serii popularnych artykułów na ten temat. Rzadko widywałam papę tak rozgniewanego jak wówczas. Bez ceregieli wyrzucił dziennikarza z domu, ku mojemu cichemu żalowi, gdyż akurat w tym momencie szczególnie dotkliwie odczuwaliśmy brak gotówki. Przez chwilę zastanawiałam się nawet, czy nie pobiec za młodym człowiekiem i nie oznajmić mu, że ojciec zmienił zdanie w sprawie artykułów. W rzeczywistości mogłam z powodzeniem napisać je sama, a prawdopodobieństwo, że ojciec się o tym dowie, było niewielkie, gdyż papa nie czytywał „Daily Budget”. Jednak po namyśle odrzuciłam tę pokusę jako zbyt ryzykowną. Natomiast włożyłam swój najlepszy kapelusz i udałam się do wioski na rozmowę z naszym, jakże słusznie poirytowanym, właścicielem sklepiku.

Dziennikarz z „Daily Budget” był jedynym młodym człowiekiem, jaki kiedykolwiek odwiedził nasz dom. Bywało, że zazdrościłam Emily, naszej małej służącej, która zaręczyła się z jakimś marynarzem i spędzała z nim każdą wolną chwilę. Gdy zaś marynarz był nieobecny, chodziła z młodym człowiekiem ze sklepu z warzywami albo z pomocnikiem aptekarza, wszystko zaś po to, „aby nie wyjść z wprawy”, jak zwykła mawiać. Z żalem konstatowałam wtedy, że ja nie mam nikogo, z kim mogłabym „nie wychodzić z wprawy”. Wszyscy przyjaciele papy byli w wieku profesorskim i najczęściej nosili brody. Raz zdarzyło się co prawda, że profesor Paterson z uczuciem przygarnął mnie do siebie, powiedział, że mam „zgrabną, drobną kibić”, i usiłował pocałować. Kibić! W dzisiejszych czasach kobiety nie miewają kibici. Słowo to wyszło z mody już wtedy, gdy leżałam w kołyszce. Profesor Paterson jednak pochodził z zupełnie innej epoki.

Tęskniłam do przygody, do wielkiej miłości, do romantycznych przeżyć, tymczasem skazana byłam na najbardziej prozaiczną egzystencję. Wypożyczalnia książek w naszej wiosce oferowała mnóstwo rozlatujących się na strzępy, tanich powieści. Ich lektura stanowiła dla mnie namiastkę prawdziwej miłości i prawdziwej przygody. Zasypiając marzyłam o silnych, małomównych Rodezyjczykach, o mężczyznach, którzy „kładli swoich wrogów jednym ciosem”. W naszej wiosce nie było doprawdy nikogo, kto chociażby wyglądał na zdolnego położyć swojego wroga, jeśli już nie jednym, to nawet kilkoma ciosami.

Mieliśmy też kino, gdzie co tydzień wyświetlano kolejny odcinek „Pameli w niebezpieczeństwie”. Pamela była nieustraszoną młodą kobietą. Nic nie mogło jej pokonać. Walcząc z przestępcami, skakała z samolotów, pływała łodziami podwodnymi, wspinała się na szczyty drapaczy chmur i nigdy nie spadł jej włos z głowy. Szczerze mówiąc, nie była specjalnie sprytna i za każdym razem wpadała w ręce szefa mafii, temu jednak nawet nie przyszło na myśl, aby pozbyć się jej w najprostszym w świecie sposób, zadając silny cios w głowę. Zamiast tego skazywał ją na śmierć w podziemnej komorze gazowej albo wymyślał jakieś inne skomplikowane metody, tak że przystojny bohater zawsze zdołał ją oswobodzić na początku kolejnego odcinka. Po wyjściu z kina chodziłam z głową w chmurach, a po powrocie do domu zastawałam na przykład list z gazowni grożący odcięciem gazu z powodu nie zapłaconego rachunku.

A jednak - mimo że nie przeczuwałam tego - każda chwila przybliżała mnie do prawdziwej

przygody.

Przypuszczam, że większość ludzi nigdy nie słyszała nawet o wykopaniu w Broken Hill w Rodezji Północnej prehistorycznej czaszki. Pewnego ranka, gdy zesłam na dół, zastałam papę w stanie najwyższego podniecenia. Zaraz też zaczął mi tłumaczyć znaczenie tego znaleziska.

- Czy ty to rozumiesz, Anno? Tak, bez wątpienia są pewne podobieństwa do czaszki z Jawy - ale powierzchowne, zupełnie powierzchowne. Nareszcie dowód na to, co zawsze twierdziłem, a mianowicie, że przodkowie neandertalczyków pochodzili z Afryki. Dlaczego zakładać, że czaszka z Gibraltaru ma być najstarszym znaleziskiem wśród czaszek neandertalskich? Powtarzam, kolebką neandertalczyków była Afryka. Przywędrowali do Europy...

- Nie smaruj śledzia marmoladą, papo. - Łagodnie, ale stanowczo powstrzymałam ojcowską rękę. - A więc co mówiłeś?

- Przywędrowali do Europy...

W tym momencie przerwał, gdyż omal nie zadławił się ością.

- Musimy działać natychmiast - oznajmił, wstając po skończonym posiłku. - Nie mamy chwili do stracenia. Musimy być zaraz na miejscu. Z pewnością w sąsiedztwie znajdują się i inne bezcenne znaleziska. Jestem niezmiernie ciekaw, czy narzędzia będą typowe dla kultury mustierskiej. Pewnie odnajdziemy również szczątki prehistorycznych wołów, lecz nie sądzę, by można tam było spotkać także pozostałości włośchatych nosorożców. Tak, do Rodezji podąży teraz zapewne cała armia paleoantropologów. Musimy tam być pierwsi. Anno, natychmiast pisz do Cooka.

- A co z pieniędzmi, papo? - napomknęłam delikatnie. Ojciec popatrzył na mnie oczyma pełnymi wyrzutu. - Twój punkt widzenia napelnia mnie głębokim smutkiem, moje dziecko. Jak możesz być tak małostkowa? Nie wolno skąpić, gdy w grę wchodzi nauka!

- Obawiam się, że to Cook może okazać się skąpy. Ojciec sprawiał wrażenie zasmuconego.

- Przecież zapłacisz im gotówką.

- Ale my nie mamy pieniędzy. Ojciec był już mocno poirytowany.

- Moje dziecko, nie będę sobie zaprzętał głowy tymi wszystkimi trywialnymi szczegółami. Jest przecież bank - właśnie wczoraj dostałem list od dyrektora. Pisał coś o dwudziestu siedmiu funtach, które posiadam.

- Raczej jest to kwota, o jaką przekroczyliśmy rachunek.

- Czekaj, mam! Napisz do mojego wydawcy. Pokiwałam głową z powątpiewaniem. Książki papy przynosiły mu raczej rozgłos niż pieniądze. Ale myśl o wyjeździe do Rodezji zachwyciła mnie. „Silni, małomówni mężczyźni” - wyszeptałam w ekstazie. Nagle coś w wyglądzie ojca przykuło moją uwagę.



- Masz na sobie nieodpowiednie buty, papo. Zdejmij te brązowe i włóż czarne. I nie zapomnij o szaliku. Na dworze jest bardzo zimno.

W kilka chwil później papa wyszedł, już w odpowiednich butach i starannie opatulony szalikiem.

Wrócił dopiero późnym wieczorem i z przerażeniem zobaczyłam, że nie ma na sobie ani palta, ani szalika.

- Ależ Anno, zdjąłem palto przed wejściem do jaskini. Wiesz przecież, ile tam błota.

Pokiwałam głową, przypominając sobie, jak ojciec wrócił kiedyś dosłownie od stóp do głów oblepiony tłustą, plejstocieńską gliną.

Głównym powodem, dla którego zamieszkaliśmy w Little Hampsley, było sąsiedztwo Grot Hampsley, jaskiń grzebalnych obfitujących w znaleziska kultury oryniackiej. W wiosce założono niewielkie muzeum, a papa i kustosz muzeum spędzali większą część swojego czasu w podziemnych korytarzach, poszukując szczątków włochatych nosorożców i niedźwiedzi jaskiniowych.

Przez cały wieczór papa bardzo silnie kaszłał. Następnego ranka okazało się, że ma gorączkę. Wezwałam lekarza.

Biedny papa, nigdy nie wykorzystał swojej szansy. Okazało się, że ma obustronne zapalenie płuc. Zmarł cztery dni później.

## II

Wszyscy byli dla mnie bardzo życzliwi. Odczuwałam żal i oszołomienie, ale nie byłam pogrążona w głębokim bólu. Papa nigdy mnie nie kochał, wiem o tym doskonale. Gdyby darzył mnie miłością, wtedy i ja bym go kochała. Między nami nie było jednak tego uczucia. Po prostu należeliśmy do siebie, opiekowałam się nim i skrycie podziwiałam jego wiedzę i bezkompromisowe oddanie nauce. Bolało mnie, że zmarł w takim właśnie momencie, kiedy otwierały się przed nim nowe perspektywy. Byłabym szczęśliwa, mogąc go pochować w jaskini, wśród malowideł przedstawiających renifery i pośród narzędzi z krzemienia, jednak opinia publiczna domagała się stosownego nagrobka (z marmurową płytą) na brzydkim miejscowym cmentarzu. Słowa pociechy ze strony pastora, wygłoszone w najlepszej wierze, absolutnie nie trafiły do mojego serca.

Upłynęło nieco czasu, zanim sobie uświadomiłam, że nareszcie zyskałam to, o czym zawsze marzyłam - wolność. Byłam sierotą, w dodatku biedną jak mysz kościelna, jednak zdobyłam wolność. Pomyślałam o ogromnej życzliwości otaczających mnie ludzi. Pastor robił, co mógł, aby mnie przekonać, że jego żonie niezbędna jest towarzyszka. Nasza filigranowa bibliotekarka nagle doszła do wniosku, że nie może pracować bez pomocnicy. W końcu odwiedził mnie doktor. Po wielu

nieudanych próbach wytłumaczenia, dlatego właściwie nie przysłał mi rachunku, wśród pochrząkiwań i pomruków wydusił wreszcie z siebie propozycję małżeństwa.

Byłam zdumiona. Doktor zbliżał się już do czterdziestki, był mały i korpulentny. W niczym nie przypominał bohatera filmu „Pamela w niebezpieczeństwie”, a jeszcze mniej silnego, małomównego Rodezyjczyka. Zastanawiałam się przez chwilę, a potem zapytałam, dlaczego właściwie pragnie mnie poślubić. To go wyraźnie zmieszało. Wymamrotał, że dla lekarza z jego praktyką żona byłaby wielką pomocą. Sytuacja stawała się coraz mniej romantyczna, a jednak przez chwilę coś mnie pchało do przyjęcia tej propozycji. Oto ofiarowano mi poczucie bezpieczeństwa. Bezpieczeństwo i wygodny dom. Myśląc o tym teraz, dochodzę do wniosku, że byłam niesprawiedliwa wobec tego małego człowieka. Z pewnością szczerze mnie kochał, jednak źle pojęta delikatność nie pozwoliła mu użyć tego argumentu. Moje umiłowanie romantyzmu zwyciężyło.

- Czyni mi pan wielki zaszczyt - powiedziałam - jednak ten związek jest niemożliwy. Nigdy nie poślubię człowieka, którego nie będę kochała do szaleństwa.

- A czy?...

- Nie - odparłam szczerze.

- Doktor westchnął.

- Ale, moja droga, co pani zamierza teraz robić?

- Zwiedzać świat i przeżyć wiele przygód - oświadczyłam bez wahania.

- Ależ panno Anno, pani ciągle jest jeszcze dzieckiem. Pani nie zdaje sobie sprawy...

- Ze wszystkich trudności? Ależ wręcz przeciwnie, panie doktorze. Nie jestem sentymentalną gąską. Jestem trzeźwo myślącą, chciwą sekutnicą. Gdybym za pana wyszła, szybko i by się pan o tym przekonał.

- Chciałbym, aby pani jeszcze się zastanowiła.

- Nie mogę.

Westchnął ponownie.

- W takim razie mam inną propozycję. Moja ciotka mieszkająca w Walii poszukuje młodej damy do towarzystwa. Czy to by pani odpowiadało?

- Nie, panie doktorze. Wyjeżdżam do Londynu. Jeśli coś ma mnie w życiu spotkać, to właśnie w Londynie. Będę miała oczy szeroko otwarte i zobaczy pan, że coś znajdę. Następnym razem dojdą pana wieści o mnie z Chin albo z Timbaktu.

Jako następny odwiedził mnie pan Flemming z Londynu, doradca prawny papy. Przyjechał specjalnie po to, aby się ze mną zobaczyć. Sam zagorzały paleoantropolog, był wielkim admiratorem

dziel mojego ojca. Pan Flemming był wysoki, szczupły, miał pociągłą twarz i siwiejące skronie. Na mój widok podniósł się z miejsca i ująwszy moje ręce w swoje dłonie potrząsnął nimi z uczuciem.

- Moje dziecko, moje drogie dziecko.

Naprawdę nie zrobiłam tego celowo, ale pod wpływem jego słów zaczęłam się zachowywać jak pogrążona w bólu sierota. Ten człowiek wręcz mnie zahipnotyzował. Był łagodny, dobrotliwy i ojcowski, i bez wątplenia traktował mnie jak niedoświadczoną dziewczę, postawione nagle twarzą w twarz z nieprzyjemnościami tego świata. Od razu poczułam, że nie miałoby sensu usiłować wyprowadzić go z błędu. Jak się później okazało, postąpiłam słusznie.

- Moje drogie dziecko, jak myślisz, czy będziesz w stanie mnie teraz wysłuchać? Spróbuję wyjaśnić ci kilka problemów.

- O tak.

- Twój ojciec, jak zapewne wiesz, był wielkim człowiekiem. Potomność to doceni. Jednak zupełnie nie znał się na interesach.

O tym wiedziałam równie dobrze, jeśli nie lepiej niż sam pan Flemming, ale powstrzymałam się od powiedzenia tego na głos. Prawnik mówił dalej:

- Nie sądzę, abyś rozumiała się na tych sprawach, postaram się jednak wyłożyć ci je tak przystępnie, jak tylko potrafię.

Tłumaczył mi wszystko bardzo długo i zupełnie niepotrzebnie. Wniosek był następujący: pozostałam z sumą osiemdziesięciu siedmiu funtów, siedemnastu szylingów i czterech pensów, która to kwota absolutnie nie wydawała mi się satysfakcjonująca. Z pewnym drżeniem czekałam na dalszy ciąg. Obawiałam się, że pan Flemming będzie miał ciotkę w Szkocji, która akurat poszukuje jakiejś młodej osoby do towarzystwa. Ale nie.

- Oczywiście przyszłość stanowi pewien problem - mówił.

- Rozumiem, że nie masz żadnych żyjących krewnych.

- Jestem zupełnie sama na tym świecie - westchnęłam, czując się jak prawdziwa bohaterka filmowa.

- Czy masz jakichś przyjaciół?

- Wszyscy są dla mnie bardzo mili - powiedziałam z wdzięcznością.

- Któż nie byłby miły dla tak młodej i czarującej osoby - odparł pan Flemming szarmancko. - Tak, moja droga, musimy się zastanowić... - Zawahał się przez moment. - A może... a może zatrzymałabyś się u nas przez jakiś czas?

To była okazja. Londyn! Miejsce, gdzie wszystko może się wydarzyć.

- To bardzo uprzejmie z pana strony. Naprawdę mogłabym? Oczywiście tylko na pewien czas, dopóki sobie czegoś nie wyszukam. Będę musiała przecież zacząć zarabiać na życie.

- Tak, wiem, moje drogie dziecko. Będziemy musieli rozejrzeć się za czymś odpowiednim dla ciebie.

Instyktownie czułam, że wyobrażenia pana Flemminga na temat „czegoś odpowiedniego” będą się znacznie różniły od moich, ale z pewnością nie był to stosowny moment do wyrażania takiej opinii.

- No to załatwione. Najlepiej będzie, jeśli pojedziesz ze mną już dzisiaj.

- Och, dziękuję, jednak pani Flemming...

- Moja żona będzie zachwycona, mogąc cię u nas gościć. Mężczyznom zawsze się wydaje, że znają swoje żony, ja jednak często zastanawiałam się, czy tak jest naprawdę. Gdybym była mężatką, z pewnością wpadłabym we wściekłość, gdyby mąż przyprował do domu jakąś sierotę, nie poradziwszy się mnie uprzednio.

- Wyślemy jej telegram ze stacji - mówił dalej prawnik.

Szybko zapakowałam trochę niezbędnych rzeczy, a potem ze smutkiem przyjrzałam się mojemu kapeluszu. Nazywałam go modelem Mary, gdyż wyglądał dokładnie tak jak kapelusz, który powinna nosić służąca mająca wychodne - powinna, choć najczęściej wcale tego nie robi. Model Mary był nieforemny przedmiotem z czarnej słomki, ze skromnie opuszczonym rondem. Kiedyś, w przebłysku geniuszu, zdeformowałam ów przedmiot odpowiednio, kopiąc go nogą i kilkakrotnie poprawiając pięścią, i ozdobiłam czymś w rodzaju kubistycznej wersji marchewki. Rezultat był oszałamiający. Marchewki oczywiście pozbyłam się już dawniej, teraz przystąpiłam do dalszego usuwania skutków moich poprzednich poczynań. Kapelusz Mary odzyskał swój status, a jego dodatkowo sponiewierany kształt nadawał mu wygląd jeszcze bardziej przygnębiający niż poprzednio. Teraz jednak nie miałam nic przeciwko temu, aby jak najbardziej upodobnić się do sierotki. Trochę się obawiałam reakcji pani Flemming i miałam nadzieję, że mój wygląd wywrze odpowiednio rozbijające wrażenie.

Pan Flemming także był zdenerwowany. Zauważyłam to, gdy wchodziliśmy po schodach jego dużego domu, stojącego przy zacisznym skwerze w Kensington. Pani Flemming, tęga, łagodna niewiasta, w typie „dobrej żony i matki”, przywitała mnie bardzo uprzejmie i zaraz zaprowadziła do nieskazitelnie czystej, obitej perkalem sypialni, wyrażając nadzieję, że mam wszystko, czego mi potrzeba. Dodała jeszcze, że herbata będzie mniej więcej za kwadrans, po czym zostawiła mnie samą.

Kiedy wchodziła do salonu piętro niżej, usłyszałam jej lekko podniesiony głos.

- Henry, dlaczego, na Boga...

Reszty nie dosłyszałam, ale jej zgryźliwy ton był dostatecznie wymowny. Kilka chwil później

dobiegło mnie jeszcze jedno zdanie, również wypowiedziane mocno zjadliwym tonem.

- O tak, zgadzam się z tobą. Z całą pewnością wygląda bardzo dobrze.

Jak ciężkie bywa życie. Mężczyźni nigdy nie bywają mili i uprzejmi, jeśli dziewczyna nie jest ładna, kobiety zaś wręcz przeciwnie.

Westchnęłam głęboko i zajęłam się swoimi włosami. Mam bardzo ładne włosy. Są czarne - ale naprawdę czarne, nie zaś w kolorze ciemnego brązu - i bardzo dobrze się układają, zakrywając uszy. Bezlitosną ręką zebrałam je wszystkie do tyłu. Nie mam nic przeciwko swoim uszom, jednak obecna moda absolutnie nie zezwala na ich pokazywanie. Współczesna kobieta po prostu nie ma uszu, podobnie jak w czasach młodości profesora Patersona królowa nie miała nóg. Kiedy skończyłam się czesać, swoim wyglądem naprawdę przypominałam te biedne sierotki, odziane w czerwone płaszczyki, małe czapeczki i spacerujące parami.

Zauważyłam, że pani Flemming popatrzyła na moje odsłonięte uszy z pewnego rodzaju satysfakcją. Natomiast pan Flemming był wyraźnie zdumiony. Z pewnością pomyślał sobie: „A cóż to dziecko z siebie zrobiło!”

Reszta dnia upłynęła dosyć miło. Postanowiono, że powinnam natychmiast zacząć się rozglądać za jakimś zajęciem.

Przed pójściem spać przez dłuższą chwilę studiowałam w lustrze swoją twarz. Czy rzeczywiście byłam ładna? Z całą szczerością mogę powiedzieć, że jakoś nie mogłam w to uwierzyć. Nie miałam ani greckiego nosa, ani różanych ust, ani żadnej z tych cech, jakimi powinna się odznaczać prawdziwa piękność. Co prawda pastor powiedział mi kiedyś, że moje oczy przypominają mu „promyk słońca uwięziony w gęstym, mrocznym lesie”, ale pastory znają moc odpowiednich cytatów i posługują się nimi z lubością. O wiele bardziej wolałabym mieć niebieskie, irlandzkie oczy niż te zielone z żółtymi plamkami. Ale przecież zieleń jest kolorem przygody.

Narzuciłam na siebie czarne okrycie, zostawiając odsłonięty dekolt i ramiona. Następnie wyszczotkowałam włosy, opuszczając je znowu na uszy. Na twarz nałożyłam grubą warstwę pudru, tak że moja cera wydawała się bielsza niż zwykle. Potem przez dłuższą chwilę myszkowałam w poszukiwaniu pomadki. Uszminkowałam mocno wargi, a brwi i rzęsy przyciemniłam palonym korkiem. Nagie ramiona przyozdobiłam czerwoną szarfą, we włosy zaś wpięłam czerwone pióro. W usta wetknęłam papierosa. Uzyskany w ten sposób efekt bardzo mnie zadowolił.

„Anna Poszukiwaczka Przygód”, powiedziałam głośno, kłaniając się lekko własnemu odbiciu. „Przygoda Pierwsza. Dom w Kensington.”

Dziewczęta bywają czasami takie głupie.

Następne tygodnie okazały się przeraźliwie nudne. Pani Flemming i jej przyjaciółki były takie nieciekawe. Godzinami opowiadały o sobie i o swoich pociechach, o trudnościach z kupieniem odpowiedniego mleka dla dzieci i o tym, co powiedziały w mleczarni, gdy mleko znowu okazało się niedobre. Potem przechodziły do omawiania służby i kłopotów związanych ze zdobyciem odpowiedniej służącej. Opowiadały ze szczegółami, co powiedziały urzędniczce w agencji pośrednictwa i co ta urzędniczka im odpowiedziała. Nigdy nie czytały żadnych gazet i zdawały się wcale nie interesować tym, co działo się na świecie. Podróżować też nie lubiły, gdyż wszystko za granicą było zupełnie inne niż w Anglii. Uznawały wyłącznie Riwierę, a to dlatego, że mogły tam spotkać swoich znajomych i przyjaciół.

Wysłuchiwałam tego wszystkiego i z trudem mogłam się powstrzymać od komentarza.

Przecież większość tych kobiet była bogata. Szeroki, wspaniały świat leżał dosłownie u ich stóp. Miały możliwość podróżowania, a jednak pozostawały w ponurym, nudnym Londynie, gdzie rozprawały wyłącznie o mleku i o służbie. Gdy się teraz nad tym zastanawiam, myślę, że byłam wobec tych pan trochę niesprawiedliwa. Ale one naprawdę były głupie. Także tego, co same sobie wybrały, nie wykonywały dobrze. Większość z nich nie potrafiła nawet porządnie poprowadzić rachunków domowych.

Moje sprawy postępowały powoli. Dom i meble zostały sprzedane, a uzyskana z tego suma wystarczyła zaledwie na pokrycie długów. Nie udało mi się znaleźć żadnej posady. Zresztą niespecjalnie się o to starałam. Żywiłam niezłomne przekonanie, że jeśli będę szukała przygody, to przygoda prędzej czy później stanie się moim udziałem. Wyznaję teorię, że człowiek zawsze w końcu otrzyma to, czego naprawdę pragnie.

I oto moja teoria miała się sprawdzić w praktyce.

Było to na początku stycznia, a dokładnie ósmego. Wracałam właśnie po nieudanej rozmowie z pewną damą, która twierdziła, że pragnie zatrudnić sekretarkę i damę do towarzystwa, podczas gdy tak naprawdę poszukiwała zdrowej i silnej posługaczki, która zgodziłaby się pracować dwanaście godzin na dobę za jedyne dwadzieścia pięć funtów rocznie. Pożegnałam się z ową damą ze źle maskowaną niechęcią i skierowałam swe kroki w dół Edgware Road (moja niedoszła chlebodawczyni mieszkała przy St. John's Wood). Minęłam Hyde Park, szpital Św. Jerzego, aż wreszcie doszłam do stacji metra Hyde Park Corner, gdzie kupiłam bilet do Gloucester Road.

Znalazłszy się na peronie, powędrowałam od razu w jego najdalszy koniec. Mój dociekliwy umysł domagał się potwierdzenia, czy rzeczywiście na tym odcinku, jeśli się patrzy w kierunku Down Street, można dostrzec skrawek nieba i nieco światła dziennego między dwoma tunelami. Teraz przekonałam się na własne oczy, że to prawda, i sprawiło mi to dziecinną przyjemność.

Pasażerów nie było zbyt wielu. Na końcu peronu stałam tylko ja i jakiś mężczyzna. Mijając go, pociągnęłam podejrzliwie nosem. Naftalina - zapach, którego nie znoszę. Tę niemiłą woń obficie wydzielalo ciężkie zimowe palto nieznajomego. Dziwne. Przecież zimowe okrycia zaczyna się nosić znacznie wcześniej. Do stycznia zapach naftaliny powinien dawno wywietrzeć. Mężczyzna stał przy

samej krawędzi peronu. Pograżony w myślach, nie zwracał uwagi na otoczenie, tak że mogłam mu się przyjrzeć bez skrępowania. Był szczupły, niewysoki, miał opaloną twarz i jasnoniebieskie oczy. Nosił niewielką, ciemną bródkę.

Niedawno wrócił z zagranicy, pomyślałam, i dlatego jego płaszcz jeszcze śmierdzi. Z pewnością przyjechał z Indii. Ale nie jest chyba oficerem - nie nosiłby wówczas brody. Może to plantator herbaty.

W tej właśnie chwili mężczyzna odwrócił się, jakby zamierzał kontynuować swój spacer po peronie, tylko w odwrotnym kierunku. Przelotnie popatrzył na mnie, a potem jego oczy zatrzymały się na czymś za moimi plecami. Na jego twarzy pojawił się wyraz przestachu, prawie paniki. Postąpił krok do tyłu, jakby chciał się odsunąć od grożącego mu niebezpieczeństwa. Zapomniał jednak, że stoi przy samej krawędzi peronu. Zachwiał się i upadł na tory. Nastąpił silny, krótki błysk. Szyny zadźwięczały gwałtownie. Krzyknęłam.

Zewsząd zaczęli nadbiegać ludzie. Dwaj kolejarze pojawili się nie wiadomo skąd i objęli komendę.

Stałam jak wrośnięta w ziemię, wpatrując się w rozgrywającą się przede mną scenę. Odczuwałam przerażenie z powodu tego okropnego wypadku, jednak jakaś część mojego umysłu pozostała nieporuszona. Z chłodnym zainteresowaniem śledziłam akcję przenoszenia nieszczęśnika z torów z powrotem na peron.

- Proszę mnie przepuścić, jestem lekarzem.

Wysoki, brodaty mężczyzna przeszedł koło mnie i pochylił się nad bezwładnym ciałem.

Przyglądałam się jego ruchom i nagle ogarnęło mnie dziwne uczucie. Cała scena wydała mi się jakby nierzeczywista. Wreszcie doktor podniósł się i potrząsnął głową.

- Trup. Nic się już nie da zrobić.

Wszyscy zaczęli się przepychać do przodu, aż przygnębiony bagażowy zwrócił nam uwagę: „Proszę się cofnąć, nie ma się do czego pchać.”

Poczułam, że robi mi się niedobrze, więc odwróciłam się gwałtownie i pobiegłam w stronę windy. To było straszne. Jak najszybciej na świeże powietrze! Lekarz, który badał ciało, znajdował się tuż przede mną. Jedna z wind miała właśnie ruszać na górę, druga zjeżdżała w dół. Doktor przyspieszył kroku i w tym momencie upuścił jakiś kawałek papieru.

Zatrzymałam się, podniosłam papier i też zaczęłam biec. Jednak drzwi windy zatrzęsły mi się przed nosem. Zanim drugą windą wjechałam na górę, po doktorze nie było już śladu. Miałam nadzieję, że zgubiony świstek to nic ważnego. Przyjrzałam się swojemu znalezisku. Była to połówka zwykłej kartki, na której ktoś nagryzmolił ołówkiem kilka liczb i jakieś słowa. Oto, jak wyglądała:

Notatka nie wydawała mi się specjalnie ważna, a jednak zawahałam się przed jej wyrzuceniem. Gdy tak stałam, trzymając ją przed sobą, mimowolnie pociągnęłam nosem i skrzywiłam się z niezadowoleniem. Naftalina! Znowu naftalina. Przyłożyłam papier do nosa. Tak, to był niewątpliwie ten zapach. Ale w takim razie...

Starannie wygładziłam kartkę i schowałam ją do torebki. Potem ruszyłam pieszo w stronę domu, rozważając po drodze cały incydent.

Wyjaśniłam pani Flemming, że byłam świadkiem wypadku w metrze i chciałabym się położyć po przebytych szoku. Pocziwa kobiecina zmusiła mnie do wypicia filiżanki herbaty i zostawiła mnie samą. Mogłam teraz przystąpić do realizacji mojego planu, który ułożyłam podczas drogi do domu. Za wszelką cenę chciałam dowiedzieć się, dlaczego w czasie gdy lekarz badał zwłoki miałam dziwne wrażenie, że oglądana przeze mnie scena jest nierealna. Najpierw sama położyłam się na podłodze, usiłując jak najdokładniej odtworzyć ułożenie zwłok. Potem ułożyłam na podłodze wałek z tapczanu, sama zaś zaczęłam jak najwierniej odtwarzać każdy ruch, każdy gest doktora. Gdy skończyłam, wiedziałam już... Przykucnęłam na piętach i z niepokojem wpatrywałam się w przeciwległą ścianę.

Wieczorne gazety przyniosły lakoniczną notatkę o mężczyźnie, który zginął w metrze. Wyrażano przy tym wątpliwość, czy to był wypadek, czy samobójstwo. Zdawałam sobie sprawę z tego, co powinnam teraz uczynić, a pan Flemming, wysłuchawszy moich wyjaśnień, zgodził się ze mną.

- Tak, twoja obecność na rozprawie może okazać się niezbędna. A więc powiadasz, że nikt inny nie stał tak blisko, by widzieć dokładnie, co się wydarzyło?

- Wydaje mi się, że ktoś podchodził z tyłu, ale nie jestem pewna. Zresztą ja i tak stałam plecami do tej osoby.

Nadszedł termin rozprawy. Pan Flemming załatwili wszystkie formalności i poszedł ze mną. Najwyraźniej obawiał się, że przesłuchanie będzie dla mnie ciężkim przeżyciem. Musiałam ukrywać przed nim moją zimną krew i opanowanie.

Ofiara wypadku została zidentyfikowana jako L.B. Carton. W kieszeni zmarłego nie znaleziono niczego poza upoważnieniem z agencji handlu nieruchomościami, z adresem posiadłości położonej nad Tamizą, w pobliżu Marlow. Upoważnienie wystawione było na nazwisko pana L.B. Carton, mieszkającego w Russel Hotel. Recepcjonista z hotelu zeznał, że zmarły pojawił się u nich poprzedniego dnia i wynajął pokój. Zarejestrował się jako L.B. Carton z Kimberley w Południowej Afryce. Najwyraźniej przyszedł do hotelu zaraz po opuszczeniu statku, ja byłam jedyną osobą, która widziała cały incydent.

- Jak pani myśli, czy to był wypadek? - zapytał mnie koroner.



- Jestem o tym przekonana. Przestraszył się czegoś i odruchowo postąpił krok do tyłu, nie myśląc o tym, co robi.

- A co mogło go wystraszyć?

- Tego nie wiem, ale wyglądał na przerażonego. Flegmatyczny ławnik zasugerował, że może zmarły zobaczył gdzieś kota. Niektórzy ludzie nie znoszą kotów. Ta sugestia nie wydawała mi się zbyt trafna, jednak zdawała się odpowiadać przysięgłym, którzy byli wyraźnie znudzeni i pragnęli jak najszybciej znaleźć się w domach, wydawszy uprzednio opinię o samobójstwie lub o nieszczęśliwym wypadku.

- To trochę dziwne - zauważył koroner - że lekarz, który badał zwłoki, nie stawił się na przesłuchanie. Źle się stało, że w odpowiednim czasie nie zanotowano jego nazwiska i adresu.

Uśmiechnęłam się do siebie. Miałam własną teorię na temat tego doktora. Wiedziałam już, że w najbliższym czasie muszę odwiedzić Scotland Yard.

Następny dzień przyniósł prawdziwą niespodziankę. Państwo Flemming prenumerowali „Daily Budget”. Gazeta miała swój wielki dzień.

„NIEOCZEKIWANE NASTĘPSTWA WYPADKU W METRZE.

ZWŁOKI UDUSZONEJ KOBIETY ODNALEZIONE W SAMOTNYM DOMU.”

Czytałam niecierpliwie.

„W Mill House w Marlow dokonano wczoraj sensacyjnego odkrycia. Posiadłość ta jest własnością sir Eustachego Pedlera, członka Parlamentu. Dom jest obecnie nie zamieszany.

Mężczyzna, który zginął w wypadku na stacji metra Hyde Park Comer, miał w kieszeni upoważnienie agencji handlu nieruchomościami z tym właśnie adresem. Początkowo podejrzewano, że mężczyzna popełnił samobójstwo, rzucając się na tory. Tymczasem w jednym z pomieszczeń Mill House odkryto wczoraj zwłoki młodej, pięknej kobiety, która została uduszona. Dotychczas nie udało się ustalić tożsamości zmarłej. Prawdopodobnie była ona cudzoziemką. Policja utrzymuje, że jest na tropie. Sir Eustachy Pedler, właściciel Mill House, spędza zimę na Riwierze.”

## IV

Zmarłej nie udało się zidentyfikować. Podczas wstępnej rozprawy u koronera ustalono następujące fakty.

Ósmego stycznia, krótko po godzinie trzynastej, elegancko ubrana kobieta, mówiąca z lekkim cudzoziemskim akcentem, pojawiła się w agencji handlu nieruchomościami Butler and Park w

Knightsbridge. Powiedziała, że pragnie nabyć bądź wynająć dom nad Tamizą, w niewielkiej odległości od Londynu. Polecono jej kilka posiadłości, między innymi Mill House. Klientka przedstawiła się jako pani de Castina, jako miejsce zamieszkania podała hotel Ritza. Jak później sprawdzono, w rejestrze hotelowym nie występował nikt o takim nazwisku. Nikt z personelu nie rozpoznał w zmarłej gościa hotelowego.

Pani James, żona ogrodnika zatrudnionego w Mill House, która opiekowała się domem i mieszkała w małej stróżówce przy głównej drodze, zeznała, co następuje: Około godziny trzeciej po południu pewna dama przyszła obejrzyć dom. Miała upoważnienie z agencji, więc pani James wręczyła jej klucze. Dom stoi w pewnej odległości od stróżówki. Pani James nigdy nie towarzyszyła ewentualnym nabywcom podczas oględzin. W kilka minut później w stróżówce pojawił się młody mężczyzna. Pani James opisała, że był wysoki, barczysty, miał smagłą cerę i jasnoszare oczy. Był gładko ogolony i nosił brązowy garnitur. Nowo przybyły przedstawił się jako znajomy pani, która właśnie ogląda dom. Wy tłumaczył, że po drodze zatrzymał się na chwilę na pocztę, aby nadać telegram. Pani James skierowała go do domu, nie zastanawiając się nad tym specjalnie.

Pięć minut później mężczyzna pojawił się ponownie, oddał pani James klucze i oświadczył, że dom raczej nie będzie im odpowiadał. Nie, pani James nie widziała kobiety, ale była przekonana, że poszła ona przodem. Pani James zauważyła natomiast, że mężczyzna był mocno zdenerwowany. „Wyglądał, jakby zobaczył ducha. Pomyślałam sobie, że pewnie źle się poczuł.”

Następnego dnia pojawili się kolejni interesanci. Oni to właśnie podczas oględzin domu odkryli zwłoki leżące w jednym z pokoi na piętrze. Pani James zidentyfikowała zmarłą jako „tę panią, która była poprzedniego dnia”. Agent handlu nieruchomościami rozpoznał w niej panią de Castina. Lekarz policyjny stwierdził, że ofiara nie żyła mniej więcej od dwudziestu czterech godzin.

„Daily Budget” sugerował, że mężczyzna z metra zamordował kobietę, następnie zaś popełnił samobójstwo. Jednakże wypadek w metrze miał miejsce o drugiej, o trzeciej zaś kobietę widziano jeszcze zdrową i całą. Należało więc sądzić, że obie te sprawy nie miały ze sobą nic wspólnego, a upoważnienie z tym samym adresem znalezione w kieszeni ofiary wypadku w metrze było jednym z owych nieoczekiwanych zbiegów okoliczności, jakie często zdarzają się w życiu.

Zapadł werdykt: morderstwo popełnione przez osobę albo osoby nieznane. Policja (a także „Daily Budget”) rozpoczęła poszukiwania mężczyzny w brązowym garniturze. Pani James była zupełnie pewna, że w domu, w chwili gdy weszła tam pani de Castina, nie było nikogo, nikt też oprócz tego młodego człowieka nie wchodził tam aż do następnego popołudnia, wobec czego nasuwał się logiczny wniosek, że to właśnie on jest mordercą. Nieszczęsna pani de Castina została uduszona mocną czarną linką. Morderca zaskoczył ją, tak że nie miała nawet czasu krzyknąć. Czarna jedwabna torebka znaleziona przy zwłokach zawierała nieźle wypchany portfel, kilka monet luzem, wytworną koronkową chusteczkę bez żadnego monogramu i bilet powrotny pierwszej klasy do Londynu. Żadnego punktu zaczepienia.

Wszystkie te szczegóły zostały opublikowane przez „Daily Budget”. Krzyczące nagłówki codziennie donosiły o poszukiwaniach „mężczyzny w brązowym garniturze”. Przeciennie pięćset osób dziennie zgłaszało się z informacją, że właśnie znalazło poszukiwanego. Wysocy, młodzi mężczyźni o smagłych twarzach przeklinali dzień, w którym krawiec namówił ich na uszycie brązowego garnitur.

Wypadek w metrze, jako nie mający nic wspólnego z morderstwem w Mill House, poszedł powoli w zapomnienie.

Ja jednak nie byłam wcale taka pewna, czy to rzeczywiście był zbieg okoliczności. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie potrafiłam popatrzeć na sprawę obiektywnie - wypadek w metrze stanowił bowiem coś w rodzaju mojej prywatnej tajemnicy. Wiedziałam, że między tymi dwiema sprawami musi istnieć jakiś związek. Zbyt dużo było zbieżności - na przykład i tu, i tam występował mężczyzna o ogorzałej twarzy, bez wątpienia Anglik mieszkający na stałe za granicą. Rozważywszy to wszystko raz jeszcze, zdecydowałam się na kolejny krok. Udałam się do Scotland Yardu i zażądałam rozmowy z kimś prowadzącym sprawę Mill House.

Moja prośba nie od razu została właściwie zrozumiana. Początkowo skierowano mnie do wydziału zajmującego się zgubionymi parasolami. W końcu jednak trafiłam do niewielkiego pokoiku, w którym urzędował detektyw-inspektor Meadows, niewysoki, rudowłosy mężczyzna o dość irytujących manierach. W kąciку przycupnął grzecznie jego podwładny, także w cywilnym ubraniu.

- Dzień dobry - zaczęłam nerwowo.

- Dzień dobry. Zechce pani spocząć. O ile dobrze zrozumiałem, pani posiada jakieś informacje, które mogą okazać się dla nas przydatne.

Z tonu inspektora można było wywnioskować, że to ostatnie uważa za wysoce nieprawdopodobne. Poczulałam, że ogarnia mnie irytacja.

- Pan oczywiście słyszał o tym mężczyźnie zabitym w metrze. O tym, który miał w kieszeni upoważnienie z adresem w Marlow.

- Teraz rozumiem - rzekł inspektor. - Pani jest panną Beddingfeld, która zeznawała w sprawie tego wypadku. Rzeczywiście ten człowiek miał w kieszeni upoważnienie. Takie samo miało pewnie wiele innych osób i żadna z nich nie została zamordowana.

Zebrałam wszystkie siły.

- A czy nie uważa pan za dziwne, że ten człowiek nie miał w kieszeni biletu?

- To nic wielkiego zgubić bilet. Mnie też się to czasami zdarza.

- Ani pieniędzy.

- Miał trochę drobnych w kieszeni spodni.

- Ale nie miał portfela.

- Niektórzy mężczyźni nie używają portfeli. Spróbowałam od innej strony.

- To, że ten doktor nigdy się nie zgłosił, to także osobliwy zbieg okoliczności, nie uważa pan?

- Niektórzy lekarze są tak zajęci, że nie mają czasu na czytanie gazet. Prawdopodobnie zapomniał o wypadku.

- Pan, panie inspektorze, stara się nie widzieć w tej sprawie nic niezwykłego - powiedziałam ze słodyczą w głosie.

- Cóż, pani jest chyba zbyt przywiązana do słowa „niezwykły”, panno Beddingfeld. Młode damy często mają romantyczne usposobienie, lubują się w tajemniczych wydarzeniach. Ja natomiast jestem człowiekiem zajęтым.

Zrozumiałam przytyk i wstałam.

Mężczyzna w kącie odezwał się łagodnie:

- A może ta młoda dama powie nam, jakie są jej przypuszczenia, panie inspektorze?

Inspektor skwapliwie podchwycił tę sugestię.

- Właśnie, panno Beddingfeld, proszę się nie obrażać. Pani zeznawała w tej sprawie. A więc śmiało. Co pani teraz chodzi po głowie?

Przez chwilę walczyły we mnie urażona godność własna i szalona ochota podzielenia się z kimś przypuszczeniami. Wreszcie urażona godność własna musiała ustąpić.

- Z pani zeznań u koronera wynika, że jest pani pewna, iż to nie mogło być samobójstwo.

- Zupełnie pewna. Ten człowiek był przerażony. Co mogło go tak przerazić? Z pewnością nie ja. Ale ktoś inny, jakaś osoba zbliżająca się peronem w naszą stronę. Ktoś, kogo rozpoznał.

- Pani nie widziała nikogo?

- Nie - przyznałam - ale ja nie odwracałam głowy. A później, natychmiast po tym, jak ciało zostało zabrane z szyn, jakiś mężczyzna przepchnął się do przodu mówiąc, że jest lekarzem.

- Nie widzę w tym nic niezwykłego - zauważył inspektor sucho.

- Ale on nie był lekarzem.

- Co?

- Nie był lekarzem - powtórzyłam.

- A skąd pani to wie?

- To jest trochę trudne do wytłumaczenia. Pracowałam w szpitalu w czasie wojny i wielokrotnie widziałam lekarzy badających pacjentów. Robili to zręcznie i bezosobowo. Temu mężczyźnie wyraźnie brakowało rutyny. A poza tym lekarze z reguły nie szukają serca po prawej

stronie.

- A ten człowiek to uczynił?

- Właśnie. Początkowo nie zdawałam sobie z tego sprawy, czułam tylko, że coś się nie zgadza. Ale w domu przeanalizowałam całą scenę bardzo dokładnie i wtedy uświadomiłam sobie, dlaczego ten człowiek wydał mi się taki niezdarny.

- Hm - powiedział inspektor. Powoli sięgnął po papier i pióro.

- Przesuwając rękami po ciele zmarłego, miał doskonałą okazję, żeby opróżnić mu kieszenie.

- Nie wydaje mi się to zbyt prawdopodobne - zauważył inspektor. - Czy mogłaby go pani opisać?

- Był wysoki, barczysty, nosił ciężkie, ciemne palto, czarne buty i melonik. Miał ciemną spiczastą bródkę i okulary w złotej oprawie.

- Zdejmie płaszcz, okulary, odczepi brodę i będzie wyglądał zupełnie inaczej - utyskiwał inspektor. - W ciągu pięciu minut mógł z łatwością całkowicie zmienić wygląd. Co z pewnością uczynił, jeśli był złodziejem kieszonkowym, jak nam to pani sugeruje.

Absolutnie nie sugerowałam niczego podobnego. Inspektor stanowczo był przypadkiem beznadziejnym.

- I nic więcej nie może nam pani powiedzieć na jego temat? - zapytał jeszcze, gdy już zbierałam się do odejścia.

- Owszem - odparłam. Uznałam, że jest to doskonała okazja, aby wymierzyć ostateczny cios. - Miał wyraźnie brachycefaliczną czaszkę. Tego nie będzie mógł łatwo zmienić.

Z satysfakcją zaobserwowałam, że pióro w ręku inspektora drgnęło. Ten człowiek najwyraźniej nie wiedział, jak się pisze: brachycefaliczny.

## V

Wściekłość wywołana takim potraktowaniem mnie w Scotland Yardzie dodała mi odwagi. Czułam, że kolejny krok będzie zupełnie prosty. Już wcześniej postanowiłam, że gdyby rozmowa z inspektorem mnie nie usatysfakcjonowała (a uznałam ją za w najwyższym stopniu niezadowolającą), to mam w zanadrzu inny plan, który postaram się zrealizować, o ile wystarczy mi odwagi.

W gniewie człowiek z łatwością zdobywa się na czyny, przed którymi wzdragałby się w normalnych warunkach. Nie czekając więc, aż ochłoneę, pomaszerowałam prosto do domu lorda

Nasby.

Lord Nasby, znany milioner, był właścicielem „Daily Budget”. Posiadał zresztą więcej gazet, ta jednak była jego oczkiem w głowie. Jako właściciel tak popularnego dziennika, znany był w każdym angielskim domu, jego rozkład dnia zaś nie stanowił żadnej tajemnicy. Wiedziałam więc, gdzie mogę go zastać. O tej porze lord Nasby przebywał zawsze w swoim domu, dyktując sekretarce.

Oczywiście ani przez moment nie łudziłam się, że młoda kobieta, która pojawi się w jego domu, zostanie natychmiast przyjęta przez jego wysokość, wiedziałam jednak, jak się uporać z tym problemem. Na tacy leżącej zawsze w hallu u państwa Flemming odkryłam wizytówkę markiza Loamsley, angielskiego para, wielkiego miłośnika sportów. Przywłaszczyłam ją sobie, wyczyściłam starannie okruszkami chleba i dopisałam na niej ołówkiem: „Czy zechciałbyś poświęcić pannie Beddingfeld kilka chwil swojego cennego czasu?” Poszukiwaczki przygód nie powinny żywić żadnych skrupułów, jeśli idzie o wybór metod działania.

Udało się. Kamerdyner w liberii przyjął ode mnie kartę wizytową. Bez większych trudności pokonałam przeszkodę w postaci wymoczkowatego sekretarza. Musiał się wycofać jak niepyszny. Po chwili pojawił się przede mną ponownie i poprosił, abym poszła za nim. Tak też uczyniłam. Wreszcie znalazłam się w ogromnym pokoju, gdzie przestraszona stenotypistka popatrzyła na mnie jak na zjawę z innego świata. Drzwi zamknęły się i stanęłam twarzą w twarz z lordem Nasby.

Wielki człowiek. Ogromna głowa, duża twarz, imponujący wąs, potężny brzuch. Przywołałam się do porządku. Przecież nie przyszłam tu po to, żeby robić uwagi na temat lordowskiego żołądka. Lord od razu podniósł głos.

- No, o co chodzi? Czego ten Loamsley chce? Czy pani jest sekretarką?

- Na wstępie muszę wyjaśnić, że nie znam lorda Loamsley - zaczęłam z takim spokojem, na jaki mnie tylko było stać, zważywszy na okoliczności. - Lord Loamsley też nigdy o mnie nie słyszał. Jego wizytówkę znalazłam na tacy w domu państwa, u których aktualnie mieszkam. Sama napisałam na niej kilka słów. Pragnęłam zobaczyć się z panem w bardzo ważnej sprawie.

Przez kilka chwil nie było pewne, czy lord Nasby nie padnie rażony apopleksją. W końcu jednak przełknął dwa razy ślinę i jakoś doszedł do siebie.

- Podziwiam pani zimną krew, młoda damo. No więc widzi mnie pani. I jeśli uda się pani wzbudzić moją ciekawość, będzie mnie pani oglądała dokładnie przez dwie minuty.

- To mi wystarczy. Z pewnością zainteresuje pana to, z czym przychodzę. To tajemnica Mill House.

- Jeśli wpadła pani na trop mężczyzny w brązowym garniturze, proszę skontaktować się z wydawcą - przerwał mi.

- Jeśli będzie mi pan przerywał, zajmie nam to więcej niż dwie minuty - odparłam z mocą. - Nie, nie odnalazłam mężczyzny w brązowym garniturze. Ale mam wszelkie dane ku temu, aby to

uczynić.

W możliwie zwięzłych słowach opisałam wypadek w metrze i przedstawiłam własne wnioski. Gdy skończyłam, lord Nasby zapytał nieoczekiwanie:

- A skąd pani wie o brachycefalicznej czaszce? Opowiedziałam mu o papie.

- Człowiek-małpa, co? Pani zdaje się mieć głowę na karku. Ale ta cała historia to niewiele. Nie ma z czym zaczynać. Nie, to wszystko nie dla nas.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Więc czego pani chce?

- Chcę, aby dał mi pan posadę w gazecie, tak żebym mogła zająć się śledztwem.

- Niemożliwe. Mamy naszego specjalnego człowieka.

- A ja mam specjalne informacje.

- Te, które mi pani przekazała, tak?

- Skądże znowu. Mam jeszcze coś.

- Jeszcze coś? No, no, bystra z pani dziewczyna. A co to takiego?

- Kiedy ten pseudodoktor zmierzał do windy, upuścił niewielką kartkę. Podniosłam ją. Papier był przesiąknięty zapachem naftaliny, podobnie jak ubranie zmarłego. Od doktora wcale nie czuć było naftaliny. Stąd wniosek, że kartka pochodziła z kieszeni zmarłego. Na kartce zanotowane były dwa wyrazy i kilka cyfr.

- Dobrze, zobaczymy to. - Lord Nasby niedbale wyciągnął rękę.

- O nie - powiedziała, uśmiechając się. - To ja znalazłam.

- Miałem rację. Pani jest bystra. Bystra na tyle, aby się tym zająć. Czy nie odczuwała pani żadnych skrupułów, zatajając przed policją istnienie tego kawałka papieru?

- Chciałam im to pokazać dzisiaj rano. Ale policja upiera się, że wypadek w metrze nie ma nic wspólnego z morderstwem w Marlow. W tych okolicznościach pomyślałam sobie, że mam prawo zatrzymać tę notatkę. A poza tym inspektor zirytował mnie.

- Krótkowzroczny głupiec. Dobrze, moja droga. Oto wszystko, co mogę zrobić dla ciebie. Prowadź to śledztwo swoimi własnymi metodami, a jeżeli odkryjesz coś, co będzie się nadawało do gazety, przyślij mi od razu. To jest twoja szansa. W „Daily Budget” zawsze jest miejsce dla ludzi z głową na karku. Musisz tylko wykazać się dobrą robotą. A więc umowa stoi?

Podziękowałam mu i przeprosiłam za sposób wtargnięcia do jego domu.

- Nic nie szkodzi. Lubię śmiałość, zwłaszcza u młodych dziewcząt. Nawiasem mówiąc, powiedziałaś, że zajmie ci to dwie minuty, a zajęło trzy, biorąc pod uwagę, że ci kilkakrotnie przerwałem. Jak na kobietę to zdumiewający wynik. Co to znaczy przygotowanie naukowe.

Znalazłszy się z powrotem na ulicy, zaczęłam ciężko oddychać, niczym po wyczerpującym biegu. Towarzystwo lorda Nasby było dosyć męczące.

## VI

Wracałam do domu przepełniona uczuciem triumfu. Udało mi się. Lord Nasby był genialny. Teraz pozostawało mi tylko „wykazać się dobrą robotą”, jak to określił. Zamknęłam się więc w moim pokoju, wyjęłam tajemniczą kartkę i zaczęłam ją z uwagą studiować. Tu tkwił klucz do całej zagadki.

Zacznijmy od liczb. Cyfr było pięć, a dwie pierwsze oddzielała kropka. Siedemnaście i sto dwadzieścia dwa.

Nie, to chyba do niczego nie doprowadzi.

Dodałam do siebie kolejne cyfry. W powieściach sensacyjnych zawsze się tak robi i wynik jest zaskakujący.

Jeden plus siedem równa się osiem, plus jeden równa się dziewięć, plus dwa równa się jedenaście, plus dwa równa się trzynaście.

Trzynaście! Pechowa liczba. Czyżby ostrzeżenie dla mnie, że nie powinnam zajmować się tą sprawą? Bardzo możliwe. W każdym razie, pomijając ową przestrożę, cała rzecz wydała mi się raczej bez sensu. Przecież żaden konspirator nie zadawałby sobie tyle trudu, żeby zapisać trzynastkę w taki sposób. Gdyby miał na myśli trzynaście, napisałby po prostu 13 i tyle.

Między cyframi 1 i 2 jest odstęp. Odjęłam więc dwadzieścia dwa od stu siedemdziesięciu jeden. Wyszło mi sto pięćdziesiąt dziewięć. Spróbowałam jeszcze raz i osiągnęłam wynik sto czterdzieści dziewięć. Te zadania rachunkowe z pewnością były świetną gimnastyką dla umysłu, jednak absolutnie nie prowadziły do rozwiązania tajemnicy. Zostawiłam arytmetykę na boku, nie próbując już ani mnożenia, ani dzielenia, i zajęłam się tajemniczymi słowami.

Kilmorden Castle. To było coś konkretnego. Jakieś miejsce. Może siedziba arystokratycznego rodu (zaginiony dziedzic? pretendent do tytułu?). A może malownicze, romantyczne ruiny (ukryty skarb)?

Tak, skłaniałam się raczej ku teorii ukrytego skarbu. Przy zakopanych skarbach zawsze



występują jakieś liczby. Jeden krok w prawo, siedem kroków w lewo, kopać stopę w głąb, a potem dwadzieścia dwa stopnie w dół. Właśnie coś takiego. Szczegóły mogę dopracować później. Najważniejsza sprawa to możliwie jak najszybciej dotrzeć do Kilmorden Castle.

Wykonałam strategiczny wypad z pokoju i po chwili wróciłam obładowana naręczem książek. „Who is Who”, „Almanach Whitakera”, „Słownik nazw geograficznych”, „Dzieje dawnych rodów szkockich”, „Szlachta Wysp Brytyjskich”.

Czas upływał. Szukałam chciwie i z coraz większym niepokojem. Wreszcie z trzaskiem zamknęłam ostatnią książkę. Miejscowość o nazwie Kilmorden Castle zdawała się w ogóle nie istnieć.

Zupełnie nieoczekiwane fiasko. Ale przecież musi być takie miejsce. Dlaczego ktoś miałby sobie wymyślić podobną nazwę i zapisać ją na kawałku papieru? To przecież absurd.

Nagle przyszło mi do głowy coś innego. A jeśli to było jakieś szkaradne, neogotyckie domostwo na przedmieściu Londynu, z dumnie brzmiącą nazwą wymyśloną przez samego właściciela? W tym wypadku będzie ono niezmiernie trudne do znalezienia. Przygnębiona siedziałam na piętach (ilekroć mam do przemyślenia jakiś ważny problem, siadam na podłodze) i zastanawiałam się, co, u diabła, powinnam teraz zrobić.

Jaką drogę obrać? Dumałam tak przez chwilę, aż wreszcie zerwałam się na równe nogi. No jasne! Przecież muszę zapoznać się z miejscem zbrodni. Wielcy detektywi zawsze tak robią. Nieważne, jak dawno temu popełniono morderstwo. Detektyw zawsze znajdzie jakiś ślad, który policja przeoczyła. A więc do Marlow!

Ale jak ja się dostanę na teren samej posiadłości Mill House? Odrzuciłam kilka dość ryzykownych pomysłów i zdecydowałam się na najprostszą w świecie metodę. Dom był do wynajęcia - być może nadal jest do wynajęcia. Będę więc potencjalną lokatorką.

Postanowiłam zacząć od lokalnego agenta, zakładając, że niewielka agencja będzie dysponowała skromniejszą ofertą.

Przyznaję, że się przeliczyłam. Uprzejmy urzędnik przedstawił mi dane chyba z pół tuzina odpowiednich posiadłości. Musiałam wysilić całą swoją inteligencję, aby wynaleźć przekonujące powody, dla których te oferty mi nie odpowiadają. Pod koniec obawiałam się już, że szczęście przestanie mi dopisywać.

- I naprawdę nie dysponuje pan niczym innym? - zapytałam z uczuciem, patrząc urzędnikowi prosto w oczy. - Rozumie pan, chodzi mi o posiadłość położoną nad samą rzeką, z dużym ogrodem i niewielką stróżówką. - Tu dodałam jeszcze kilka szczegółów odpowiadających rezydencji Mill House, jakie zaczerpnęłam z opisów w gazetach.

- Cóż, jest oczywiście posiadłość sir Eustachego Pedlera - zaczął agent z wahaniem. - Mill House. Może pani słyszała...

- Ale... to nie tam?... - zaczęłam niepewnie. Udawanie wahania w głosie zdecydowanie przychodziło mi coraz lepiej.

- Właśnie! Tam gdzie popełniono morderstwo. Więc pewnie pani nie zechce...

- Och, nie sądzę, żebym miała coś przeciwko temu - powiedziałam, udając, że staram się mówić swobodnie. W ten

sposób stawałam się bardziej wiarygodna. - Poza tym.. w tych okolicznościach może mogłabym wynająć to taniej. To było mistrzowskie zagranie, pomyślałam.

- To niewykluczone. Chociaż wynajęcie nie będzie proste. Pani rozumie, kłopoty ze służbą i tak dalej. Jeśli jednak miejsce się pani spodoba, radziłbym złożyć ofertę. Czy mam wypisać upoważnienie?

- Tak, bardzo proszę.

W kwadrans później znalazłam się przed stróżówką Mill House. Na moje pukanie drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stanęła wysoka kobieta w średnim wieku.

- Nie, nikogo nie wpuszczam do domu, słyszała pani? Już mi niedobrze od tych wszystkich reporterów. Polecenie sir Eustachego Pedlera.

- Sądziłam, że dom jest do wynajęcia - powiedziałam ozięble, wyjmując upoważnienie - ale skoro to już nieaktualne...

- Och, najmocniej panią przepraszam, ale dosłownie nie mogłam się opędzić od dziennikarzy. Ani chwili spokoju. Nie, dom nie jest jeszcze wynajęty i nie sądzę, aby wkrótce został.

- Czyżby kanalizacja była nie w porządku? - zapytałam szeptem pełnym obaw.

- Ach Boże, panienko, kanalizacja jest w porządku. Ale pewnie pani słyszała o tej zagranicznej damie, co to ją tu zamordowano.

- Chyba coś czytałam w gazetach - powiedziałam obojętnym tonem.

Mój brak zainteresowania wyraźnie ubódł tę kobietę. Gdybym zdradzała objawy ciekawości, pewnie zamknęłaby się w sobie niczym ostryga. Teraz jednak pofolgowała swojej chęci mówienia.

- Musiała panienka o tym czytać. Było we wszystkich gazetach. „Daily Budget” nadal poszukuje tego człowieka, który

to zrobił. Ich zdaniem, nasza policja wcale nie jest taka dobra, jak się wydaje. Aleja mam nadzieję, że go złapią, chociaż - nie powiem - wyglądał dość miło. Miał w sobie coś z wojskowego. Może był ranny podczas wojny i coś mu się porobiło z głową, tak jak mojemu siostrzeńcowi. Może ona go wykorzystywała? Cudzoziemcy to często niedobrzy ludzie. Przyznaję, że była przystojna. Stała dokładnie tu, gdzie pani teraz.

- Była jasnowłosa czy ciemna? - zaryzykowałam pytanie. - Z tych opisów w gazetach niczego się pani nie dowie.

- Miała ciemne włosy i bladą cerę. Za bladą, żeby to mogło być naturalne. A usta to miała wymalowane na taki krwisty kolor. Nie bardzo mi się to podobało. Odrobina pudru - to zupełnie inna sprawa.

Gawędziłyśmy teraz jak dobre przyjaciółki. Zaryzykowałam następne pytanie.

- Czy była zdenerwowana albo wystraszona?

- Skądże znowu. Uśmiechała się do siebie, jakby ją coś bawiło. Mówię pani, gdy następnego dnia przybiegło tu pędem tych dwoje, wołając, że popełniono morderstwo i że trzeba dzwonić na policję, poczułam się jak uderzona obuchem. Nigdy się z tego nie otrząsnę. A o postawieniu nogi w tym domu po zapadnięciu ciemności to już zupełnie nie może być mowy. Nie zostałamby nawet tutaj, w stróżówce, gdyby sir Eustachy nie błagał mnie o to na klęczkach.

- Sądziłam, że sir Pedler przebywa w Cannes.

- Był, panienko. Ale wrócił do Anglii, gdy tylko usłyszał o tym trupie. Z tym „na klęczkach” to może trochę przesadziłam, ale tak się zwykle mówi. Po prostu sekretarz, pan Pagett, dwukrotnie zwiększył mi pobory. Mój John zawsze powtarza, że pieniądze to zawsze pieniądze.

Zgodziłam się z tą bynajmniej nieoryginalną uwagą.

- Natomiast ten młody człowiek, o, ten to był zdenerwowany - powiedziała pani James, wracając do poprzedniego wątku. - Oczy mu tak błyszczały, że nie wiem. Od razu to zauważyłam. Pomyślałam sobie, że musi być czymś podniecony albo przejęty. Ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że coś mogłoby być nie w porządku. Nawet gdy tu wrócił z kluczami i wyglądał tak dziwnie.

- Jak długo przebywał w domu?

- Pięć minut, nie więcej.

- Ile, pani zdaniem, mógł mieć wzrostu? Sześć stóp?

- Tak, pewnie ze sześć.

- I mówi pani, że był gładko wygolony?

- Nie miał nawet wąsika.

- A czy podbródek mu błyszczał? - zapytałam tknięta nagłym impulsem.

Pani James popatrzyła na mnie z wyrazem przestachu w oczach.

- Teraz, jak panienka to powiedziała, to rzeczywiście przypominam sobie, że błyszczał. Ale skąd to panienka wiedziała?

- To dość niezwykle zjawisko, ale mordercy często mają błyszczące podbródki - rzuciłam bez zastanowienia.

Pani James wzięła moje tłumaczenie za dobrą monetę.

- Co też panienka mówi? Nigdy przedtem o tym nie słyszałam.

- A czy zauważyła pani może, jaki miał typ czaszki?

- Zupełnie zwyczajny typ. Przyniosę paniencie klucze. Zabrałam klucze i skierowałam się w stronę domu. Jak do tej pory, rozumowałam prawidłowo. Różnice w wyglądzie „lekarza” z metra i mężczyzny opisanego przez panią James były doprawdy bez znaczenia. Palto, broda, okulary w złotej oprawie. „Doktor” wyglądał co prawda na osobę w średnim wieku, jednak nad ciałem zmarłego pochylił się z wielką żywością i zręcznością. Ta sprężystość ruchów dowodziła, że musiał być młody.

Ofiara wypadku w metrze (Człowiek z Naftaliny, jak go nazywałam w myślach) i ta cudzoziemka, pani de Castina, czy jak tam naprawdę brzmiało jej nazwisko, wyznaczyli sobie spotkanie w Mill House. Ich plan był następujący. Obawiając się, że ktoś ich może śledzić, albo z jakiegoś innego powodu, wybrali dość prostą metodę. Obydwoje wzięli upoważnienia od agenta na obejrzenie tego samego domu. Ich spotkanie wyglądałoby na absolutny zbieg okoliczności.

To, że Człowiek z Naftaliny przypadkiem dostrzegł „doktora” i że ten widok był dla niego kompletnym zaskoczeniem, było dla mnie oczywiste. Ale co nastąpiło później? „Doktor”, pozbywszy się przebrania, podążył do Marlow za kobietą. Niewykluczone, że przebierał się w pośpiechu i na podbródku mógł ciągle mieć ślady kleju. Stąd pytanie, które zadałam pani James.

Pogrążona w myślach stanęłam przed niskimi, staroświeckimi drzwiami Mill House. Przekręciłam klucz w zamku i weszłam do środka. Hol był niewysoki i ciemny. W powietrzu unosił się zapach pleśni. Panowała tu atmosfera opuszczenia. Zadrzałam. Czy kobieta, która przysłała tu kilka dni temu, „uśmiechając się do siebie”, nie miała żadnych przeczuc wchodząc do tego domu? Czy może uśmiech zamarł na jej wargach, a serce ścisnęła bezlitosna, lodowata dłoń strachu? A może wchodziła po schodach ciągle uśmiechając się, zupełnie nieświadoma zbliżającego się niebezpieczeństwa? Serce zaczęło mi bić szybciej. Czy aby dom na pewno jest pusty? A jeśli przeznaczenie czeka tu także i na mnie? Po raz pierwszy pojęłam znaczenie jakże często nadużywanego słowa „atmosfera”. Tak, w Mill House panowała atmosfera zagrożenia, atmosfera okrucieństwa. W tym domu czaiło się zło.

Starając się opanować ogarniające mnie uczucie strachu, zdecydowanym krokiem ruszyłam na górę. Bez trudu odnalazłam pomieszczenie, w którym wydarzyła się tragedia. W dniu kiedy odkryto ciało, padał ulewny deszcz i zabłocone buty wielu osób pozostawiły liczne ślady na ogołoczonej z dywanu podłodze. Zastanawiałam się, czy morderca także pozostawił jakieś ślady. Jeżeli tak, to policja wykazała w tej sprawie pewną powściągliwość. Po namyśle odrzuciłam jednak to przypuszczenie. W dniu morderstwa było ciepło i sucho.

Sam pokój nie wyglądał interesująco. Miał kształt niemal kwadratowy, dwa wykuszowe okna, zwykle białe ściany i gładką, niczym nie przykrytą podłogę. Plamy na gołych deskach wskazywały miejsce, gdzie kiedyś kończył się dywan. Obejrzałam wszystko bardzo dokładnie, ale nie znalazłam dosłownie nic. Nic nie wskazywało na to, aby młody, utalentowany detektyw miał odkryć przeoczony przez policję trop.

Wyciągnęłam notes i ołówek. Nie miałam nic do zanotowania, wobec czego zaczęłam pracowicie sporządzać szkic pokoju. Robiłam to głównie po to, aby ukryć swoje rozczarowanie spowodowane brakiem jakichkolwiek śladów. Wkładałam właśnie ołówek z powrotem do torebki, gdy nagle wysliznął mi się z palców i potoczył po podłodze.

Dom był stary, więc podłogi w nim były nierówne, wypaczone. Ołówek toczył się coraz prędzej, wreszcie zatrzymał się pod oknem. W obu wykuszach znajdowały się szerokie parapety, pod parapetami zaś wbudowane były niewielkie szafki. Mój ołówek zatrzymał się dokładnie na wprost jednej z nich. Drzwiczki szafki były oczywiście zamknięte. Pomyślałam, że gdyby były otwarte, ołówek zatrzymałby się dopiero w środku. Otworzyłam drzwiczki - ołówek natychmiast wturlał się do szafki i potoczył w jej najodleglejszy koniec. Sięgnęłam po niego. Ze względu na nieregularny kształt szafki i brak światła nie mogłam go nawet dojrzeć, musiałam więc szukać po omacku. W szafce nie było nic poza ołówkiem. Jako osoba z natury systematyczna zajęłam się drugą szafką.

Na pierwszy rzut oka także wyglądała na pustą, jednak grzebałam w niej wytrwale i wkrótce mój wysiłek został nagrodzony. Natrafiłam ręką na sztywny, papierowy cylinder spoczywający w niewielkim zagłębieniu w najodleglejszym kącie szafki. Od razu się domyśliłam, co to może być. Rolka filmu Kodaka. Nareszcie jakiś trop!

Oczywiście zdawałam sobie sprawę z tego, że film równie dobrze mógł należeć do sir Eustachego Pedlera i tkwić tam już od dłuższego czasu, ale jakoś nie wydawało mi się to prawdopodobne. Czerwony papier chroniący film nie był specjalnie zakurzony; wyglądał tak, jakby leżał tam najwyżej od dwóch, trzech dni - a więc od dnia morderstwa. Po dłuższym czasie z pewnością pokrywałaby go grubsza warstwa kurzu.

Kto go tutaj zgubił, mężczyzna czy kobieta? Zawartość jej torebki była chyba nienaruszona. Gdyby torebka otwarła się gwałtownie w czasie szarpaniny i wypadła niej rolka filmu, prawdopodobnie wysypałyby się też pieniądze i inne drobiazgi. Nie, tego filmu nie zgubiła kobieta.

Tknięta nagłą myślą obwąchałam film podejrzliwie. Czyżby zapach naftaliny stał się moją obsesją? Mogłabym przysiąc, że film też jest nim przesiąknięty. Przytrzymałam opakowanie przy nosie. Rzeczywiście. Oprócz specyficznego zapachu samego filmu wyraźnie czułam naftalinę. No tak, do krawędzi opakowania przyczepiła się jakaś nitka, intensywnie wydzielająca woń, której tak nie

lubiłam. A więc przez jakiś czas film musiał spoczywać w kieszeni mężczyzny zabitego w metrze. Czy to on zgubił go tutaj? Raczej nie. Policja dość dokładnie zbadała wszystkie jego poruszenia.

Nie, to musiał być ten drugi, ten udający lekarza. Zabrał film, podobnie jak zabrał kawałek papieru. I potem upuścił go podczas szamotaniny z kobietą.

Wreszcie natrafiłam na jakiś trop. Trzeba tylko wywołać film i będę mogła pójść tym śladem.

Dumna z siebie opuściłam Mill House, oddałam klucze pani James i pośpieszyłam na stację. W drodze do domu raz jeszcze przestudiowałam znalezioną kartkę. I nagle liczby nabrały dla mnie zupełnie nowego znaczenia. Załóżmy, że to była data. 17 i 22. Siedemnasty stycznia 1922 roku. No jasne! Ale w takim razie muszę jak najprędzej znaleźć Kilmorden Castle, bo dzisiaj mamy już czternastego. Trzy dni to nie jest dużo, zważywszy, że nie mam pojęcia, gdzie go szukać.

Było już zbyt późno, bym mogła jeszcze tego samego dnia oddać film do wywołania. Jeśli nie chciałam spóźnić się na obiad, powinnam jak najprędzej wracać do Kensington. Ale przecież tam będę mogła sprawdzić, czy moja teoria jest prawdziwa. Pan Flemming żywo interesował się sprawą wypadku w metrze i znał wszystkie szczegóły dotyczące śledztwa. Zapytałam go, czy wśród rzeczy należących do zabitego mężczyzny był aparat fotograficzny.

Ku mojemu rozczarowaniu odparł, że nie. Wszystkie rzeczy pana Cartona zostały dokładnie przeszukane, w nadziei że znajdzie się wśród nich coś, co pozwoli rzucić jakieś światło na stan jego umysłu. Aparatu fotograficznego nie było z całą pewnością.

Ten fakt zdawał się raczej przeczyć mojej teorii. Skoro nie miał aparatu fotograficznego, po cóż miałby nosić ze sobą filmy?

Następnego dnia zerwałam się bardzo wcześnie, aby moją cenną rolkę oddać do wywołania. Tak się o nią trzęsłam, że poszłam aż na Regent Street, do firmowego sklepu Kodaka. Wręczyłam opakowanie i poprosiłam o zrobienie odbitek. Sprzedawca kończył właśnie układanie stosu filmów opakowanych w żółte, metalowe cylindry, jakie stosuje się w tropikach, i sięgnął po moją rolkę. Popatrzył na mnie.

- Pani się chyba pomyliła - powiedział z uśmiechem.

- Ależ nie, z całą pewnością nie.

- Pani mi dała niewłaściwy film. Przecież ten jest w ogóle nie naświetlony.

Wyszłam ze sklepu z taką godnością i opanowaniem, na jakie się tylko potrafiłam zdobyć. To doprawdy dobra lekcja, uświadomić sobie od czasu do czasu, że jest się idiotką. Ale większość z nas tego nie lubi.

Przechodziłam właśnie koło dużego biura okrętowego, gdy nagle zatrzymałam się gwałtownie. W oknie wystawiony był model jednego ze statków należących do kompanii. Podpis na tabliczce głosił: „Kenilworth Castle”. Czyżby?... Pchnęłam drzwi i weszłam do środka. Podeszłam do lady i załamującym się głosem (tym razem wcale nie udając) wymamrotałam:

- „Kilmorden Castle”?

- Odpływa siedemnastego z Southampton. Pani do Kapsztadu? Pierwsza czy druga klasa?

- A jaka jest cena?

- Pierwsza klasa osiemdziesiąt siedem funtów... Przerwałam urzędnikowi. Zbieg okoliczności był wprost nadzwyczajny. Dokładnie tyle wynosił mój legat! Zdecydowałam postawić wszystko na jedną kartę.

- Pierwsza klasa - oznajmiłam.

Teraz już tkwiłam w przygodzie po uszy.

## VIII

*(Wyjątki z dziennika sir Eustachego Pedlera, członka Parlamentu)*

Czy ja już nigdy w życiu nie będę miał świętego spokoju? Należę do ludzi, którzy preferują uporządkowany, niczym niezmacony tryb życia. Lubię mój klub, partyjkę brydża, dobrze przyrządzone posiłki, wyborne wina. Lubię Anglię latem i Riwierę zimą. Nigdy nie pragnąłem uczestniczyć w żadnych sensacyjnych wydarzeniach. Owszem, nie mam nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu poczytać sobie o nich, siedząc wygodnie przed kominkiem. Ale na rym całe moje zaangażowanie się kończy. Moim celem jest możliwie jak najwygodniejszy tryb życia. Realizacji tego celu poświęciłem sporo czasu i sporo pieniędzy, jednak nie mogę powiedzieć, że udało mi się to w stu procentach. Jeśli nawet jakaś sprawa nie dotyczy mnie osobiście, to tyle rozmaitych rzeczy dzieje się wokół mnie, że często - zupełnie wbrew sobie - zostaję w coś wplątany. Nienawidzę tego.

Tym razem zaczęło się od tego, że Guy Pagett wkroczył z samego ranka do mojej sypialni, z twarzą ponurą niczym karawaniarz na pogrzebie. W ręku trzymał telegram.

Guy Pagett to mój sekretarz. Gorliwy, pracowity, staranny, godny podziwu pod każdym względem. Nie znam doprawdy nikogo, kto by mnie drażnił bardziej niż on. Przez długi czas wysilałem swój umysł, żeby się go pozbyć. Nie można przecież wymówić sekretarzowi tylko dlatego, że przedkłada on pracę nad rozrywkę, lubi wczesnie wstawać i nie ma żadnych wad. Jediną zabawną rzeczą u Pagetta jest jego twarz. Pagett wygląda niczym czternastowieczny truciciel. Wyobrażam sobie, że Borgiowie zatrudniali podobne typy do wykonywania brudnej roboty.

Może nie miałbym nic przeciwko Pagettowi, gdyby nie zmuszał do wysiłku także i mnie. Moim zdaniem, praca jest czymś, co należy traktować lekko i beztrosko, wręcz lekceważyć. Wątpię, czy

Guy Pagett kiedykolwiek potraktował cokolwiek lekko i beztrzesko. Dlatego tak trudno jest z nim współżyć.

W ubiegłym tygodniu wpadłem na znakomity pomysł i wysłałem go do Florencji. Dużo opowiadał o tym mieście i wspominał, że chętnie by je kiedyś zobaczył.

- Oczywiście, mój chłopcze! - zawołałem od razu. - Musisz tam jechać, najlepiej jutro. Pokrywam wszelkie koszty.

Styczeń nie jest najlepszym miesiącem do zwiedzania Florencji, ale Pagettowi z pewnością było wszystko jedno. Mogłem go sobie wyobrazić, jak z całym nabożeństwem, trzymając w ręku przewodnik, zalicza po kolei wszystkie galerie. Cały tydzień swobody naprawdę wart był swojej ceny.

To był wspaniały tydzień. Robiłem wszystko, na co miałem ochotę, nie zajmując się niczym, na co nie miałbym chęci. Ale teraz, kiedy mrużąc oczy zobaczyłem Pagetta zasłaniającego mi światło, o tej nieprawdopodobnie wczesnej porze, o godzinie dziewiątej rano, uświadomiłem sobie, że koniec z moją wolnością.

- I cóż, mój drogi - odezwałem się - czy pogrzeb już się odbył, czy też będzie miał miejsce nieco później?

Pagett jest kompletnie pozbawiony poczucia humoru. Teraz popatrzył na mnie z powagą.

- A więc pan już wie, sir Eustachy?

- Co wiem? - zapytałem gniewnie. - Z wyrazu twojej twarzy wywnioskowałem, że będziesz musiał oddać ostatnią przysługę komuś z twoich najbliższych.

Pagett zupełnie zignorował ten dowcip.

- Cóż, przypuszczałem, że nie może pan jeszcze wiedzieć. - Lekko potrząsnął telegramem. - Wiem, że nie lubi pan być budzony wcześniej, ale jest już dziewiąta - Pagett uparcie traktuje dziewiątą rano jako bez mała środek dnia - więc pomyślałem sobie, że w tych okolicznościach... - Ponownie potrząsnął telegramem.

- Ale o co chodzi? - zapytałem.

- Telegram od policji w Marlow. W pańskim domu została zamordowana jakaś kobieta.

Dopiero te słowa rozbudziły mnie na dobre.

- Co za impertynencja! - wykrzyknąłem. - Dlaczego akurat w moim domu? I kto ją zamordował?

- Tego nie podają. Myślę, że powinniśmy natychmiast wracać do Anglii.



- Nie musisz wcale tak myśleć. Dlaczego mielibyśmy wracać?

- Policja...

- A cóż ja mogę mieć wspólnego z policją?

- W końcu morderstwo miało miejsce w pańskim domu.

- To przecież nie moja wina, to raczej nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Guy Pagett ponuro potrząsnął głową.

- To się z pewnością nie spodoba wyborcom - oznajmił żałobnym tonem.

- Nie rozumiem, czemu... - zacząłem.

Niestety, w głębi duszy zdawałem sobie sprawę z tego, w tej materii instynkt Pagetta nie zawodzi. Co prawdę członek parlamentu nie stanie się mniej kompetentny tylko dlatego, że w pustym domu, który do niego należy, dała się zamordować jakaś obca, młoda kobieta, nie sądzę jednak, aby szacowna brytyjska publiczność podzielała ten punkt widzenia.

- Była cudzoziemką, a to czyni całą sprawę jeszcze trudniejszą - dodał Pagett grobowym głosem.

Ponownie musiałem przyznać mu rację.

Już samo znalezienie w domu zamordowanej kobiety psuje człowiekowi opinię, a fakt, że ofiara była cudzoziemką, tylko pogarsza całą sprawę. W dodatku przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl.

- Wielkie nieba! - wykrzyknąłem. - Mam nadzieję, że ta historia nie zdenerwowała Karoliny.

Karolina to moja kucharka. Przypadkowo jest też żoną mojego ogrodnika. Pojęcia nie mam, jaka jest jako żona, ale kucharka z niej wyśmienita. James z kolei wcale nie jest dobrym ogrodnikiem, ale toleruję jego próżniactwo i pozwalam mu mieszkać w stróżówce wyłącznie przez wzgląd na talenty kulinarne Karoliny.

- Nie sądzę, aby zgodziła się zostać po tym wszystkim - mówił Pagett.

- Zawsze potrafiłeś dodać człowiekowi otuchy - skomentowałem.

Przypuszczam, że rzeczywiście będę musiał wrócić do Anglii. Pagett stwierdził to zupełnie jasno. W dodatku trzeba ułagodzić Karolinę.

*Trzy dni później*

Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie, którzy zimą mogliby wyjechać z Anglii, nie czynią tego. Tutejszy klimat jest obrzydliwy. Cała ta sprawa jest mocno irytująca. Agent handlu nieruchomościami twierdzi, że po tym wszystkim wynajęcie domu będzie zgoła niemożliwe. Karolinę udało się udobruchać podwójną zapłatą. Równie dobrze mogliśmy jej wysłać telegram z Cannes. Tak naprawdę nasz przyjazd był absolutnie bezcelowy. Od samego początku to mówiłem. Jutro wracam na Riwierę.

*Nazajutrz*

Wydarzyło się kilka zaskakujących rzeczy. Przede wszystkim spotkałem Augusta Milraya, najdoskonalszy model starego osła, jaki udało się wyprodukować naszemu rządowi. Jego zachowanie z daleka zapowiadało jakiś dyplomatyczny sekret. Dopadł mnie w klubie i od razu zaciągnął w cichy kąt pokoju. Perorował przez dłuższą chwilę. Mówił o Południowej Afryce i o tamtejszej sytuacji gospodarczej, o pogłoskach na temat strajku w Randzie [Rand, Widwatersrand - region górniczy w Południowej Afryce, jeden z największych w świecie ośrodków wydobywania złota.] i o tajemniczych siłach podżegających do tego strajku. Słuchałem go z całą cierpliwością, na jaką mnie było stać. Wreszcie zniżył głos do szeptu i oznajmił, że pojawiły się pewne dokumenty, które powinny bezzwłocznie zostać przekazane do rąk generała Smutsa.

- Masz bez wątpienia rację - powiedziałem, tłumiąc ziewnięcie.

- Ale jak mu je dostarczyć? Sytuacja jest delikatna, niezmiernie delikatna.

- Najlepiej pocztą - powiedziałem pocieszającym tonem. - Naklejasz znaczek za dwa pensy i wrzucasz list do najbliższej skrzynki.

Milray był najwyraźniej zaszokowany tą propozycją.

- Mój drogi, zwykłą pocztą?!

Zawsze stanowiło dla mnie zagadkę, dlaczego rządy używają poczty dyplomatycznej, przez co ich tajne przesyłki przyciągają powszechną uwagę.

- Jeśli z jakiś powodów poczta ci nie odpowiada, wyślij któregoś z twoich młodych współpracowników. Z pewnością go ucieszy taka wycieczka.

- To niemożliwe - powiedział Milray, trzęsąc głową niczym niedołączony staruszek. - Są pewne powody. Zapewniam cię, mój drogi, że są pewne powody.

- Cóż - powiedziałem wstając - to naprawdę szalenie interesujące, ale obawiam się, że muszę już iść.

- Jeszcze chwilę, mój drogi, jeszcze tylko chwilę. Zaklinam cię. Powiedz mi, proszę, czy to prawda, że w najbliższym czasie wybierasz się do Południowej Afryki. Przecież masz rozległe interesy w Rodezji i kwestia, czy Rodezja przyłączy się do Związku, powinna być dla ciebie niezmiernie istotna.

- Szczerze mówiąc, myślałem, żeby wyjechać w przyszłym miesiącu.

- A czy nie mógłbyś przyspieszyć swojego wyjazdu? Pojechać w tym miesiącu? Nawet w tym tygodniu?

- Mógłbym - powiedziałem, spoglądając na niego z pewnym zainteresowaniem - nie wiem natomiast, czy chciałbym.

- W ten sposób oddałbyś rządowi ogromną przysługę. Z pewnością mógłbyś oczekiwać pewnej... hm... wdzięczności.

- Krótko mówiąc, chcesz, abym zabawił się w listonosza?

- Właśnie. Jedziesz zupełnie prywatnie, masz powody do wizyty w Afryce. Tak, to znakomite rozwiązanie.

- Dobrze - powiedziałem powoli. - Zrobię to. Właściwie jedyna rzecz, na jaką mam w tej chwili ochotę, to wyjechać z Anglii tak szybko, jak tylko to jest możliwe.

- Klimat Południowej Afryki z pewnością uznasz za rozkoszny.

- Mój drogi, doskonale wiem, jaki tam panuje klimat.

Przecież byłem tam już przed wojną.

- Jestem ci niezmiernie zobowiązany, Pedler. Dokumenty przyślę przez posłańca. Generał Smuts musi je otrzymać do rąk własnych. W najbliższą sobotę odpływa „Kilmorden Castle”. To dobry statek.

Odprowadziłem go kawałek Pall Mall, po czym rozstaliśmy się. Przy pożegnaniu długo potrząsał moją ręką, dziękując mi wylewnie. Idąc do domu, zastanawiałem się nad osobliwościami polityki rządu.

Następnego dnia mój kamerdyner Jarvis zameldował, że jakiś dżentelmen pragnie się ze mną zobaczyć, odmawia jednak podania swego nazwiska. Czując żywą niechęć do nagabywań różnych agentów ubezpieczeniowych, powiedziałem Jarvisowi, że go nie przyjmę. Oczywiście Pagett, kiedy wreszcie choć raz mógłby się na coś przydać, leżał złożony atakiem gastrycznym. To częsta przypadłość ludzi takich jak on - poważnych, ciężko pracujących, obdarzonych przez naturę słabym żołądkiem. Jarvis wrócił.

- Ten dżentelmen twierdzi, że przychodzi od pana Milraya.

To zmieniało postać rzeczy. W kilka chwil później przyjąłem mojego gościa w bibliotece. Był to dobrze zbudowany mężczyzna o mocno ogorzalej cerze. Twarz, chociaż zniekształconą blizną biegnącą od kącika oka aż do szczęki, można by nawet nazwać przystojną. Malował się na niej wyraz brawury.

- Tak? - zapytałem. - Słucham pana.

- Przychodzę z polecenia pana Milraya, sir. Mam panu towarzyszyć do Południowej Afryki jako pański sekretarz.

- Ależ ja już mam sekretarza i nie życzę sobie drugiego.

- Czyżby, sir? A gdzie jest teraz pański sekretarz?

- Ma atak gastryczny - wyjaśniłem.

- Czy jest pan pewien, że to tylko atak gastryczny?

- Oczywiście. Często na to cierpi. Mój gość uśmiechnął się.

- Może to jest atak gastryczny, a może nie. Czas pokaże. Ale mogę pana zapewnić, że pan Milray nie zdziwiłby się wcale, gdyby ktoś usiłował usunąć z drogi pańskiego sekretarza. Och, o własne bezpieczeństwo nie potrzebuje się pan obawiać... - Sądzę, że na mojej twarzy musiał pojawić się wyraz pewnego niepokoju. - Pan osobiście nie jest zagrożony. Natomiast ktoś mógłby podjąć próbę usunięcia pańskiego sekretarza, by mieć łatwiejszy dostęp do pana. W każdym razie pan Milray życzy sobie, abym panu towarzyszył. Koszta podróży pokrywamy oczywiście my, pan jednak musi załatwić takie formalności jak paszport i tym podobne. Oficjalnie to przecież pan zdecydował się na podróż w towarzystwie drugiego sekretarza.

Młody człowiek wyglądał na zdeterminowanego. Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie, wreszcie zmusił mnie do opuszczenia wzroku.

- Dobrze - powiedziałem niechętnie.

- Proszę nikomu nie rozpowiadać, że jadę z panem.

- Dobrze - powtórzyłem.

Właściwie było nawet lepiej wziąć go ze sobą, jednak miałem przecucie, że oto znowu porywa mnie wir wydarzeń. I to właśnie wtedy, kiedy wydawało mi się, że nareszcie odzyskam święty spokój.

Mój gość zbierał się już do odejścia, kiedy zatrzymałem go jeszcze.

- Byłoby dobrze, gdybym przynajmniej wiedział, jak się nazywa mój nowy sekretarz - zauważyłem ironicznie.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Harry Rayburn brzmi chyba odpowiednio - rzekł w końcu.

Jakoś dziwnie się wyraził.

- Dobrze - powiedziałem po raz trzeci.

## IX

### *(Opowiadanie Anny)*

To jest niegodne heroiny - cierpieć na chorobę morską. W powieściach im bardziej kołysze statkiem, tym lepiej czuje się bohaterka. Podczas gdy inni chorują, ona śmiałym krokiem przemierza pokład, z zachwytem obserwując sztorm i rozkoszując się grą żywiołów. Z żalem muszę przyznać, że gdy tylko poczułam kołysanie statku, zbladłam i pośpieszyłam do kabiny. Sympatyczna stewardessa, która się mną zaopiekowała, przyniosła mi tosty i piwo imbirowe.

Trzy dni spędziłam w kabinie, pojękując cichutko. Zapomniałam zupełnie o moim śledztwie. Nie miałam najmniejszej ochoty na rozwiązywanie zagadek kryminalnych. Byłam zupełnie inną Anną niż ta, która z uczuciem triumfu wracała na South Kensington Square po wizycie w biurze okrętowym.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie swojego dosyć gwałtownego wtargnięcia do salonu. Pani Fleming była sama. Na odgłos moich kroków odwróciła głowę.

- Czy to ty, Anno, kochanie? Chciałabym z tobą porozmawiać.

- Tak? - odparłam, starając się poskromić rozpierające mnie uczucie radości.

- Panna Emery odchodzi.

Panna Emery była guwernantką.

- Ponieważ nie udało mi się znaleźć nikogo na jej miejsce, więc pomyślałam sobie, że może ty... Byłoby mi bardzo miło, gdybyś u nas została.

Poczułam nagłe wzruszenie. Nie chciała mnie w swoim domu, wiedziałam, że mnie nie chciała. A jednak powodowana chrześcijańskim miłosierdziem zaproponowała mi, abym została. Miałam teraz wyrzuty sumienia, że tak ją przedtem krytykowałam. Kierowana nagłym impulsem przebiegłam przez pokój i zarzuciłam jej ręce na szyję.

- Pani jest kochana, kochana, kochana! Dziękuję pani z całego serca. Jednak w sobotę wyjeżdżam do Południowej Afryki.

Mój wybuch zaskoczył tę biedną kobietę. Najwyraźniej nie była przyzwyczajona do takiego demonstrowania uczuć. A moje słowa zdumiały ją jeszcze bardziej.

- Do Południowej Afryki? Ależ Anno, nad tego rodzaju planem trzeba się zastanowić bardzo dokładnie.

Była to ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę. Wytłumaczyłam, że bilet mam już zarezerwowany i że na miejscu mam podjąć pracę pokojówki. Tyle tylko potrafiłam naprędce wymyślić. W Południowej Afryce pokojówki są bardzo poszukiwane, mówiłam. Zapewniłam, że potrafię sama zadbać o siebie, i pani Flemming, z lekkim westchnieniem ulgi, że wreszcie się mnie pozbędzie, zaakceptowała mój plan bez dalszej dyskusji. Żegnając się ze mną, wsunęła mi do ręki kopertę.

W środku znalazłam pięć nowiutkich banknotów pięciofuntowych i bilecik ze słowami: „Mam nadzieję, że nie poczujesz się urażona tym drobnym upominkiem i przyjmiesz go wraz z wyrazami miłości.” Pani Flemming była naprawdę życzliwą kobietą. Nie potrafiłabym z nią zamieszkać, ale doceniłam dobroć jej serca.

Tak więc z dwudziestoma pięcioma funtami w kieszeni wyruszałam na podbój świata.

Czwartego dnia podróży stewardessie udało się wreszcie wyprawić mnie na pokład. Przedtem, mając wrażenie, że na dole umrę znacznie prędzej, odmawiałam opuszczenia mojej nory. Dopiero pokusa zobaczenia Madery wywabiła mnie na górę. Poczułam w sercu nadzieję. Przecież mogę opuścić statek i zostać pokojówką na Maderze. Byle tylko postawić stopę na suchym lądzie.

Słaba jak niemowlę, poowijana w płaszcze i pledy, zostałam odtransportowana na górę i usadowiona na leżaku. Siedziałam z zamkniętymi oczami, przeklinając życie. Płatnik okrętowy, młody, jasnowłosy mężczyzna z okrągłą, chłopięcą twarzą usiadł obok mnie.

- Użalamy się nad sobą, co?

- Tak - odparłam, czując, że go nienawidzę.

- Za dzień, dwa wszystko minie. Na Biskajach trochę huštało, ale przed nami pas pięknej pogody. Jutro spotkamy się przy grze w pierścienie.

Nic nie odpowiedziałam.

- Teraz wydaje się pani, że nigdy nie poczuje się pani lepiej. Widywałem już ludzi w gorszym stanie. W dwa, trzy dni później byli duszą całego towarzystwa na statku. Z panią będzie tak samo.

Nie miałam w sobie dość siły, by mu prosto w oczy powiedzieć, że kłamie, ale usiłowałam wyrazić to wzrokiem. Płatnik gawędził jeszcze przez chwilę, potem miłosiernie oddalił się. Pasażerowie spacerowali po pokładzie, tu i tam przechadzały się tryskające energią pary, roześmiani

młodzieńcy i podskakujące dzieci. Kilku innych trupiobladych cierpiętników leżało, podobnie jak ja, na leżakach.

Powietrze było przyjemne, rześkie, ale nie chłodne, dzień słoneczny. Poczułam się troszeczkę raźniej. Zaczęłam obserwować pasażerów. Szczególnie jedna z kobiet zwróciła moją uwagę. Miała zapewne koło trzydziestu lat, była niezbyt wysoka, o okrągłej twarzy z dołeczkami w policzkach, jasnoblond włosach i intensywnie niebieskich oczach. Jej suknia, aczkolwiek zupełnie prosta, odznaczała się tym szykiem, który od razu każe człowiekowi myśleć o Paryżu. No i jej sposób bycia; ta pewność siebie, zupełnie jakby cały statek do niej należał.

Steward pokładowy natychmiast był na jej usługi. Miała do dyspozycji specjalny leżak i całą masę poduszek. Trzy razy kazała stewardowi przestawiać leżak, nie mogąc się zdecydować na wybór miejsca. Ale nawet grymasząc była pełna wdzięku. Widocznie reprezentowała ten rzadki typ ludzi, którzy wiedzą, czego chcą, wiedzą, że mogą to osiągnąć, i potrafią się tego domagać, nie zachowując się arogancko. Pomyślałam sobie, że gdybym mimo wszystko poczuła się lepiej - co jest oczywiście absolutnie niemożliwe - z przyjemnością nawiązałabym z nią rozmowę.

Około południa przybiliśmy do brzegów Madery. Ciągle byłam zbyt apatyczna, żeby zrobić choć parę kroków, ale z przyjemnością przyglądałam się handlarzom, którzy weszli na pokład i rozłożyli się ze swoimi towarami bezpośrednio na deskach.

Sprzedawali też kwiaty. Zanurzyłam nos w ogromnym bukiecie słodkich, wilgotnych fiołków i zdecydowanie poczułam się lepiej. Pomyślałam, że niewykluczone, iż dotrwam do końca podróży. A kiedy stewardessa zaczęła mi zachwalać bulion, protestowałam dosyć słabo, a później wypłam filiżankę.

Moja atrakcyjna nieznajoma zeszła na ląd. Gdy wróciła, towarzyszył jej wysoki mężczyzna o wojskowym wyglądzie. Miał ciemne włosy i mocno ogorzałą twarz. Zauważyłam go już wcześniej spacerującego po pokładzie i od razu zaliczyłam do kategorii silnych, małomównych mężczyzn z Rodezji. Miał ponad czterdziestkę i lekko siwiejące skronie, ale zdecydowanie był najprzystojniejszym mężczyzną na statku.

Kiedy stewardessa przyniosła mi pled, zapytałam ją, czy wie, kim jest ta atrakcyjna dama.

- Och, to bardzo znana osoba. Pani Zuzanna Blair. Z pewnością czytała pani o niej w gazetach.

Popatrzyłam z ciekawością. Panią Blair zaliczano do najbardziej wytwornych kobiet w towarzystwie. Teraz też jej osobę otaczało powszechne zainteresowanie. Z rozbawieniem zauważyłam, że niejednen z pasażerów usiłował ją zagadnąć, korzystając z tego, że atmosfera podróży sprzyja nawiązywaniu znajomości. Pani Blair stanowczo trzymała wszystkich na dystans, ale robiła to w sposób niezmiernie grzeczny. Całkowicie zaanektowała natomiast owego milczącego dżentelmena, on zaś zdawał się doceniać zaszczyt, jaki przypadł mu w udziale.

Następnego dnia pani Blair w towarzystwie swojego małomównego kawalera kilkakrotnie okrążyła pokład, a potem - ku mojemu zdumieniu - przystanęła koło mojego krzesła.

- I co, lepiej dzisiaj rano?

Podziękowałam mówiąc, że zaczynam wreszcie czuć się jak człowiek.

- Wczoraj wyglądała pani tak, że już oboje z pułkownikiem Race cieszyliśmy się na rozrywkę w postaci pogrzebu na morzu.

Roześmiałam się.

- Świeże powietrze dobrze mi zrobiło.

- Nie ma to jak świeże powietrze - powiedział pułkownik Race uśmiechając się.

- Zamknięcie w dusznej kabinie może wykończyć każdego - oznajmiła pani Blair, siadając na krześle obok mnie i odprawiając swojego towarzysza lekkim skinieniem głowy,

- Pani ma zewnętrzną kabinę? Zaprzeczyłam.

- Ależ biedne dziecko, dlaczego jej pani nie zmieni? Wiele kabin jest wolnych. Mnóstwo pasażerów wysiadło na Maderze i statek płynie niemal pusty. Niech pani porozmawia z płatnikiem. To taki przyjemny chłopak. Przydzielił mi bardzo ładną kabinę, gdyż z poprzedniej nie byłam zadowolona. Musi pani koniecznie porozmawiać z nim podczas lunchu.

Wzdrygnęłam się.

- Ja się stąd nie ruszę.

- Nonsens. Natychmiast idziemy pospacerować. - Pani Blair uśmiechnęła się zachęcająco, ukazując dołeczki w policzkach.

Początkowo wydawało mi się, że nogi mam jak z waty, ale po kilku okrążeniach pokładu poczułam się znacznie lepiej. Po chwili dołączył do nas pułkownik Race.

- Z tamtej strony będziecie mogły panie zobaczyć Pico de Teide na Teneryfie.

- Naprawdę? Może uda mi się go sfotografować.

- Z pewnością nie, mimo to będzie pani pstrykała z zapalem.

Pani Blair roześmiała się.

- Jaki pan nieuprzejmy. Niektóre z moich zdjęć są bardzo dobre.

- Może jakieś trzy procent.

Przeszliśmy na drugą burtę. Pokryty śniegiem, roziskrzony światłami szczyt wynurzał się z delikatnej, różowej mgiełki. Wydałam okrzyk zachwytu. Pani Blair pobiegła po aparat fotograficzny.



Nie zważając na ironiczne uwagi pułkownika, fotografowała zawzięcie.

- Koniec filmu - oznajmiła. - Och - dodała z komicznym rozczarowaniem - przez cały czas miałam całkowicie otwartą przesłonę.

- Uwielbiam przyglądać się dzieciom, jak się bawią nową zabawką - mruknął pułkownik Race.

- Pan jest okropny. Mam jeszcze jedną rolkę.

Z triumfem wyciągnęła film z kieszeni swetra. Nagły przechył statku sprawił, że zachwiała się. Usiłując odzyskać równowagę, chwyciła się relingu i film wymknął jej się z ręki.

- Och - w głosie pani Blair brzmiała prawdziwa rozpacz - czy myślicie, że wypadł za burtę? - Wychyliła się.

- Chyba nie. Być może miała pani szczęście trafić w głowę stewarda na dolnym pokładzie.

Mały chłopiec, który niepostrzeżenie pojawił się za naszymi plecami, zadał w rozek, wydając ogłuszający dźwięk.

- Lunch! - zawołała pani Blair z entuzjazmem. - Od śniadania nie miałam nic w ustach poza dwiema filiżankami herbaty. Lunch, panno Beddingfeld.

- Tak - powiedziałam z wahaniem - chyba jestem głodna.

- Świetnie. Pani siedzi przy jednym stole z płatnikiem. Niech mu pani koniecznie powie o tej kabynie.

Znalazłam drogę do jadalni. Zaczęłam jeść z apetytem i w efekcie spałaszowałam ogromną porcję. Mój wczorajszy rozmówca pogratulował mi tak szybkiego dojścia do formy. Niemal wszyscy zmieniają teraz kabiny, powiedział. Obiecał, że steward przeniesie moje rzeczy do innej.

Przy moim stole siedziała czwórka pasażerów. Ja, dwie starsze panie i pewien misjonarz, który nieustannie opowiadał o „naszych biednych, czarnych braciach”.

Rozejrzałam się po jadalni. Pani Blair siedziała przy stole kapitańskim, obok niej zajmował miejsce pułkownik Race. Po przeciwnej stronie kapitana zajmował miejsce dystyngowany, siwiejący mężczyzna. Wielu pasażerów znałam już z widzenia, jednak jednego z panów siedzących przy kapitańskim stole z całą pewnością widziałam po raz pierwszy. Był wysoki i ciemnowłosy, a jego twarz miała tak złowieszczy wyraz, że aż się przestraszyłam. Z ciekawością zapytałam płatnika, kto to taki.

- Tamten pan? To sekretarz sir Eustachego Pedlera. Bardzo cierpiał na chorobę morską i nie pokazywał się do tej pory. Sir Pedler podróżuje w towarzystwie dwóch sekretarzy i dla żadnego z nich morze nie było zbyt łaskawe. Ten drugi nie opuszcza jeszcze kabiny. Ten tutaj nazywa się Pagett.

A więc sir Eustachy Pedler, właściciel Mill House, także znajdował się na pokładzie

„Kilmorden Castle”. Może to czysty przypadek, a może?...

- Obok kapitana zaś siedzi właśnie sir Eustachy - kontynuował mój rozmówca. - Pompatyczny stary głupiec.

Im dłużej przyglądałam się sekretarzowi, tym mniej mi się podobał. Dziwnie spłaszczona czaszka, mroczne oczy przysłonięte ciężkimi powiekami, blada cera. Poczulałam ukłucie lęku. Dla mnie ta twarz była zwiastunem nieszczęścia.

Wychodząc z salonu znalazłam się zaraz za tym człowiekiem i usłyszałam fragmenty jego rozmowy z chlebodawcą.

- Natychmiast idę załatwić dodatkową kabinę. W pańskiej, zastawionej kufkami, zupełnie nie można pracować.

- Mój drogi - odparł na to sir Eustachy Pedler - moja kabina służy mi, primo, jako miejsce do spania, secundo, jako miejsce do przebierania się. Nigdy bym ci nie zezwolił, abyś się w niej rozkładał z tą twoją maszyną do pisania, która tak obrzydliwie hałasuje.

- Cały czas o tym mówię, sir. Musimy mieć jakieś miejsce do pracy.

W tym momencie odłączyłam się od nich i zesłam na dół, żeby zobaczyć, jak postępuje moja przeprowadzka. Steward właśnie prznosił rzeczy.

- Bardzo ładna kabina, mówię pani. Numer 13, na pokładzie D.

- Och, nie! - zawołałam. - Tylko nie trzynastka. Trzynastka jest jedyną rzeczą, na której punkcie jestem naprawdę przesądna. Kabina była bardzo ładna, obejrzałam ją sobie, przez chwilę się nawet wahałam, w końcu jednak głupi przesąd zwyciężył. Zwróciłam się do stewarda niemal ze łzami w oczach.

- Czy naprawdę nie mogłabym dostać innej kabiny? Steward zastanowił się.

- Jest siedemnastka na sterburcie. Rano była wolna, ale wydaje mi się, że przydzielono ją jakiemuś dżentelmenowi. Jeśli jednak nie ma tam jeszcze jego rzeczy, nie sądzę, żeby miał coś przeciw zamianie. Mężczyźni nie są tak przesądni jak kobiety.

Przyjęłam ten pomysł z wdzięcznością i steward poszedł zapytać płatnika o pozwolenie. Wrócił z uśmiechem.

- Wszystko w porządku, proszę pani. Możemy iść.

Zaprowadził mnie do kabiny numer 17. Nie była wprawdzie tak przestronna jak kabina numer 13, ale uznałam, że mi odpowiada.

- To ja idę po pani rzeczy - oznajmił steward. Dosłownie w tej samej chwili w drzwiach pojawił się ów mężczyzna o złowrogiej twarzy, jak go w duchu nazwałam.

- Najmocniej przepraszam - powiedział - ale ta kabina została zarezerwowana dla sir Eustachego Pedlera.

- Zgadza się - przytaknął steward - załatwiliśmy jednak zamianę na trzynastkę.

- Miałem dostać kabinę numer 17.

- Kabina numer 13 jest lepsza, sir. Bardziej przestronna.

- Specjalnie wybrałem numer 17 i płatnik powiedział, że mogę otrzymać tę kabinę.

- Przykro mi - rzekłam chłodno - ale kabina numer 17 została przyznana mnie. - Nie mogę na to przystać.

Steward wtrącił swoje trzy grosze.

- Ta druga kabina jest dokładnie taka sama, tylko lepsza.

- Żądam kabiny numer 17.

- A cóż to się dzieje? - dobiegł nas nowy głos. - Steward, proszę tu wstawić rzeczy. To jest moja kabina.

To był mój sąsiad z lunchu, wielbny Edward Chichester.

- Przepraszam bardzo, ale ta kabina została przydzielona mnie - powtórzyłam.

- Została przydzielona sir Eustachemu Pedlerowi - sprostował pan Pagett.

Nasza kłótnia stawała się coraz bardziej zacięta.

- Przykro mi, że ta sprawa ciągle jeszcze podlega dyskusji - mówił Chichester z łagodnym uśmiechem, który jednak nie zatuszował malującej się na jego twarzy determinacji. Łagodni mężczyźni bywają czasami bardzo zawzięci, dawno już to zauważyłam.

Wśliznął się bokiem przez drzwi.

- Ale pan ma kabinę numer 28 na bakburcie - powiedział steward. - To bardzo dobra kabina, sir.

- Niestety, muszę nalegać na tę kabinę, gdyż właśnie ją mi przydzielono.

Znaleźliśmy się w impasie. Żadne z nas nie miało zamiaru ustąpić. Ja, mówiąc szczerze, mogłam się spokojnie wycofać z tej rywalizacji, biorąc kabinę numer 28. W końcu było mi wszystko jedno, bylebym nie musiała mieszkać w trzynastce. Ale zagrała we mnie krew. Nie będę tą, która się podda jako pierwsza. Poza tym nie lubiłam Chicheстера. Miał sztuczną szczękę i kłapał nią podczas posiłków. Można nie znosić kogoś i za mniejsze przewinienia.

Powtarzaliśmy w kółko to samo. Steward zapewniał z całym przekonaniem, że pozostałe kabiny są lepsze. Nikt z nas nie zwracał na to uwagi.

Pagett zaczynał tracić cierpliwość. Chichester trzymał nerwy na wodzy, ja także starałam się zachować spokój. Nikt z nas nie ustąpił ani na krok.

Znaczący gest i słówko szepnięte przez stewarda dały mi przewagę. Wycofałam się z placu boju. Miałam szczęście, gdyż niemal natychmiast udało mi się znaleźć płatnika.

- Och, proszę - zaczęłam - przecież powiedział pan, że mogę dostać kabinę numer 17. A tamci nie chcą ustąpić. Pan Chichester i pan Pagett. Pan mi pozwoli zająć siedemnastkę, prawda?

Zawsze twierdziłam, że marynarze są wyjątkowo uprzejmi wobec kobiet. Mój mały płatnik rozegrał całą scenę znakomicie. Wkroczył do akcji i po prostu poinformował dyskutantów, że kabina numer 17 jest moja, oni zaś mogą zająć kabiny 13 i 28 albo zostać w swoich poprzednich - co wolą.

Rzuciłam płatnikowi spojrzenie wyrażające podziw dla jego bohaterstwa, a potem zainstalowałam się w moim nowym królestwie. Stoczona potyczka dobrze mi zrobiła. Morze było łagodne, powietrze coraz cieplejsze. Choroba morska należała do przeszłości!

Powędrowałam na pokład, gdzie zaczęłam zgłębiać tajniki gry w pierścienie. Herbatę wypiłam na pokładzie. Zagrałam też w krążki z kilkoma młodymi ludźmi. Wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Uznałam, że życie jest wspaniałe.

Gong na obiad zabrzmiał zupełnie nieoczekiwanie. Pośpieszyłam do kabiny. Stewardessa czekała już na mnie. Minę miała zakłopotaną.

- Bardzo mi przykro, ale w pani kabinie panuje jakiś okropny zapach. Pojęcia nie mam, co to może być, ale wątpię, czy będzie pani mogła tam spać. Jest wolna kabina na pokładzie C. Może by się pani tam przeniosła, chociaż na jedną noc?

Fetor był rzeczywiście okropny - bez mała doprowadzał do wymiotów. Powiedziałam stewardessie, że zastanowię się nad przeprowadzką. Przebierałam się węsząc wszędzie.

Co to za zapach? Zdechły szczur? Nie, chyba coś jeszcze gorszego. Ach, wiem, znam ten zapach, miałam z nim już do czynienia. To przecież asafetyda [Asafetyda - gumożywica otrzymywana z korzeni i kłączy zapalniczki lekarskiej, o gorzkim smaku i bardzo nieprzyjemnym zapachu, używana dawniej jako środek uspokajający.]. Podczas wojny pracowałam przez krótki czas w szpitalnej izbie przyjęć, gdzie stosowano wiele podobnie obrzydliwych środków.

Asafetyda. Skąd tu asafetyda?

Usiadłam na koi. Teraz już wiedziałam wszystko. W mojej kabinie ktoś podłożył szczyptę asafetydy. Ale dlaczego? Żebym się stąd wyniosła? Czemu jednak komuś miałoby zależeć na wykurzeniu mnie stąd? Nagle popatrzyłam na scenę, jaka się rozegrała dziś po południu, z innego punktu widzenia. Co takiego było w kabinie 17, że tyle osób starało się ją zdobyć? Tamte dwie kabiny naprawdę były lepsze, skąd więc upór obu panów?

17. Ten numer ciągle się powtarzał. Siedemnastego odpływałam z Southampton. Właśnie, 17... Chwileczkę, pomyślałam z zapartym tchem. Szybko otworzyłam walizkę i wyjęłam mój cenny kawałek papieru, zawinięty troskliwie w pończochy.

17 1 22 - dotychczas myślałam, że to jest data. Data wypłynięcia „Kilmorden Castle”. A jeśli się myliłam? Analizując tę kwestię po raz kolejny, doszłam do wniosku, że ktoś zapisujący datę niekoniecznie umieściłby też rok. Wystarczyłby miesiąc. A jeśli 17 oznaczało kabinę numer 17? 1 będzie wówczas oznaczało porę - godzina pierwsza. 22 musi pozostać datą. Sprawdziłam w kalendarzu. Dwudziesty drugi wypadł jutro!

## X

Byłam bardzo podekscytowana. Czułam, że tym razem wpadłam na właściwy trop. Tak, nie mogę dać się wykurzyć z kabiny 17. Trzeba będzie jakoś znieść tę asafetydę. Jeszcze raz przeanalizowałam wszystkie fakty.

Jutro jest dwudziesty drugi i o pierwszej w nocy albo o pierwszej w południe coś się wydarzy. Stawiałam na pierwszą w nocy. Teraz była siódma wieczorem. A więc jeszcze sześć godzin.

Sama nie wiem, jak udało mi się przetrwać porę obiadu. Do kabiny wróciłam możliwie wcześnie. Stewardessie powiedziałam, że mam katar i że ten zapach mi nie przeszkadza. Wydawała się zdumiona, ja jednak pozostałam nieugięta.

Wieczór dłużył się bez końca. Położyłam się do łóżka, jednak na wszelki wypadek owinięta w gruby flanelowy szlafrok. Na nogach miałam ranne pantofle. Byłam przygotowana na to, że gdy tylko coś się zacznie dziać, natychmiast będę mogła się zerwać i wziąć w tym aktywny udział.

Ale co to mogło być? Nie miałam pojęcia. Fantazja podsuwała mi różne warianty, najczęściej zupełnie nieprawdopodobne. Ale jednego byłam zupełnie pewna - o godzinie pierwszej z pewnością coś się wydarzy.

Pasażerowie powoli udawali się na spoczynek. Urywki ich rozmów, śmiechy, życzenia dobrej nocy dochodziły do moich uszu przez otwarte okienko nad drzwiami. Potem zapadła cisza. Większość świateł pogasła. Paliło się jedynie światło na korytarzu, dzięki czemu i w mojej kabynie nie było zupełnie ciemno. Usłyszałam uderzenia okrętowego dzwonu. Dwunasta.

Godzina, jaka potem nastąpiła, wydawała mi się najdłuższą w moim życiu. Co chwila podejrzliwie spoglądałam na zegarek, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie przegapiłam pierwszej.

Gdyby moja dedukcja okazała się błędna i gdyby o pierwszej nic się nie wydarzyło, wyszłabym na idiotkę, która wszystkie pieniądze, jakie miała, roztrwonila na jakieś mrzonki i

fantazje. Serce biło mi gwałtownie.

Uderzył zegar okrętowy. Pierwsza! I nic. Nic? Zaraz, a to? Co to było? Usłyszałam odgłos szybkich kroków. Ktoś biegł korytarzem.

A potem drzwi mojej kabiny otworzyły się z impetem i jakiś mężczyzna wpadł do środka niczym pocisk.

- Ukryj mnie - wychrypiał. - Oni mnie gonią.

Nie było czasu na wyjaśnienia. Zza drzwi dochodził już odgłos kroków.

Miałam najwyżej czterdzieści sekund na podjęcie akcji. Zerwałam się na nogi i stanęłam twarzą w twarz z nieznanym.

W kabynie naprawdę niewiele było miejsca, gdzie mężczyzna mający sześć stóp wzrostu mógłby się ukryć. Wysunęłam swój kufer podróżny na środek kabiny. Nieznajomy wśliznął się pod koję. Podniosłam wieko kufra, a jednocześnie drugą ręką otworzyłam klapę umywalki. Jednym szybkim ruchem zebrałam wszystkie włosy w węzeł na czubku głowy. Nie był to co prawda szczyt fryzjerskiego kunsztu, ale z drugiej strony to uczesanie było majstersztykiem. Nikt nie będzie podejrzewał damy z włosami upiętymi na czubku głowy, wyjmującej z kufra mydło z wyraźnym zamiarem umycia szyi, o ukrywanie uciekiniera.

Rozległo się pukanie. Ktoś otworzył drzwi, zanim jeszcze zdążyłam powiedzieć „proszę”.

Nie wiem, kogo spodziewałam się zobaczyć. Może pana Pagetta wymachującego rewolwerem. Albo mojego przyjaciela misjonarza z pończochą napełnioną piaskiem lub dzierżącego jakąś inną śmiertelnie broń. Z pewnością jednak nie przypuszczałam, że moim oczom ukaże się pełna respektu stewardessa. Na jej twarzy malowało się pytanie.

- Wydawało mi się, że pani dzwoniła.

- Nie, nie dzwoniłam - odparłam.

- Najmocniej przepraszam. Nie chciałam pani przeszkadzać.

- Nic się nie stało. Nie mogłam spać, więc pomyślałam sobie, że może mycie dobrze mi zrobi.

- Zabrzmiało to tak, jakby mycie się nie było moim codziennym zwyczajem.

- Jeszcze raz przepraszam - mówiła dalej stewardessa - ale pewien dżentelmen jest... jest trochę pijany. Obawialiśmy się, że mógłby wejść do kabiny którejś z dam i napędzić jej stracha.

- Jakie to okropne! - zawołałam przybierając zaniepokojony wyraz twarzy. - Mam nadzieję, że nie wejdzie tutaj.

- Na pewno nie. Gdyby jednak to uczynił, proszę po prostu zadzwonić. Dobranoc.

- Dobranoc.

Otworzyłam drzwi i wyjrzałam na korytarz. Oprócz oddalającej się stewardessy w zasięgu mojego wzroku nie było nikogo.

Pijany! Najzwyczajniej w świecie pijany. Mój kunszt aktorski okazał się zupełnie niepotrzebny. Przesunęłam nieco kufer i powiedziałam chłodno:

- Niech pan wyjdzie.

Żadnej odpowiedzi. Zajrzałam pod koję. Mój gość leżał bez ruchu. Wyglądał, jakby spał. Potrząsnęłam go za ramię, ale bez skutku.

No tak, pijany jak bela, pomyślałam wzburzona. Ciekawe, co ja mam teraz zrobić.

Nagle zauważyłam coś, co sprawiło, że wstrzymałam oddech. Podłogę znaczyło kilka drobnych, czerwonych plam.

Musiałam użyć wszystkich swoich sił, żeby wyciągnąć nieznanego na środek kajuty. Śmiertelna bladość jego twarzy wskazywała na głębokie omdlenie. Bez trudu odnalazłam przyczynę tego stanu. Pod lewą łopatką widniała wstrętna, głęboka rana. Zdjęłam mu marynarkę i zabrałam się do pracy.

Pod działaniem zimnej wody odzyskał wreszcie przytomność i usiadł.

- Niech się pan zachowuje cicho - poprosiłam.

Bardzo szybko odzyskał siły. Podniósł się na nogi i stanął, zataczając się lekko.

- Dziękuję, ale nie potrzebuje pani nic dla mnie zrobić. Jego głos brzmiał wyzywająco, wręcz agresywnie. Ani słowa podziękii, nic, nawet zwykłej uprzejmości.

- Pan jest poważnie ranny. Pozwoli pan, że założę panu opatrunek.

- Nie, nie będzie pani tego robiła.

Rzucił mi te słowa w twarz, tak jakbym błagała go o jakąś łaskę. Poczułam, że wzbiera we mnie gniew.

- Żałuję, że nie mogę panu pogratulować pańskich manier - powiedziałam zimno.

- Zaraz panią uwolnię od mojej obecności - odparł. Ruszył w stronę drzwi, ale omal przy tym nie upadł. Jednym ruchem pchnęłam go na łóżko.

- Niech pan nie będzie głupi - powiedziałam bezceremonialnie.. - Chyba nie chce pan poroznosić krwawych śladów po całym statku.

Mój argument dotarł do niego i mężczyzna już siedział spokojnie, podczas gdy ja bandażowałam ranę, najlepiej, jak tylko potrafiłam.

- No - zakończyłam, poklepując lekko swoje dzieło - to będzie musiało na razie wystarczyć. Czy jest pan teraz w lepszym nastroju, tak aby mi opowiedzieć, co właściwie zaszło?

- Żałuję, ale nie będę mógł zaspokoić jakże naturalnej ciekawości pani.

- A to dlaczego? - spytałam zawiedziona.

- Jeśli chcesz, aby jakaś wiadomość została rozgłoszona, powierz ją kobiecie. W przeciwnym razie trzymaj język za zębami.

- Czy przypuszcza pan, że nie potrafiłabym dochować sekretu?

- Ja nie przypuszczam, ja wiem. Podniósł się z miejsca.

- W każdym razie i tak będę miała co opowiadać o wydarzeniach dzisiejszej nocy - rzuciłam mściwie.

- Nie wątpię w to - odparł obojętnie.

- Jak pan śmie?! - krzyknęłam ze złością.

Staliśmy twarzą w twarz, spoglądając na siebie niczym śmiertelni wrogowie. Dopiero teraz zwróciłam uwagę na jego wygląd, na krótko ostrzyżone włosy, wysuniętą szczękę, na bliznę przecinającą policzek i błyszczące, szare oczy, które spoglądały w moje z wyzwaniem. W tym człowieku było coś niebezpiecznego.

- Nawet mi pan nie podziękował za uratowanie życia - powiedziałam z fałszywą słodyczą.

Tym go wreszcie dotknęłam. Widziałam, jak wzdrygnął się raptownie. Instynktownie wyczułam, że nienawidzi nawet myśli o tym, iż zawdzięcza mi życie. Nie zwracałam na to uwagi. Chciałam go zranić. Chciałam go zranić tak, jak jeszcze nikogo w swoim życiu.

- Żałuję, że pani to uczyniła - wyrzucił z siebie. - Byłbym teraz martwy i miał to wszystko z głowy.

- Cieszę się, że przynajmniej uznaje pan fakt bycia moim dłużnikiem. Teraz już się pan nie wykręci. Uratowałam panu życie i czekam na pańskie podziękowania.

Gdyby wzrok potrafił zabijać, z pewnością byłabym już martwa. Minał mnie bez jednego słowa. W drzwiach odwrócił się jeszcze i rzucił przez ramię:

- Nigdy nie usłyszysz pani ode mnie słowa podziękki. Ani teraz, ani później. Ale uznaję swój dług i pewnego dnia spłacę go pani.



Odszedł, zostawiając mnie z dłońmi zaciśniętymi w pięści i z mocno bijącym sercem.

## XI

Pozostała część nocy upłynęła bez niespodzianek. Śniadanie zjadłam w łóżku i wstałam dosyć późno. Pani Blair skinęła na mnie, gdy tylko pojawiłam się na pokładzie.

- Witaj, cygańska dziewczyno. Niech pani siada koło mnie. Wygląda pani tak, jakby się pani nie wyspała ostatniej nocy.

- Dlaczego nazwała mnie pani cygańską dziewczyną? - zapytałam, posłusznie zajmując miejsce obok niej.

- Czy to się pani nie podoba? To przezwisko pasuje do pani. Tak panią nazwałam w myślach, gdy tylko panią zobaczyłam. W pani jest coś z Cyganki i dlatego tak bardzo różni się pani od innych ludzi. Zaraz sobie pomyślałam, że pani i pułkownik Race jesteście jedynymi osobami na statku, w których towarzystwie nie będę się nudziła.

- To zabawne - powiedziałam - ale ja to samo pomyślałam o pani. Tylko że w pani wypadku jest to o wiele bardziej zrozumiałe. Pani... pani jest doskonale wykończonym produktem.

- Nieźle powiedziane. - Pani Blair pokiwała głową. - A więc, cygańska dziewczyno, proszę mi opowiedzieć coś o sobie. Jaki jest cel pani podróży do Południowej Afryki?

Opowiedziałam jej o papie i o jego dziele.

- A więc jest pani córką Charlesa Beddingfelda? Od razu pomyślałam, że pani nie może być zwykłą prowincjonalną gęsią. I udaje się pani do Broken Hill w poszukiwaniu nowych czaszek?

- Może - odparłam ostrożnie. - Ale mam też inne plany.

- Co za tajemnicza osóbka! Ale wygląda pani na zmęczoną. Nie spała pani dobrze?? Ja na statku sypiam zwykle jak zabita. Mogłabym spać i dwadzieścia godzin bez przerwy.

Ziewnęła rozkosznie, jak małe, senne kociątko.

- Jakiś idiota steward obudził mnie w środku nocy, żeby zwrócić mi film, który uściłam wczoraj na pokładzie. W dodatku zrobił to w sposób wysoce dramatyczny. Wsadził rękę przez wentylator i rzucił mi film prosto na brzuch. W pierwszej chwili sądziłam, że to granat.

- No, ma pani swojego pułkownika - odezwałam się, widząc żołnierską sylwetkę pułkownika Race.

- On wcale nie jest mój. W dodatku pani bardzo mu się podoba, cygańskie dziewczę, więc proszę nie uciekać.

- Muszę pójść poszukać czegoś do przewiązania włosów. To będzie wygodniejsze niż kapelusz.

Szybko oddaliłam się z pokładu. W towarzystwie pułkownika czułam się trochę nieswojo. Był jednym z niewielu ludzi, którzy mnie onieśmielali. Zeszłam na dół do kajuty w poszukiwaniu czegoś, czym mogłabym poskromić moje niesforne loki. Jako osoba systematyczna wszystko mam zawsze odpowiednio poukładane. Otworzywszy szufladę, natychmiast zorientowałam się, że ktoś w niej grzebał, zostawiając po sobie niezły rozgardiasz. Sprawdziłam pozostałe szuflady i małą, wiszącą szafkę. To samo. Ktoś najwyraźniej przeszukiwał moje rzeczy - pośpiesznie i bez efektu.

Z ponurą miną usiadłam na koi. Kto był w mojej kabinie i czego tutaj szukał? Czyżby tej kartki papieru? Nie, chyba nie. Te zapiski należały już do przeszłości. Wobec tego czego tu szukano?

Zastanowiłam się. Wydarzenia ostatniej nocy, aczkolwiek ekscytujące, nie przyczyniły się do wyjaśnienia tajemnicy. Kim był ten człowiek, który tak gwałtownie wtargnął do mojej kabiny? Przedtem go nie zauważyłam ani na pokładzie, ani w salonie. Był jednym z pasażerów czy też należał do załogi? Kto zadał mu ów cios sztyletem i z jakiego powodu? I dlaczego, na Boga, kabina numer 17 miała aż takie znaczenie? Wszystko to było dla mnie tajemnicą. Jedno tylko nie ulegało kwestii - na pokładzie „Kilmorden Castle” bez wątpienia rozgrywały się dziwne wypadki.

Zaczęłam liczyć na palcach osoby, którym należałoby przyjrzeć się z bliska.

Mojego tajemniczego gościa z ubiegłej nocy zostawiłam na razie w spokoju, obiecując sobie, że go odnajdę na pokładzie, i to jeszcze dzisiaj. Wyliczyłam następujących podejrzanych:

1. Sir Eustachy Pedler. Był właścicielem Mill House i jego obecność na pokładzie „Kilmorden Castle” mogła być nieprzypadkowa.

2. Pan Pagett, ów dziwnie wyglądający sekretarz, który wychodził wręcz ze skóry, żeby zdobyć kabinę 17. Ważne: należy sprawdzić, czy towarzyszył sir Eustachemu do Cannes.

3. Wielebny Edward Chichester. Właściwie przeciwko niemu przemawiał jedynie upór, z jakim obstawał przy kabinie 17. Ale to mogło po prostu wypływać z jego charakteru. Ludzie uparci czasami zachowują się dziwnie.

Cóż, krótka rozmówka z panem Chichesterem z pewnością nie zaszkodzi, zdecydowałam. Przewiązałam włosy chusteczką i ruszyłam na pokład, przepełniona chęcią działania. Szczęście mi dopisało. Moja ofiara stała oparta o reling i popijała bulion. Podeszłam prosto do niego.

- Mam nadzieję, że wybaczył mi pan tę kabinę - zaczęłam, uśmiechając się pięknie.

- Byłoby nie po chrześcijańsku żywić urazę - odparł pan Chichester zimno. - Ale to mnie płatnik obiecał kabinę 17.

- Och, płatnicy mają tyle na głowie - rzuciłam lekko. - prawdopodobnie zapomniał.

Pan Chichester nie raczył odpowiedzieć.

- Czy to pańska pierwsza wizyta w Południowej Afryce? - zapytałam tonem konwersacji.

- W Południowej Afryce tak. Jednak przez dwa lata pracowałem wśród plemion ludożerców w samym centrum wschodniej Afryki.

- Jakie to okropne. I jak udało się panu uciec?

- Uciec?

- No, przed zjedzeniem.

- Nie powinna pani traktować tematów religijnych w sposób żartobliwy, panno Beddingfeld.

- Nie wiedziałam, że kanibalizm to temat religijny.

W chwili gdy to mówiłam, coś przyszło mi nagle do głowy. Jeżeli wielebny Chichester rzeczywiście spędził ostatnie dwa lata w Afryce, powinien chyba być bardziej opalony. Tymczasem skórę miał różową niczym niemowlę. Czy to nie dziwne? Chociaż sposób mówienia i manieri miał typowe. Może nawet za bardzo. Sprawiał raczej wrażenie aktora odgrywającego rolę duchownego.

Pomyślałam szybko o wszystkich duchownych, jakich znałam w Little Hampsley. Niektórych z nich lubiłam, innych nie. Z pewnością jednak żaden z nich nie był podobny do Chicheстера. Byli zupełnie normalni, natomiast ten roztaczał wokół siebie aurę świętości.

Rozwazałam to wszystko, gdy na pokładzie pojawił się sir Eustachy Pedler. Gdy mijał Chicheстера, zatrzymał się, podniósł jakiś papier i wręczył wielebnemu ze słowami: „Coś panu upadło.”

Poszedł dalej, nawet nie zauważając zmieszania, jakie odmalowało się na twarzy Chicheстера. Mojej uwagi jednak to nie uszło. Odzyskanie zguby mocno wstrząsnęło wielebnym Chicheстерem. Dosłownie pozieleniał na twarzy i nerwowym ruchem zmiął papier w kulkę. Moje podejrzenia rosły.

Musiał zauważyć, że mu się przyglądam, gdyż pośpieszył z wyjaśnieniami.

- To... to fragment kazania, które właśnie układałem - powiedział z obłudnym uśmiechem.

- Naprawdę? - zapytałam uprzejmie.

Fragment kazania, akurat! Bardzo kiepski wykręt, drogi panie Chichester.

Przeprosił mnie, mamrocząc pod nosem jakąś wymówkę. Zostałam sama. Och, jakże żałowałam, że to nie ja podniosłam ten kawałek papieru, tylko sir Pedler. Jedno było pewne. Wielebnego absolutnie nie można skreślić z listy podejrzanych. Byłam gotowa umieścić go nawet na

jej czele.

Po lunchu przeszłam na kawę do salonu. Pani Blair i pułkownik Race siedzieli w towarzystwie sir Eustachego i pana Pagetta. Pani Blair przywitała mnie uśmiechem, więc przyłączyłam się do nich. Rozmawiali o Włoszech.

- Ale to jest takie mylące - upierała się pani Blair. - Aqua calda powinno oznaczać zimną wodę, a nie ciepłą.

- Widzę, że nie uczyła się pani łaciny. - Sir Eustachy uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Och, mężczyźni są tacy dumni ze swojej znajomości łaciny - powiedziała pani Blair. - Ale ilekroć ich poprosić o przetłumaczenie jakiejś starej inskrypcji w kościele, nigdy nie potrafią tego zrobić. Postępują, pochrząkują, a potem szybko zmieniają temat.

- To prawda - przyznał pułkownik Race. - Ja sam zawsze tak robię.

- Ale kocham Włochów - mówiła dalej pani Blair. - Są tacy uprzejmi, że aż czasem staje się to żenujące. Kiedy zapytać jakiegoś Włocha o drogę, to ten, zamiast powiedzieć po prostu: najpierw w prawo, potem w lewo, czy coś podobnego, zasypuje człowieka gradem słów, a gdy widzi, że pytający nic nie rozumie, bierze go pod ramię i prowadzi aż na miejsce.

- Czy wyniosłeś podobne wrażenia z Florencji, Pagett? - z uśmiechem zwrócił się sir Eustachy do swojego sekretarza.

Z jakichś powodów to pytanie wyraźnie skonfundowało pana Pagetta. Zaczerwienił się i wyjąkał:

- T...tak, właśnie tak.

Potem wymamrotał kilka słów przeprosin i wstał od stołu.

- Zaczynam podejrzewać, że podczas pobytu we Florencji mój Pagett wplątał się w jakąś podejrzaną historię - zauważył sir Eustachy, spoglądając za oddalającą się sylwetką swojego sekretarza. - Ilekroć ktoś wspomni o Florencji albo w ogóle o Włoszech, Pagett natychmiast zmienia temat albo ucieka.

- Może popełnił tam morderstwo? - zapytała pani Blair z nadzieją w głosie. - Nie chciałabym zranić pańskich uczuć, sir Eustachy, ale pański sekretarz wygląda na zdolnego do popełnienia zbrodni.

- O tak, to istny Borgia. Czasami bawi mnie to, zwłaszcza gdy wiem, jak szacowny i praworządny jest w rzeczywistości.

- Pracuje u pana już od pewnego czasu, czyż nie? - wtrącił pułkownik Race.

- Osiem lat - odparł sir Eustachy z głębokim westchnieniem.

- Musi być dla pana nieoceniony - powiedziała pani Blair.

- O tak, doprawdy nieoceniony. - W głosie sir Eustachego brzmiał teraz prawdziwy smutek, jakby doskonałość pana Pagetta była dla niego źródłem tajemnej udręki. Następnie dodał z ożywieniem: - Ale jego twarz powinna wzbudzić w pani zaufanie, droga pani. Żaden szanujący się przestępca nie odważyłby się nawet wyglądać w ten sposób. Crippen, na przykład, podobno był przesympatyczny.

- Zdaje się, że ujęto go na statku - zauważyła pani Blair. Za nami rozległ się brzęk. Odwróciłam się szybko. Wielebny Chichester upuścił filiżankę z kawą.

Nasze towarzystwo rozeszło się. Pani Blair udała się na drzemkę, a ja poszłam na pokład. Pułkownik Race podążył za mną.

- Pani jest taka nieuchwytna, panno Beddingfeld. Rozglądałem się za panią wczoraj na tańcach.

- Położyłam się wcześniej spać - wyjaśniłam.

- Czy dzisiaj wieczorem też ma pani zamiar uciec, czy może zatańczy pani ze mną?

- Będę zachwycona, tańcząc z panem - powiedziałam nieśmiało - jednak pani Blair...

- Nasza droga pani Blair nie przepada za tańcem.

- A pan?

- Z rozkoszą zatańczę z panią.

- Och - powiedziałam nerwowo.

Troszeczkę się obawiałam pułkownika Race. Ale mimo to było mi przyjemnie. To jednak zupełnie coś innego niż dyskusje ze starymi profesorami na temat skamieniałych czaszek. Pułkownik Race dokładnie odpowiadał moim wyobrażeniom o silnych, małomównych Rodezyjczykach. Mogłabym nawet zostać jego żoną. Co prawda do tej pory nie poprosił mnie o rękę, ale - zgodnie z harcerską dewizą - należy być zawsze gotowym. Kobieta zupełnie odruchowo traktuje każdego napotkanego na swej drodze mężczyznę jako potencjalnego męża dla siebie albo dla swojej najlepszej przyjaciółki.

Tego wieczoru tańczyłam z nim kilkakrotnie. Był znakomitym tancerzem. Po zabawie, kiedy chciałam już wrócić do siebie, pułkownik zaproponował jeszcze spacer po pokładzie. Po kilku okrążeniach usiedliśmy na leżakach. W zasięgu naszego wzroku nie było nikogo. Prowadziliśmy luźną rozmowę.

- Czy pani wie, panno Beddingfeld, że spotkałem kiedyś pani ojca? Bardzo interesujący człowiek, wybitny znawca w swojej dziedzinie. Sam interesowałem się trochę tym przedmiotem, oczywiście w znacznie skromniejszym zakresie. Gdy odwiedziłem kiedyś rejon Dordogne...

Nasza rozmowa zesłała na fachowe tory. Pułkownik nie był ignorantem. Rzeczywiście posiadał mnóstwo wiadomości. Jednak zdarzyło mu się popełnić jedną albo dwie śmieszne pomyłki. Można by przypuszczać, że się przejęzyczył. Poprawił się błyskawicznie, podchwytyjąc moje wskazówki. Raz powiedział, że kultura mustierska następowała po oryniackiej. Zupełnie absurdalny błąd jak na kogoś, kto zna przedmiot.

Była dwunasta, gdy znalazłam się w kabinie. Ciągle się zastanawiałam nad tymi dziwnymi rozbieżnościami. Czy to było możliwe, aby pułkownik nie miał pojęcia o archeologii i przestudiował ten temat tylko ze względu na mnie? Potrząsnęłam głową, niezbyt usatysfakcjonowana tym rozwiązaniem.

Zasypiałam już, gdy nagle usiadłam na łóżku tknięta nową myślą. A może on sprawdzał mnie? Może te drobne potknięcia miały być testem dla mnie? Może pułkownik sprawdzał moją znajomość archeologii? Innymi słowy, czyżby pułkownik podejrzewał, że nie jestem prawdziwą Anną Beddingfeld?

Ale jaki miałby powód do tych podejrzeń?

## XII

*(Wyjątki z dziennika sir Eustachego Pedlera)*

Jedno trzeba przyznać - życie na statku upływa wyjątkowo spokojnie. Moje siwe włosy uchroniły mnie przed takimi poniżającymi rozrywkami jak chwytanie zębami jabłek zawieszonych na nitkach, bieganie po pokładzie z jajkiem albo z kartoflem czy przed bardziej bolesnymi zabawami w rodzaju ślepej babki albo starego niedźwiedzia. Zawsze było dla mnie tajemnicą, jak ludzie potrafią znaleźć jakąkolwiek przyjemność w tego typu zabawach. Cóż, głupców nie sieją. Należy chwalić Boga za to, że ich stworzył, i trzymać się od nich z daleka.

Na szczęście na morzu czuję się wyśmienicie. Pagett, biedaczysko, nie. Jeszcze nie rozpoczęliśmy na dobre naszej podróży, a już pozieleniał na twarzy. Przypuszczam, że mój drugi tak zwany sekretarz także jest chory. W każdym razie do tej pory się nie pokazał. Chociaż może to nie choroba morska, tylko konspiracja. Przynajmniej nie zawraca głowy! a to najważniejsze.

Większość pasażerów to nudziarze. Jest tylko dwóch dobrych brydżystów i jedna elegancka kobieta - pani Blair. Poznałem ją jeszcze w Londynie. Jest jedyną damą, jaką znam, o której mogę powiedzieć, że ma poczucie humoru. Jej towarzystwo sprawia mi przyjemność, a sprawiałoby jeszcze większą, gdyby nie pewien długonogi, milczący głupiec, który przyczepił się do niej niczym pijawka. Nie mogę sobie wyobrazić, aby jego towarzystwo naprawdę ją bawiło. Jest co prawda przystojny, ale nudny jak flaki z olejem. Należy do tych silnych, milczących mężczyzn, którymi

zawsze zachwycają się pisarki i młode dziewczęta.

Gdy tylko opuściliśmy Maderę, Guy Pagett z wysiłkiem wspiął się na pokład, no i oczywiście natychmiast poruszył temat pracy. Dlaczego, u licha, miałbym pracować nawet na statku? Prawdą jest, że obiecałem wydawcy skończyć moje „Wspomnienia” jeszcze tego lata, ale co z tego? Kto tak naprawdę czytuje wspomnienia? Stare damy mieszkające na przedmieściach. Co dla nich mogą znaczyć moje wspomnienia? Owszem, spotkałem w swoim życiu wielu tak zwanych wielkich ludzi. Korzystając z pomocy Pagetta, wymyślam teraz na ich temat różne mdłe anegdoty. Pagett nie nadaje się do tej pracy - jest zbyt uczciwy. Nie pozwala mi wymyślać historyjek o ludziach, których nie znam, choć przecież mogłem ich poznać.

Spróbowałem podejść do niego życzliwie.

- Mój drogi, w tej chwili do niczego się nie nadajesz - powiedziałem spokojnie. - Powinieneś poleżeć na słońcu. Nie, ani słowa sprzeciwu. Praca musi poczekać.

Wiedziałem, że martwi go kwestia dodatkowej kabiny.

- W pańskiej kabine absolutnie nie ma miejsca do pracy, sir Eustachy. Jest zastawiona kufkami.

Z jego tonu można by wywnioskować, że kufry są dla niego niczym karaluchy, które należałoby czym prędzej wytępić.

Wytłumaczyłem mu, że może nie zdaje sobie sprawy z faktu, iż ja - podróżując - mam zwyczaj zmieniać ubranie od czasu do czasu. Uśmiechnął się blado. Zwykle w ten sposób kwituje moje dowcipy.

- W mojej niewielkiej norze natomiast absolutnie nie da się pracować.

Znam te „niewielkie nory” Pagetta. Z reguły bywają to najlepsze kabiny na całym statku.

- Przykro mi, że tym razem kapitan nie odstąpił ci swojej kajuty - powiedziałem sarkastycznie.  
- A może część bagażu podrzuciłbyś do mojej kabiny, co?

W rozmowach z Pagettem absolutnie nie należy posługiwać się sarkazmem. Mój sekretarz ożywił się natychmiast.

- Gdybym tylko mógł pozbyć się maszyny do pisania i kufra z papierami!

Kufer z papierami waży dobrych kilka ton. Zwykle jest przyczyną wielu nieporozumień z portierami. Pagett robi, co może, aby ten problem zepchnąć na mnie. Trwa między nami ustawiczna walka. On stara się traktować kufer jako moją osobistą własność, ja zaś traktuję opiekę nad kufrem jako jedyną sprawę, w której sekretarz może się naprawdę przydać.

- Dostaniemy dodatkową kabinę - powiedziałem szybko. Sprawa wydawała mi się zupełnie prosta, Pagett jednak uwielbia wszędzie doszukiwać się tajemnicy. Następnego dnia przyszedł do

mnie z miną spiskowca.

- Pamięta pan, sir, kazał mi pan załatwić kabinę numer 17?

- No i co? Czy kufer nie zmieścił się w drzwiach?

- We wszystkich kabinach drzwi mają tę samą szerokość - odparł Pagett zupełnie poważnie. - Ale powiadam panu, że z tą kabiną jest coś dziwnego.

Natychmiast przypomniała mi się lektura „Tajemnicy dolnej koi”.

- Nawet jeśli w niej straszy, to i tak nic nie szkodzi. Przecież nie mamy zamiaru tam sypiać. A maszynie do pisania duchy nic nie zrobią.

Pagett odparł, że nie chodzi o duchy, a tak w ogóle to nie dostaliśmy tej kabiny. Opowiedział mi długą i zawiłą historię, z której wynikało, że on, wielbny Chichester i pewna dziewczyna nazwiskiem Beddingfeld omal się nie pobili o tę kabinę. Nie trzeba dodawać, że dziewczyna zwyciężyła. Pagett był teraz wielce przygnębiony z tego powodu.

- Kabiny 13 i 28 są o wiele lepsze - przekonywał - a oni nawet nie chcieli o nich słyszeć.

- Ty także nie, mój drogi - odparłem, tłumiąc ziewanie. W spojrzeniu Pagetta malował się wyrzut.

- Pan kazał mi załatwić kabinę numer 17.

Czasami Pagett zachowuje się niczym ów „chłopiec na płonącym pokładzie” [„Chłopiec na płonącym pokładzie” - początkowe słowa poematu Felicji Hemans „Casablanca”, poświęconego śmierci dziesięcioletniego Giacomina, syna Loulsa de Casablanc dowódcy, statku „Orient”, podczas bitwy na Nilu w 1798 roku. Po śmierci ojca Giacomo pozostał na płonącym pokładzie, gdyż nie było rozkazu opuszczenia okrętu.].

- Mój drogi - odparłem gniewnie - wspomniałem o kabinie 17, bo przypadkiem zauważyłem, że jest wolna. Ale nie kazałem ci upierać się przy niej za wszelką cenę. Równie dobrze możemy wziąć kabinę 13 albo 28.

Poczuł się urażony.

- Ale za tym kryje się coś więcej - powtarzał z uporem. - Kabinę przyznano pannie Beddingfeld, a dzisiejszego ranka na własne oczy widziałem, jak wymykał się z niej Chichester.

Popatrzyłem na niego z naganą.

- Jeśli próbujesz mi wmówić, że między Chichesterem, który jest misjonarzem - aczkolwiek przyznaję, że wredny z niego typ - a tym miłym dzieckiem, panną Beddingfeld, zaszło coś niewłaściwego, to nie wierzę ani jednemu twojemu słowu - powiedziałem zimno. - Anna Beddingfeld jest przemiłą dziewczyną i ma znakomite nogi. Powiedziałbym, że najlepsze na całym



statku.

Moja uwaga na temat nóg Anny Beddingfeld wyraźnie nie spodobała się Pagettowi. On z reguły nie zauważa kobiecych nóg, a nawet jeśli je zauważa, to prędzej by umarł, niżby się do tego głośno przyznał. Moją uwagę uznał za frywolną. Ponieważ drażnienie Pagetta sprawia mi przyjemność, kontynuowałem bezlitośnie.

- A skoro już zawarłeś znajomość z panną Beddingfeld, zaprosź ją do naszego stolika na kolację jutro wieczorem. Będzie bal kostiumowy. I przy okazji zajdź do biura ochmistrza i wybierz mi odpowiedni kostium.

- Przecież nie pójdzie pan na bal kostiumowy - powiedział Pagett ze zgrozą.

Jego zdaniem, uwłaczałoby to mojej godności. Wyglądał na zgorzzonego. Nie miałem wcale ochoty przywdziewać kostiumu, ale pokusa całkowitego pogrążenia Pagetta była zbyt silna, bym mógł się jej oprzeć.

- A czemuż by nie? - powiedziałem. - Oczywiście że mam zamiar wystąpić w kostiumie. I ty także, mój drogi.

Pagett wzdrygnął się.

- Więc idź i załatw to od razu - dokończyłem.

- Nie sądzę, żeby mieli coś w tym rozmiarze - mruknął Pagett, mierząc oczami moją sylwetkę.

Pagett mimo woli potrafi być czasami bardzo impertynencki.

- Zamów też stół na sześć osób - dorzuciłem. - Zaraz, kapitan, ta dziewczyna ze zgrabnymi nogami, pani Blair...

- Nie uda się panu ściągnąć pani Blair bez pułkownika Race - wtrącił Pagett. - Zaprosił ją już na kolację, wiem o tym.

Pagett zawsze wie o wszystkim. Zirytowałem się, i nie bez powodu.

- A któż to jest ten Race? - zapytałem z rozdrażnieniem. Jak już wspomniałem, Pagett wie wszystko. Albo sądzi, że wie.

- Podobno ktoś z Secret Service. Gruba ryba. Ale oczywiście nie wiem tego na pewno.

- To jest zupełnie w stylu naszego rządu! - wykrzyknąłem. - Na pokładzie jest facet, do którego obowiązków należy przewożenie tajnych dokumentów. Ale nie, oni muszą obciążyć nimi kogoś postronnego, kogoś, kto tylko marzy o tym, by zostawiono go w spokoju.

Pagett zrobił minę jeszcze bardziej tajemniczą. Przyniósł się do mnie i zniżył głos.

- Jeśli pyta mnie pan o zdanie, sir, to cała ta historia jest w najwyższym stopniu osobliwa. Na przykład moja choroba tuż przed podróżą.

- Mój drogi - przerwałem mu brutalnie - miałeś atak gastryczny. Często cierpisz na ataki gastryczne.

Pagett skrzywił się lekko.

- To nie był zwykły atak gastryczny. Tym razem...

- Pagett, na litość boską, tylko nie zaczynaj zagłębiać się w szczegóły. Nie mam zamiaru tego wysłuchiwać.

- Dobrze, sir. W każdym razie jestem przekonany, że próbowano mnie otruć.

- Aha - powiedziałem - widzę, że rozmawiałeś z Rayburnem.

Nie zaprzeczył.

- On właśnie tak uważa. A powinien się na tym znać.

- A tak przy okazji, gdzie on się właściwie podziewa? - zapytałem. - Nie widziałem go od chwili wejścia na pokład.

Pagett ponownie zniżył głos.

- W swojej kabinie, sir. Utrzymuje, że jest chory. Ale jestem pewien, że to tylko kamuflaż. W ten sposób może lepiej czuwać.

- Czuwać?

- Nad pańskim bezpieczeństwem. Na wypadek gdyby ktoś chciał pana zaatakować.

- Jesteś doprawdy niezrównany. Ponosi cię imaginacja. Na twoim miejscu poszedłbym na bal kostiumowy w przebraniu kata albo kościotrupa. To powinno odpowiadać twojemu żalobnemu poczuciu estetyki.

To go wreszcie zatkało. Wyszedłem na pokład. Ta Beddingfeld stała pogrążona w rozmowie z Chichesterem. Kobiety zawsze mają słabość do duchownych.

Człowiek obdarzony moją posturą nienawidzi schylania się, okazałem jednak grzeczność i podniosłem papier, który upadł do stóp pastora.

Nie otrzymałem ani słowa podziękowań za mój trud. Nie mogłem nie zobaczyć, co napisano na tej kartce, którą wręczyłem Chichesterowi. Widniało na niej tylko jedno zdanie:

*„Nie próbuj gry na własną rękę, bo może się to dla ciebie źle skończyć.”*

Coś w sam raz dla pastora. Kim właściwie jest ten Chichester, myślałem. Wygląda tak niewinnie. Wygląd bywa jednak zwodniczy. Będę musiał zapytać Pagetta. Ten zawsze wie o wszystkim.

Opadłem z gracją na leżak obok pani Blair, przerywając jej tête-à-tête z pułkownikiem Race, i powiedziałem, że doprawdy nie rozumiem, do czego to dochodzi obecnie wśród duchownych. Potem zapytałem ją, czy zechciałaby zjeść ze mną kolację podczas balu kostiumowego. Pułkownikowi udało się tak poprowadzić rozmowę, że moje zaproszenie siłą rzeczy objęło także i jego.

Po lunchu przysiadła się do nas panna Beddingfeld. Miałem rację co do jej nóg. Są najlepsze. Z pewnością ją także zaproszę.

Bardzo chciałbym się dowiedzieć, w co wplątał się Pagett we Florencji. Ilekroć jest mowa o Włoszech, traci głowę. Gdybym nie wiedział, jaki jest porządny, podejrzewałbym go o ukryty romans.

Chociaż czy ja wiem? Nawet najporządniejszym mężczyznom to się zdarza. Bardzo bym się ucieszył, gdyby tak było.

Pagett skrywający jakąś wstydliwą tajemnicę. Wyśmienite!

## XIII

To był szczególny wieczór.

Jedynym pasującym na mnie kostiumem okazał się strój pluszowego niedźwiedzia. Nie miałbym nic przeciwko zabawie w misia, ale w Anglii, w mroźny, zimowy wieczór, w towarzystwie jakichś miłych, młodych dziewcząt. Natomiast na równiku takie przebranie doprawdy trudno jest uważać za odpowiednie. Jednak mój kostium rozbawił wszystkich i nawet zdobyłem pierwszą nagrodę za najlepszy projekt - zupełnie idiotyczne określenie dla stroju wypożyczonego na jeden wieczór. Ale ponieważ i tak nikt nie miał pojęcia, czy kostiumy były projektowane, czy gotowe, więc mniejsza z tym.

Pani Blair nie wystąpiła w przebraniu. W tym względzie widocznie zgadzała się z Pagettem. Pułkownik Race poszedł za jej przykładem. Anna Beddingfeld wykombinowała sobie strój Cyganki, w którym prezentowała się znakomicie. Pagett nie pojawił się wcale, wymawiając się bólem głowy. Zamiast niego zaprosiłem do stolika małego, komicznego faceta nazwiskiem Reeves, który jest liczącym się członkiem Południowoafrykańskiej Partii Pracy. Straszny gość, ale muszę być z nim w

dobrych stosunkach, gdyż posiada wiele informacji, które mogą mi się przydać. Chciałbym poznać sprawę tego strajku w Randzie z obu stron.

W tańcu pocilem się niemiłosiernie. Dwa razy zatańczyłem z Anną Beddingfeld, która udawała, że sprawia jej to przyjemność. Potem zatańczyłem z panią Blair, która nie siłała się na udawanie czegokolwiek. Zmusilem też do tańca kilka innych panien, których uroda wywarła na mnie wrażenie.

Po tańcach zeszedliśmy na kolację. Zamówilem szampana. Steward polecił Clicquot 1911, jako najszlachetniejszy gatunek, jakim dysponują. Przystałem na tę propozycję. Okazało się, że szampan znakomicie rozwiązał język pułkownikowi Race. Ten milczek stał się wręcz gadatliwy. Początkowo bawiło mnie to, potem jednak uświadomiłem sobie, że to on jest duszą towarzystwa, a nie ja. Zirykował mnie swoimi uwagami na temat prowadzenia dziennika.

- Tym sposobem któregoś dnia wszystkie pańskie nierozważne czyny zostaną ujawnione, Pedler.

- Mój drogi Race - odparłem - ośmielam się stwierdzić, że nie jestem aż takim głupcem, za jakiego mnie pan uważa. Mogę popełniać rozmaite błędy, ale przecież nie zapisuję ich czarno na białym. Gdy umrę, wykonawcy mojego testamentu poznają moje opinie na temat innych osób, ale nie sądzę, by znaleźli cokolwiek, co mogłoby zaszkodzić mojej opinii w ich oczach albo w ogóle coś w niej zmienić. Dziennik prowadzi się po to, aby opisywać wady innych - nigdy własne.

- Jednak istnieje coś takiego, jak podświadome odsłanianie się.

- W oczach psychoanalityków wszystko jest niegodziwością - odparłem moralizatorskim tonem.

- Pańskie życie, panie pułkowniku, musi być niezmiernie zajmujące - odezwała się Anna Beddingfeld, wpatrując się w Race'a szeroko otwartymi oczami.

Typowo kobieca metoda. Otello wzbudził podziw w Desdemonie opowiadaniem o swoich bohaterskich wyczynach, ale czyż ona nie oczarowała go sposobem, w jaki go słuchała?

W każdym razie Race tylko czekał na taką okazję. Natychmiast zaczął opowiadać historie o lwach. Mężczyzna, który w swoim życiu ustrzelił pewną liczbę lwów, ma przewagę nad innymi. Moim zdaniem to nie jest fair. Uznałem, że najwyższy czas, abym i ja opowiedział jakąś zabawną historię o lwach.

- Nawiasem mówiąc, przypomina mi to pewne ekscytujące wydarzenie, o którym słyszałem - zacząłem swoją opowieść. - Mój przyjaciel polował kiedyś we wschodniej Afryce. Pewnej nocy wyszedł przypadkiem z namiotu, gdy nagle usłyszał za sobą groźny pomruk. Odwrócił się gwałtownie i ujrzał lwa gotującego się do skoku. Ponieważ zostawił broń w namiocie, więc tylko pochylił się błyskawicznie, tak że lew przeskoczył nad jego głową. Rozzłoszczony, że nie udało mu się dopaść ofiary, ryknął i skoczył ponownie. Mój przyjaciel znowu przykucnął i historia powtórzyła się. Trzeci raz tak samo. Jednak tym razem mój przyjaciel znalazł się blisko wejścia do namiotu i błyskawicznie sięgnął po broń. Rozejrzał się, ale lew gdzieś zniknął. Zaskoczony, zaczął obchodzić teren dookoła.

Za namiotem znajdowała się niewielka polanka. I oto na tej polance zobaczył lwa, z zapalem ćwiczącego niskie skoki.

Moja opowieść została przyjęta z ogromnym aplauzem.

Wypiłem nieco szampana.

- Innym zaś razem - mówiłem - ten sam przyjaciel miał kolejną, niecodzienną przygodę. Podróżował po Afryce i któregoś dnia bardzo mu zależało na tym, żeby dotrzeć do celu przed południowym skwarem. Rozkazał więc tragarzom, aby zaprzęgali jeszcze przed świtem. Nie było to łatwe. Muły zachowywały się wyjątkowo niespokojnie. W końcu jednak udało się i ruszyli. Muły pędziły niby gnane wiatrem. Dopiero gdy wzeszło słońce, mój przyjaciel zobaczył, co je tak gna.

W ciemnościach tragarze przez pomyłkę zaprzęgli lwa na miejsce dyszlowego.

Ta historyjka także ogromnie wszystkich rozbawiła. Jednak największe chyba uznanie zdobyła w oczach mojego znajomego z Partii Pracy, który nawet się nie roześmiał.

- Mój Boże - zawołał z przestachem - a kto go potem wyprzęgnął?

- Koniecznie muszę pojechać do Rodezji - oświadczyła pani Blair. - Po tym wszystkim, co nam pan tu opowiadał, po prostu czuję, że muszę. Chociaż podróż będzie koszmarna. Pięć dni w pociągu.

- Może pani skorzystać z mojej salonki - zaproponowałem z galanterią.

- O, sir Eustachy, to byłoby cudownie. Mówi pan serio?

- Oczywiście że serio - odparłem z wyrzutem w głosie, wychylając kolejny kieliszek szampana.

- Jeszcze tydzień i będziemy w Południowej Afryce - westchnęła pani Blair.

- Ach, Południowa Afryka - powiedziałem z rozrzewnieniem i zacytowałem fragment mojego własnego przemówienia wygłoszonego niedawno w Instytucie Kolonialnym. „A co Południowa Afryka ma do zaoferowania reszcie świata? Swoje owoce i swoje farmy, swoje wełny i swoje plecionki, swoje trzody i swoje skóry, swoje kopalnie złota i swoje diamenty.”

Mówiłem pośpiesznie, gdyż czułem, że gdy tylko przerwę na moment, Reeves wpadnie mi w słowa i zacznie mnie pouczać, że skóry są nic niewarte, gdyż zwierzęta ranią się o druty kolczaste, albo coś w tym stylu. Skrytykuje wszystko, a zakończy opowiadaniem o ciężkiej pracy górników w Randzie. Nie byłem w odpowiednim nastroju, by wysłuchiwać, jak będzie mnie lżył jako kapitalistę. Jednak przerwano mi z zupełnie innej strony. Reakcję wywołał magiczny wyraz „diamenty”.

- Diamenty - westchnęła pani Blair w upojeniu.

- Diamenty - zawtórowała jej panna Beddingfeld.

Obie zwróciły się do pułkownika Race.

- Pan z pewnością był w Kimberley?

Ja także byłem w Kimberley, ale nie zdążyłem tego nawet powiedzieć. Zasypały pułkownika pytaniami. Jak wyglądają kopalnie? Czy to prawda, że tubylcy są trzymeni w zamknięciu? I tak dalej, i tak dalej.

Race cierpliwie odpowiadał na wszystkie pytania i trzeba przyznać, że znał się na rzeczy. Opisał, jak mieszkają robotnicy, opowiedział o rewizjach i innych środkach ostrożności stosowanych przez De Beerów.

- To znaczy, że kradzież diamentów jest po prostu niemożliwa - odezwała się pani Blair. W jej głosie brzmiało prawdziwe rozczarowanie, zupełnie jakby podróżowała do Afryki wyłącznie w tym celu.

- Nie ma rzeczy niemożliwych. Kradzieże zdarzają się. Opowiadałem pani, jak jeden z Kafrów ukrył diament w ranie.

- No tak, ale myślę o tych na większą skalę.

- W ostatnich latach wydarzyła się tylko jedna duża kradzież. Było to tuż przed wybuchem wojny. Pan pewnie będzie pamiętał tę sprawę, Pedler. Był pan wtedy w Południowej Afryce.

Przytaknąłem.

- Proszę nam o tym opowiedzieć! - zawołała panna Beddingfeld. - Och, bardzo proszę.

Pułkownik uśmiechnął się.

- Dobrze. Myślę, że większość z państwa zna nazwisko sir Laurence'a Eardsleya, jednego z największych potentatów górniczych w Południowej Afryce. Eardsley posiadał wprawdzie kopalnie złota, ale został wplątany w tę sprawę przez swojego syna. Tuż przed wojną rozeszły się pogłoski, że w dżungli Gujany Brytyjskiej odkryto nowe Kimberley.

Mówiono, że dwaj młodzi eksploatorzy wrócili właśnie z tej części Ameryki, przywożąc ze sobą znaczną kolekcję surowych diamentów, w tym niektóre sporych rozmiarów. Owszem, w okolicach rzek Essequibo i Mazaruni już wcześniej znajdowano diamenty, ale niewielkie. Natomiast dwaj młodzi badacze - John Eardsley i jego przyjaciel Lucas - twierdzili, że u źródła dwóch strumieni natrafili na bogate złoża z okresu karbonu. Były tam diamenty we wszystkich odcieniach: różowe, błękitne, żółte, zielone, czarne i w odcieniu najczystszej bieli. Lucas i Eardsley przybyli do Kimberley, aby pokazać kamienie rzeczoznawcom. Dokładnie w tym samym czasie odkryto, że u De Beerów dokonano sensacyjnej kradzieży. De Beerowie wysyłali swoje diamenty do Anglii w zapieczętowanych paczkach. Paczki trzymano w sejfie. Dwa klucze od sejfu przechowywane były przez dwóch różnych pracowników, trzeci zaś znał szyfr do zamka. Paczki przekazywano do banku, a bank ekspediował je do Anglii. Każda paczka była warta około stu tysięcy funtów.

Jeden z pracowników banku zauważył, że plomba była nieco inna niż zwykle. Otwarto paczkę i okazało się, że zawiera ona zwykłe kostki cukru.

Nie wiem dokładnie, dlaczego podejrzewania padły na Johna Eardsleya. Od razu przypomniano sobie, że w Cambridge prowadził hulaszczy tryb życia i że ojciec niejednokrotnie musiał spłacać jego długi. Uznano, że historia o złożach diamentowych w Ameryce Południowej to czysty wymysł. John Eardsley został aresztowany. Znalaziono u niego kilka diamentów De Beerów.

Sprawa nigdy nie trafiła do sądu. Sir Laurence Eardsley zrekompensował wartość brakujących diamentów i De Beerowie nie wystąpili z oskarżeniem. Nigdy też nie dowiedziano się, jak właściwie dokonano kradzieży. Jednak świadomość, że syn okazał się złodziejem, złamała serce sir Laurence'a. W krótki czas potem miał pierwszy wylew. Dla Johna los okazał się w pewnym sensie łaskawy. Poszedł na front, walczył bardzo dzielnie i wreszcie poległ, zmazując tym samym plamę z rodowego nazwiska. Sir Laurence zmarł jakiś miesiąc temu, doznawszy kolejnego wylewu. Zmarł nie zostawiając testamentu, wobec czego ogromna fortuna przypadła w udziale najbliższemu krewnemu, komuś, kogo stary lord prawie nie znał.

Pułkownik skończył. Ze wszystkich stron posypały się pytania. Panna Beddingfeld odwróciła się w stronę drzwi, wyraźnie czymś zaaferowana. Wydała lekki okrzyk. Spojrzałem i ja w tamtym kierunku.

W drzwiach stał mój nowy sekretarz Rayburn. Pod opalenizną był blady jak ściana. Widocznie opowieść pułkownika Race wywarła na nim wielkie wrażenie.

Nagle, widząc, że na niego patrzymy, odwrócił się raptownie i wyszedł.

- Czy pan zna tego człowieka? - zapytała obcesowo panna Beddingfeld.

- To mój nowy sekretarz, pan Rayburn - wyjaśniłem. - Do tej pory chorował.

Anna Beddingfeld machinalnie bawiła się kromką chleba leżącą obok jej talerza.

- Jak długo pracuje u pana?

- Niezbyt długo - odparłem oględnie.

Ale wobec kobiet taka ostrożność jest absolutnie bezużyteczna. Im bardziej człowiek jest powściągliwy, tym bardziej nalegają. Anna Beddingfeld także nie owijała niczego w bawełnę.

- To znaczy jak długo? - zapytała wprost.

- Cóż... zaangażowałem go tuż przed odjazdem. Poleciał mi go mój dawny przyjaciel.

Anna Beddingfeld nie pytała już o nic więcej, tylko popadła w zamyślenie. Uznałem, że nadszedł czas, abym i ja wyraził swoje zainteresowanie historią opowiedzianą przez pułkownika Race.

- A kto jest tym najbliższym krewnym sir Laurence'a? Czy wie pan przypadkiem?

- Tak się składa, że wiem - odparł pułkownik Race z uśmiechem. - To ja.

## XIV

*(Opowiadanie Anny)*

Późnym wieczorem, po balu kostiumowym, pomyślałam, że chyba nadszedł czas, abym obdarzyła kogoś swoim zaufaniem. Do tej pory działałam na własną rękę i świetnie się przy tym bawiłam. Teraz nagle wszystko się zmieniło. Przestałam wierzyć we własny osąd, poczułam się samotna i bezradna.

Siedziałam na koi, ciągle w kostiumie Cyganki, medytując nad całą sytuacją. Pułkownik Race? On zdawał się mnie lubić i z pewnością wysłuchałby mnie życzliwie. Nie był też głupi. Jednak po namyśle zrezygnowałam z tej kandydatury. Pułkownik miał władczy charakter i z pewnością sam zająłby się całym śledztwem. A to przecież była moja tajemnica. Był zresztą jeszcze jeden powód, do którego nie chciałam się przyznać nawet sama przed sobą. Nie, do pułkownika Race naprawdę nie mogłam się zwrócić.

Pomyślałam o pani Blair. Ona także mnie lubiła. Oczywiście nie łudziłam się, by miało to oznaczać coś więcej niż przelotny kaprys. Ale moja historia z pewnością wzbudziłaby jej zainteresowanie. W swoim dotychczasowym życiu pani Blair doświadczyła już większości zwykłych rozrywek, ja zaś miałam do zaproponowania udział w czymś naprawdę niecodziennym. Poza tym lubiłam ją. Lubiłam jej sposób bycia, wolny od sentymentalizmu i afektacji.

Podjęłam decyzję. Pójdę do pani Blair - i to od razu. Z pewnością jeszcze nie śpi.

Nie znałam co prawda numeru jej kabiny, ale może nocna stewardessa będzie wiedziała.

Nacisnęłam dzwonek. Po dłuższej chwili zjawił się steward i udzielił mi żądanej informacji. Pani Blair zajmowała kabinę 71. Steward przeprosił mnie za zwłokę, tłumacząc, że ma pod opieką wszystkie kabiny.

- A gdzie jest stewardessa? - zapytałam.

- Stewardessy kończą pracę o dziesiątej wieczorem.

- Ale nocna stewardessa.

- Nie mamy nocnych stewardess.

- Jak to? Kiedyś o pierwszej w nocy zjawiła się u mnie właśnie stewardessa.



- Musiało się to pani przyśnić. Po godzinie dziesiątej żadna stewardessa już nie dyżuruje.

Wyszedł. Musiałam przetrwać znaczenie tej informacji. Kim więc była kobieta, która 22 stycznia o godzinie pierwszej w nocy zjawiała się w mojej kabynie? Spochmurniałam, uświadomiwszy sobie przebiegłość i zuchwalstwo moich przeciwników. Wzięłam się jednak w garść i udałam się na poszukiwanie pani Blair. Zapukałam do drzwi jej kabiny.

- Kto tam? - zapytała.

- To ja, Anna Beddingfeld.

- Wejdz, cygańskie dziewczę.

Weszłam. W całej kabynie leżały porozrzucone niedbale rozmaite części garderoby. Pani Blair miała na sobie kimono - jedno z najładniejszych, jakie kiedykolwiek widziałam - mieniące się złotem, oranżem i czernią. Aż mi się oczy zaświeciły na jego widok.

- Pani Blair - powiedziałam gwałtownie - chciałabym opowiedzieć pani historię mojego życia. To znaczy, o ile nie jest jeszcze zbyt późno i jeśli to pani nie znudzi.

- Ani trochę. Nienawidzę kłaść się spać - odparła pani Blair, uśmiechając się, tak jak to ona potrafiła. - Z przyjemnością wysłuchani twojej historii. Jesteś naprawdę niezwykłym stworzeniem, moja droga. Nikt inny nie wpadłby na taki pomysł, aby wtargnąć do mnie o pierwszej w nocy z zamiarem opowiedzenia mi historii swojego życia. Zwłaszcza gdyby przedtem utarł mi nosa za moje wścibstwo, tak jak ty to zrobiłaś. Nie jestem przyzwyczajona do takich afrontów, więc była to dla mnie przyjemna odmiana. Siadaj na sofie i otwórz przede mną swoją duszę.

Opowiedziałam jej całą historię. Zajęło mi to trochę czasu, zanim omówiłam dokładnie każdy szczegół. Kiedy skończyłam, pani Blair westchnęła głęboko, ale wcale nie powiedziała tego, czego się po niej spodziewałam. Natomiast popatrzyła na mnie, zaśmiała się i rzekła:

- Wiesz, Anno, ty jednak jesteś niesamowita. Czy nie miałaś żadnych obiekcji?

- Obiekcji? - powtórzyłam zdumiona.

- Obiekcji, obiekcji. Wypuścić się w taką podróż, praktycznie bez grosza przy duszy. Co zrobisz, gdy już znajdziesz się w obcym kraju i bez pieniędzy?

- Och, nie ma sensu zaprzętać sobie tym głowy, dopóki to nie nastąpi. Zresztą mam przecież pieniądze. Te dwadzieścia pięć funtów od pani Flemming jest niemal nienaruszone, a wczoraj wygrałam piętnaście funtów w totalizatorze. Tak więc mam mnóstwo pieniędzy, całe czterdzieści funtów.

- Mnóstwo pieniędzy, mój Boże - mruknęła pani Blair. - Wiesz, Anno, nigdy bym się nie zdobyła na coś takiego, chociaż i mnie nie brak odwagi. Za nic bym się nie wypuściła tak beztropko w podróż z kilkoma zaledwie funtami w kieszeni, nie wiedząc dokładnie, dokąd jadę i po co.

- Ale na tym właśnie polega cały urok! - zawołałam z entuzjazmem. - To właśnie jest prawdziwa przygoda.

Popatrzyła na mnie, pokiwała głową i uśmiechnęła się.

- Musisz być szczęśliwa. Niewielu ludzi na tym świecie odczuwa tak jak ty.

- No dobrze - zawołałam niecierpliwie - ale co sądzi pani o tym wszystkim, pani Blair?

- To najbardziej ekscytująca historia, jaką kiedykolwiek słyszałam. Przede wszystkim jednak przestań nazywać mnie panią Blair. Zuzanna brzmi o wiele lepiej.

- Z przyjemnością, Zuzanno.

- Grzeczna dziewczynka. A teraz do rzeczy. Więc mówisz, że ten ranny mężczyzna, który wtargnął do twojej kabiny i prosił, abyś go ukryła, to sekretarz sir Eustachego, ale nie ten ponurak Pagett, tylko tamten drugi?

Przytaknęłam.

- To już kolejny trop łączący sir Eustachego z tą kabałą. W jego domu została zamordowana kobieta, jego sekretarz otrzymał pchnięcie nożem o tajemniczej godzinie pierwszej w nocy. Za dużo tych zbiegów okoliczności, chociaż nie twierdzę, że podejrzewam samego sir Eustachego. Może jednak wplątał się w coś, nie zdając sobie z tego sprawy.

- Następnie ta historia z nocną stewardessą - mówiła dalej z namysłem. - Jak ona wyglądała?

- Nie zwróciłam na nią uwagi. Byłam tak podekscytowana, że pojawienie się stewardessy było dla mnie rozczarowaniem. Ale, wiesz, jej twarz wydała mi się znajoma. Chociaż to zrozumiałe, pewnie widziałam ją wcześniej gdzieś na statku.

- Jej twarz wydała ci się znajoma - powtórzyła Zuzanna. - Czy jesteś pewna, że to nie był mężczyzna?

- Była bardzo wysoka - przyznałam.

- Hm, sir Eustachy odpada, pan Pagett także. Czekać, mam!

Porwała kartkę papieru i zaczęła zapamiętale szkicować. Przechyliła głowę w bok i krytycznie oceniła rezultat swoich wysiłków.

- Wypisz, wymaluj wielebny Edward Chichester. A teraz drobny retusz. - Podała mi kartkę. - Czy to jest twoja stewardessa?

- Tak, dokładnie tak! - krzyknęłam. - Zuzanno, jakaś ty mądra.

Zbyła komplement lekceważącym machnięciem ręki.

- Ten Chichester od razu wydał mi się podejrzany. Pamiętasz, jak upuścił filiżankę z kawą i zmienił się na twarzy, gdy wspomnieliśmy o Crippenie?

- I chciał wynająć kabinę 17.

- Widzisz, wszystko pasuje. Ale co to oznacza? Co naprawdę miało się wydarzyć o godzinie pierwszej w kabinie numer 17? Nie mogło przecież chodzić o atak na sekretarza. Jakiż miałyby sens robienie tego w wyznaczonym dniu, w wyznaczonym miejscu, o określonej porze? Nie, prawdopodobnie chodziło o jakieś spotkanie. Napadnięto go, gdy szedł na wyznaczone miejsce. Ale z kim mógł być umówiony? Z tobą nie. Może z Chichesterem albo z Pagettem.

- To raczej mało prawdopodobne - sprzeciwiłam się. - Mogli się spotkać o każdej innej porze bez wzbudzania najmniejszych podejrzeń.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, a potem Zuzanna spróbowała od innej strony.

- A może w twojej kabinie coś ukryto?

- To już bardziej prawdopodobne - zgodziłam się. - Tłumaczyłoby, dlaczego następnego dnia ktoś przeszukał moje rzeczy. Ale jestem pewna, że nic tam nie było schowane.

- A czy ten młody człowiek nie mógł wsunąć czegoś ukradkiem do szuflady?

- Zauważyłabym to.

- Może więc szukano tego cennego świstka papieru?

- Możliwe, ale to też trochę bez sensu. Na kartce była tylko data i godzina, w dodatku już nieaktualne.

- No tak - przytaknęła Zuzanna. - Nie, w takim razie rzeczywiście nie mogło chodzić o tę kartkę. A właściwie, masz ją może przy sobie? Chętnie bym ją obejrzała.

Oczywiście, że miałam kartkę ze sobą. Była przecież moim eksponatem numer 1. Podałam ją Zuzannie. Studiowała ją długo, marszcząc czoło.

- Po 17 jest kropka. Dlaczego nie ma kropki po 1?

- Tam jest odstęp.

- Tak, ale mimo to...

Nagle podniosła kartkę do światła. Widać było, że coś ją poruszyło.

- Anno, to nie jest żadna kropka, tylko maleńka dziurka w papierze. Widzisz? Musimy zapomnieć o kropce i zająć się wyłącznie odstępami.

Stałam obok Zuzanny i głośno odczytałam liczby, tak jak je zobaczyłam w tej chwili:

- 1 71 22.

- Widzisz? To samo, ale nie to samo. i ciągle pozostaje godziną pierwszą, 22 to data, natomiast numer kabiny się zmienia. 71 - moja kabina, Anno.

Popatrzyłyśmy na siebie, dumne z naszego odkrycia i tak podekscytowane, jakbyśmy rozwiązały całą zagadkę. Po krótkiej chwili euforii wróciłam jednak z nieba na ziemię.

- Ale Zuzanno, 22 stycznia o godzinie pierwszej w twojej kabinie nic się nie wydarzyło.

Twarz jej się wydłużyła.

- Rzeczywiście.

Przyszedł mi do głowy nowy pomysł.

- Słuchaj, ale to przecież nie jest twoja kabina. To znaczy, nie jest to ta sama, którą miałas zarezerwowaną.

- Nie, płatnik pozwolił mi zamienić kabinę.

- Być może była zarezerwowana dla kogoś innego, dla kogoś, kto się nie pojawił. Myślę, że powinniśmy to ustalić bez większego trudu.

- Nie musimy nawet próbować, cygańskie dziewczę! krzyknęła Zuzanna. - Przecież ja wiem. Płatnik mi powiedział. Kabina została zarezerwowana przez niejaką panią Grey. Jednak pod tym nazwiskiem najprawdopodobniej kryła się słynna Nadina - znakomita tancerka rosyjska. Mogłaś o niej słyszeć. Nigdy nie występowała w Londynie, natomiast Paryż dosłownie oszalał na jej punkcie. W czasie wojny odnosiła wielkie triumfy. Podobno niezłe z niej ziółko, ale bardzo atrakcyjna. Płatnik był niepokojony, że nie pojawiła się na statku. Pułkownik Race też mi o niej opowiedział to i owo. W Paryżu krążyły na jej temat różne plotki. Podejrzewano ją o szpiegostwo, ale nigdy jej niczego nie udowodniono. Zdaje się, że to właśnie pułkownik Race zajmował się wówczas tą sprawą. Opowiedział mi mnóstwo interesujących szczegółów. To był cały gang, składający się nie tylko z Niemców. Na jego czele stał mężczyzna nazywany Pułkownikiem. Prawdopodobnie był Anglikiem, jednak nigdy nie natrafiono na najmniejszy nawet ślad mogący pomóc w jego identyfikacji. Ta międzynarodowa szajka była doskonale zorganizowana. Zajmowała się dosłownie wszystkim - kradzieżami, morderstwami, szpiegostwem. Z reguły gang zawsze podstawiał jakiegoś kozła ofiarnego, który zostawał uznany winnym i ponosił karę. Ten Pułkownik musiał mieć głowę na karku. Podejrzewano, że Nadina jest jedną z jego agentek, nigdy jednak nie udowodniono jej niczego. Tak, Anno, jesteśmy na właściwym tropie. Nadina musiała maczać palce w naszej historii. To spotkanie dwudziestego drugiego miało mieć miejsce w jej kabinie. Ale gdzie ona się podziewa? Dlaczego nie płynie z nami? Doznałam nagłego olśnienia.

- Bo nie żyje! Zuzanno, przecież Nadina to ta kobieta zamordowana w Marlow!

Myślami powędrowałam do pustego pokoju w samotnym domu. Przez moment znowu poczułam atmosferę niebezpieczeństwa i zagrożenia. Przypomniałam sobie upuszczony ołówek i znaną rolę filmu. Zaraz - rolka filmu. Gdzie ja ostatnio słyszałam o rolce filmu? I dlaczego kojarzy mi się to z Zuzanną?

Nagle, w olśnieniu, rzuciłam się ku niej i zaczęłam nią potrząsać.

- Twój film! Ten, który wrzucono ci do kabiny przez wentylator. Czy to było dwudziestego drugiego?

- Ten, który zgubiłam?

- A skąd wiesz, czy to był ten sam? Dlaczego ktoś miałby ci go oddawać w taki sposób, i to w środku nocy? Chyba że byłby szalony. Nie, tam musiała być jakaś wiadomość. Film został wyjęty z żółtego opakowania i zastąpiony czymś innym. Czy masz go jeszcze?

- Mogłam go już zużyć. Nie, jest. Teraz przypominam sobie, że wepchnęłam go do siatki na bagaż obok koi.

Podawała mi opakowanie.

Był to zwykły okrągły, blaszany cylinder, w jaki pakowane są filmy w tropiku. Wzięłam go trzęsącymi się rękami. Czułam, że serce zaczyna, mi mocniej bić. Pudełeczko było znacznie cięższe niż normalnie.

Drżącymi palcami oderwałam taśmę klejącą i zdjęłam wieczko. Na łóżko posypały się szkliste, błyszczące kamyki.

- Kamienie - powiedziałam rozczarowana.

- Kamienie? - zawołała Zuzanna. W jej głosie brzmiało podniecenie.

- Kamienie? Ależ Anno, to nie są żadne kamienie. To diamenty.

## XV

Diamenty!

Zafascynowana wpatrywałam się w garstkę roziskrzonych kamieni, leżących na koi. Wzięłam jeden do ręki. Gdyby nie jego ciężar, mogłabym go śmiało uznać za kawałek szkła.

- Zuzanno, czy jesteś pewna?

- Oczywiście, moja droga. Widywałam surowe diamenty wiele razy i nie mam żadnych wątpliwości. Niektóre tutaj są bardzo piękne, wręcz unikalne. Tak, te kamienie kryją w sobie jakąś historię.

- Historię, którą usłyszałyśmy dziś wieczorem.

- Czy myślisz?...

- Historię opowiedzianą nam przez pułkownika Race. To z pewnością nie był przypadek. Opowiedział ją celowo.

- Żeby zobaczyć, jaki efekt wywrze jego opowiadanie?

- Tak.

- Na sir Eustachym?

- Tak.

Ale w tym momencie naszły mnie pewne wątpliwości. Czy pułkownikowi rzeczywiście chodziło o sir Eustachego? Wszak już przedtem odnosiłam wrażenie, że pułkownik mnie sonduje. Tak, pułkownik Race niewątpliwie coś podejrzewał. Ale jaki on mógł mieć związek z naszą sprawą?

- Kim jest pułkownik Race? - zapytałam.

- O, to dobre pytanie - odparta Zuzanna. - Cóż, jest zapalonym myśliwym, często poluje na grubego zwierza i - jak sam dzisiaj powiedział - jest dalekim krewnym sir Laurence'a Eardsleya. Ja poznałam go dopiero teraz, na statku. Pułkownik Race dosyć często podróżuje między Anglią i Afryką. Panuje powszechne przekonanie, że pracuje dla Secret Service, ale nie mam pojęcia, czy to prawda. W każdym razie jest osobą dosyć tajemniczą.

- Jako spadkobierca sir Laurence'a Eardsleya jest pewnie bardzo bogaty.

- Mógłby się tarzać w złocie. Wiesz, Anno, on byłby dla ciebie znakomitą partią.

- Nie mam nawet co próbować, skoro ty jesteś na pokładzie - odparłam ze śmiechem. - Och, te mężatki.

- O tak, obie jesteśmy atrakcyjne - mruknęła Zuzanna z zadowoleniem. - Zresztą, wszyscy wiedzą, że bardzo kocham Clarence'a. Clarence to mój mąż. Ale emablowanie wiernej żony jest rzeczywiście miłe i bezpieczne.

- Dla Clarence'a też musi być miłe być mężem kogoś takiego jak ty.

- Cóż, wiem, że czasami potrafię być męcząca. Ale on zawsze może się schronić w swoim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie wciska monokl do oka i zapada w rozkoszną drzemkę w wygodnym fotelu. Mam pomysł, mogłybyśmy wysłać mu telegram z żądaniem, aby podał nam

wszystkie informacje o pułkowniku Race. Uwielbiam wysyłać telegramy. I uwielbiam drażnić Clarence'a. On zawsze powtarza, że wystarczyłby zwykły list. Zresztą nie sędzę, aby nam cokolwiek zdradził. Jest bardzo dyskretny. Dlatego trudno z nim wytrzymać na dłuższą metę. Ale czekaj, spróbujemy cię wyswatać. Jestem pewna, że pułkownik jest tobą zainteresowany. Naprawdę, Anno, wystarczy kilka powłóczyстых spojrzeń twoich uwodzicielskich oczu i pułkownik będzie pogrążony. Pomyśl tylko, zaręczyny na statku. Przecież tu nie ma nic innego do roboty.

- Nie chcę wychodzić za mąż.

- Nie chcesz? - zawołała Zuzanna. - Dlaczego? Ja kocham być mężatką - nawet żoną Clarence'a.

Nie raczyłam odpowiedzieć na tę bezceremonialną uwagę.

- Chętnie bym się dowiedziała, co pułkownika Race łączy z tą sprawą - powiedziałam z naciskiem. - On musi być w to wmieszany.

- Mógł opowiedzieć tę historię wyłącznie przez przypadek, nie sądzisz?

- Wykluczone - odparłam zdecydowanie. - Obserwował nas bardzo uważnie. Pamiętasz, jak powiedział, że niektóre z tych diamentów odzyskano, ale nie wszystkie. Może to są te brakujące albo...

- Albo co?

Nie odpowiedziałam wprost.

- Chciałabym wiedzieć, co się stało z tym drugim młodym człowiekiem. Nie z Eardsleyem, tylko z tym - jak on się nazywał - Lucasem.

- W każdym razie parę rzeczy zdołałyśmy dzisiaj ustalić. Wszystko kręci się wokół diamentów, to jasne. To z ich powodu mężczyzna w brązowym garniturze zamordował Nadinę.

- On jej wcale nie zamordował - powiedziałam ostro.

- Oczywiście że zamordował. Któż inny mógłby to zrobić?

- Nie wiem, ale jestem pewna, że to nie on.

- Wszedł do domu prawie zaraz po niej i wyszedł blady jak płótno.

- Bo znalazł ją martwą.

- Ale przecież nikt inny nie wchodził.

- Wobec tego morderca musiał już być w domu. Może dostał się do środka inną drogą. Nie musiał wcale przechodzić koło stróżówki, mógł przeskoczyć przez płot.

Zuzanna popatrzyła na mnie przenikliwie. - Mężczyzna w brązowym garniturze - powiedziała z zadumą w głosie. - Zastanawiam się, kim on jest. Z pewnością to on udawał lekarza w metrze. Potem miał czas, żeby pozbyć się przebrania i podążyć za Nadiną do Marlow. Ona i Carton wyznaczyli tam sobie spotkanie. Oboje mieli upoważnienie z tym samym adresem. Skoro zadali sobie tyle trudu, by ich spotkanie wyglądało na absolutnie przypadkowe, musieli podejrzewać, że ktoś ich śledzi. Z drugiej strony Carton nie miał pojęcia, że śledzącym jest właśnie mężczyzna w brązowym garniturze. Gdy go rozpoznał, był tak zaskoczony, że kompletnie stracił głowę i uczynił ten fatalny krok do tyłu. Tak, do tej pory wszystko jest jasne, nie uważasz?

Milczałam.

- Tak musiało być. Mężczyzna w brązowym garniturze zabrał z kieszeni zmarłego kartkę, którą później upuścił w pośpiechu, pragnąc jak najszybciej oddalić się z miejsca wypadku. Następnie pojechał za Nadiną do Marlow. Co uczynił później, kiedy już ją zabił albo - jak twierdzisz - znalazł martwą? Dokąd się udał, opuściwszy Mill House?

Nic nie odpowiedziałam.

- Zastanawiam się nad jednym - ciągnęła Zuzanna. - Może udało mu się nakłonić sir Eustachego, aby ten zabrał go ze sobą jako swojego sekretarza. Byłaby to dla niego jedyna możliwość bezpiecznego opuszczenia Anglii i wymknięcia się pogoni. Ale jak przekonał sir Eustachego? Czyżby w jakiś sposób miał go w ręku?

- Jego albo Pagetta - wyrwało mi się wbrew woli.

- Ty, zdaje się, nie przepadasz za Pagetem. Sir Eustachy twierdzi, że to zdolny i pracowity młody człowiek. Tak naprawdę nie wiemy o niczym, co mogłoby go obciążać. Ale kontynuujmy. Mężczyzna w brązowym garniturze to Rayburn. Zanim zgubił tę kartkę, zdążył przeczytać zawartą w niej informację. Dziurka w papierze zmyliła go tak samo jak ciebie, dlatego też dwudziestego drugiego o godzinie pierwszej usiłował dostać się do kabiny 17. Wcześniej zaś, korzystając z pomocy Pagetta, bezskutecznie usiłował ją wynająć. Gdy siedł, ktoś rzucił się na niego z nożem.

- Kto? - zapytałam,

- Chichester. Tak, teraz wszystko pasuje. Depeszuj do lorda Nasby, że odnalazłaś mężczyznę w brązowym garniturze. Udało ci się.

- Jest jeszcze wiele szczegółów, które pominęłaś.

- Na przykład? Rayburn ma bliznę, wiem, ale taką bliznę można sobie bez trudu namalować. Wzrost i budowę ma odpowiednią. Jak się nazywał ten typ czaszki, którym tak ich zaskoczyłaś w Scotland Yardzie?

Zadrzałam. Zuzanna otrzymała staranną edukację, była bardzo odczytana, miałam jednak cichą nadzieję, że nie będzie zbyt dobrze obeznana z terminologią antropologiczną.

- Dolichocefaliczna - powiedziałam swobodnie. Popatrzyła na mnie podejrzliwie.



- Na pewno?

- Tak, tak zwana długogłowa. Czaszka, której szerokość nie przekracza trzech czwartych jej długości - wyjaśniłam biegle.

Nastąpiła chwila ciszy. Już myślałam” że mogę odetchnąć z ulgą, gdy Zuzanna zapytała nagle:

- A jakie jest przeciwieństwo?

- Przeciwieństwo? Co masz na myśli?

- No przecież musi być jakieś przeciwieństwo. Jak się nazywa czaszka, której szerokość przekracza trzy czwarte jej długości?

- Brachycefaliczna - odparłam niechętnie.

- No właśnie. Wydawało mi się, że przedtem użyłaś tego właśnie terminu.

- Naprawdę? Musiałam się przejęzyczyć. Miałam na myśli czaszkę dolichocefaliczną - powiedziałam z taką swobodą, na jaką mogłam się zdobyć.

Zuzanna przyglądała mi się badawczo. Wreszcie wybuchnęła śmiechem.

- Potrafisz znakomicie kłamać, moje cygańskie dziewczę. Ale myślę, że zaoszczędziłybyśmy sobie wiele czasu i kłopotów, gdybyś wyznała mi całą prawdę.

- Nie ma o czym opowiadać - rzekłam niechętnie.

- Czyżby? - zapytała uprzejmie.

- No dobrze - zaczęłam wolno - powiem ci. Nie wstydzę się tego. Nie można się wstydzić czegoś, co... co po prostu spada na ciebie. Był wobec mnie wstrętny, grubiański, niewdzięczny, ale ja go rozumiem. Zachowywał się niczym pies na uwięzi. Maltretowany pies gryzie każdego, kto się do niego zbliży. On reagował dokładnie tak samo. Był nieufny i opryskliwy. Nie wiem, dlaczego mi na nim zależy, ale zależy, i to bardzo. Gdy tylko go zobaczyłam, całe moje życie stanęło na głowie. Kocham go. Pragnę go. Byłabym gotowa boso przewędrować całą Afrykę, byleby tylko go odnaleźć i sprawić, by mnie pokochał. Mogłabym umrzeć dla niego, mogłabym dla niego pracować, harować jak niewolnica, kraść, żebrac, a nawet pożyczać. Teraz już wiesz.

Długo mi się przyglądała.

- Jesteś taka nieangielska - powiedziała w końcu. - Nie ma w tobie ani krzty sentymentalizmu. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto byłby jednocześnie tak praktyczny i tak namiętny. Nigdy nie będzie mi na nikim zależało aż tak - i chwala Bogu - a jednak... a jednak zazdroszczę ci, cygańska dziewczyno. To musi być cudowne, być zdolną do takich uczuć. Większość ludzi tego nie potrafi. Pomyśl, jakie to szczęście dla tego małego doktora, że za niego nie wyszłaś. On raczej nie wyglądał

na kogoś, kto cieszyłby się, mając w domu taki ładunek wybuchowy. A więc nie będzie telegramu do lorda Nasby?

Potrząsnęłam głową.

- I wierzysz w to, że on jest niewinny?

- Jak również w to, że niewinny człowiek może zostać powieszony.

- Hm, tak. Ale, kochanie, jeśli masz spojrzeć prawdzie w oczy, zrób to teraz. A jeśli on ją zamordował?

- Nie - odparłam - nie zrobił tego.

- To są czyste sentymenty.

- Nie. Mógłby ją zabić. Mógłby podążać za nią, opanowany myślą o morderstwie. Ale nigdy nie posłużyłby się kawałkiem sznurka. Gdyby chciał pozbawić ją życia, udusiłby ją własnymi rękami.

Zuzanna zadrżała lekko. Jej oczy błysnęły uznaniem.

- Cóż, Anno, teraz zaczynam rozumieć, dlaczego uważasz tego młodego człowieka za tak atrakcyjnego.

## XVI

Okazja do wzięcia na spytki pułkownika Race nadarzyła się już następnego ranka. Po obstawieniu totalizatora wyszliśmy razem na pokład.

- Jak się czuje dzisiaj Cyganka? Czy tęskni już za lądem i za swoim taborem?

Potrząsnęłam głową.

- Morze jest takie cudowne. Wydaje mi się, że mogłabym zostać tu już na zawsze.

- Co za entuzjazm!

- Czyż poranek nie jest przepiękny?

Staliśmy oboje oparci o reling. Wokół nas było cicho i spokojnie. Na gładkiej niczym atlas powierzchni morza kładły się barwne smugi w najprzeróżniejszych kolorach: błękitnym, szmaragdowym, jasnozielonym, pomarańczowym i purpurowym. Przypominało to obraz kubistyczny. Od czasu do czasu latające ryby znaczyły powierzchnię srebrzystym błyskiem. Powietrze było ciepłe

i wilgotne, niemal duszące. Tchnienie morza upajało niczym wonna pieszczota.

- Ta historia, którą opowiedział nam pan wczoraj, była bardzo interesująca - powiedziałam przerywając milczenie.

- Która?

- Ta o diamentach.

- Dla kobiet diamenty zawsze są fascynujące.

- O tak. Nawiasem mówiąc, co się stało z tym drugim poszukiwaczem? Mówił pan, że było ich dwóch.

- Z młodym Lucasem? Cóż, on też nie stanął przed sądem. Skoro nie oskarżono jednego, nie można było oskarżyć drugiego. Upiekło mu się.

- Ale jakie były jego dalsze losy? Czy coś wiadomo na ten temat?

Pułkownik Race spoglądał wprost przed siebie, na morze. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, była nieruchoma niczym maska. Czułam jednak, że nie jest zadowolony z mojego pytania. Niemniej odpowiedział bez ociągania.

- Poszedł na front. Walczył bardzo dzielnie. Był ranny i zaginął - uznano go za poległego.

Takiej właśnie odpowiedzi się spodziewałam. Zastanawiałam się - i to jeszcze bardziej intensywnie niż poprzednio - ile pułkownik naprawdę wie. Intrygowało mnie, jaką rolę odgrywał w tej sprawie.

Wzięłam też na spytki nocnego stewarda. Niewielka zachęta natury finansowej szybko rozwiązała mu język.

- Mam nadzieję, że ta dama się nie przestraszyła. Myślałem, że to ma być żart. Może jakiś zakład.

Słowo po słowie wyciągnęłam z niego wszystko. Podczas podróży z Kapsztadu do Anglii jeden z podróżnych wręczył mu opakowanie z filmem i polecił, aby podczas powrotnego rejsu wrzucił je do kabiny 71, ale dokładnie dwudziestego drugiego, o godzinie pierwszej w nocy. Kabinę będzie zajmowała pewna dama. Oczywiście chodzi o zakład. Domyśliłam się, że steward został szczerze wynagrodzony za tę przysługę. Nazwisko damy w rozmowie nie padło. Ponieważ pani Blair zwróciła się do płatnika w sprawie zamiany kabin niemal natychmiast po wejściu na pokład i zaraz po tym powędrowała prosto do kabiny 71, stewardowi nie przyszło do głowy, że mogło chodzić o inną damę. Mężczyzna, który mu to polecił, nazywał się Carton. Z opisu wynikało niezbiecnie, że ten pasażer i ofiara wypadku w metrze to jedna i ta sama osoba.

Tym sposobem jedna z zagadek została całkowicie wyjaśniona. Diamenty z całą pewnością stanowiły klucz do całej tajemnicy.

Ostatnie dni na pokładzie „Kilmorden Castle” upłynęły niemal niepostrzeżenie. Zbliżaliśmy się do Kapsztadu i musiałam dokładnie przemyśleć moje dalsze plany. Miałam tylu podejrzanych... Nie powinnam tracić z oczu ani Chicheстера, ani sir Eustachego i jego sekretarza... ani pułkownika Race. Jak to rozwiązać? Za głównego podejrzanego uważałam oczywiście Chicheстера. Byłam już gotowa, co prawda niechętnie, skreślić sir Eustachego i Pagetta z listy podejrzanych, kiedy zupełnie przypadkowa rozmowa na nowo obudziła moje wątpliwości.

Zdążyłam już zapomnieć o tym, że Pagett tak nerwowo reaguje na każdą wzmiankę o Florencji. Ostatniego wieczoru siedzieliśmy wszyscy na pokładzie i sir Eustachy zwrócił się do swojego sekretarza z całkowicie niewinną uwagą. Nie pamiętam, o co dokładnie chodziło, chyba powiedział, że włoskie pociągi są bardzo niepunktualne. Zauważyłam wtedy, że Pagett od razu zaczął zdradzać objawy zdenerwowania i niepokoju. Już zresztą wcześniej zwróciłam na to uwagę. Postanowiłam wyjaśnić tę sprawę do końca. Gdy tylko sir Eustachy poprosił Zuzannę do tańca, szybko przysiadłam się do Pagetta.

- Zawsze marzyłam o tym, żeby pojechać kiedyś do Włoch - powiedziałam. - Zwłaszcza do Florencji. Jakie wrażenie wywarło na panu to miasto? Czy podobało się panu?

- O tak, panno Beddingfeld, bardzo. Ale proszę mi wybaczyć, mam do napisania kilka listów, więc...

Chwyciłm go za rękaw.

- Proszę nie uciekać! - zawołałam z kokieterią podstarzałej wdowy. - Jestem pewna, że sir Eustachy miałby panu za złe, gdyby pozbawił mnie pan swego towarzystwa. Pan nigdy nie chce nic opowiedzieć o Florencji. Nieładnie, proszę pana. Czyżby ukrywał pan jakiś sekret?

Trzymałam ciągle rękę na jego ramieniu i poczułam, że zadrżał.

- Ależ skądże, panno Beddingfeld, ależ skądże - odparł z powagą. - Byłbym zachwycony, mogąc podzielić się z panią swoimi wrażeniami, ale jest kilka pilnych depesz...

- Ach, panie Pagett, co za niezręczna wymówka. Poskarżę się sir Eustachemu.

Dalej nie musiałam się już posuwać. Pagett niemal podskoczył. Doprawdy nerwy tego człowieka musiały być w okropnym stanie.

- A co chciałyby pani wiedzieć?

Powiedział to tak męczeńskim tonem, że uśmiechnęłam się w duchu.

- Och, wszystko. Obrazy, drzewa oliwne... Urwałam, gdyż brakło mi konceptu.

- Przypuszczam, że zna pan włoski - zakończyłam.

- Niestety, nie znam ani słowa. Jednak są portierzy i przewodnicy...

- No tak, no tak - powiedziałam pośpiesznie. - A jaki jest pana ulubiony obraz?

- Och... no ta... Madonna... no, wie pani... Rafaela.

- Cudowna Florencja - westchnęłam z uczuciem. - Malownicze brzegi Arno. Co za przepiękna rzeka. A Duomo. Pamięta pan Duomo?

- Oczywiście, oczywiście.

- Kolejna cudowna rzeka, prawda? - zaryzykowałam. - Chyba jeszcze piękniejsza niż Arno.

- Zdecydowanie.

Zachęcona tym, jak łatwo dał się złapać w pułapkę, sondowałam dalej, choć właściwie nie miałam już żadnych wątpliwości. Pagett z każdym słowem, jakie z siebie wyduszał, pogrążał się jeszcze bardziej. Ten człowiek nigdy w życiu nie był we Florencji.

Ale skoro nie był we Florencji, to gdzie był? W Anglii? Czy był w Anglii dokładnie w tym czasie, gdy w Mill House zostało popełnione morderstwo? Zdecydowałam się na rozstrzygające posunięcie.

- Wie pan, to dziwne, wydaje mi się, że ja pana gdzieś już widziałam. Ale chyba musiałam się pomylić, bo skoro był pan w owym czasie we Florencji, to...

Popatrzyłam wprost na niego. Z jego oczu wyzierał strach, niczym z oczu zaszczutego zwierzęcia. Nerwowo przesuwiał językiem po spieczonych wargach.

- A gdzie... gdzie?...

- Gdzie wydaje mi się, że pana widziałam? - dokończyłam za niego. - W Marlow. Zna pan Marlow? Och, co za gapa ze mnie, przecież sir Eustachy ma tam dom.

Mrucząc nieskładnie jakieś przeprosiny, moja ofiara zerwała się na równe nogi i uciekła.

Tego wieczoru wpadłam do kabiny Zuzanny mocno podekscytowana.

- No więc widzisz - powiedziałam kończąc moją opowieść. - Był w Marlow w czasie, gdy popełniono morderstwo. Czy nadal jesteś pewna, że to mężczyzna w brązowym garniturze jest zbrodniarzem?

- Pewna jestem tylko jednego - powiedziała ze złośliwym błyskiem w oku.

- Mianowicie?

- Że mężczyzna w brązowym garniturze jest o wiele przystojniejszy niż biedny pan Pagett. No, Anno, nie obrażaj się. Żartowałam tylko. Siadaj i pomówmy poważnie. Dokonałaś naprawdę wielkiego odkrycia. Do tej pory zakładaliśmy, że Pagett ma alibi. Teraz już wiemy, że jest inaczej.

- Właśnie - powiedziałam. - Wobec tego nie wolno nam spuścić go z oka.

- Tak samo jak wszystkich pozostałych - dokończyła ponuro. - Słuchaj, jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałam z tobą omówić, mianowicie kwestia finansów. Nie, nie krzyw się tak. Wiem, że jesteś do przesady dumna i niezależna, ale posłuchaj głosu rozsądku. Jesteśmy przecież partnerkami. Nie zaproponowałabym ci ani grosza tylko dlatego, że cię lubię, albo dlatego, że nie masz przyjaciół i rodziny. Pragnę przeżyć przygodę i jestem gotowa za to zapłacić. Wchodzimy w to razem, bez względu na wydatki. Na początek zamieszkasz ze mną w hotelu „Mount Nelson” na mój koszt i tam zaplanujemy dalszą kampanię.

Sprzeczałyśmy się, ale w końcu ustąpiłam. Nie byłam jednak zachwycona. Wolałabym dokonać wszystkiego samodzielnie.

- No to załatwione - powiedziała Zuzanna, przeciągając się i ziewając przeraźliwie. - Jestem zmęczona własną elokwencją. A teraz podyskutujmy o naszych ofiarach. Chichester jedzie do Durbanu, sir Eustachy zamierza zatrzymać się w hotelu „Mount Nelson”, a później wybiera się do Rodezji. Dysponuje własną salonką i w chwili słabości po wypiciu czwartego kieliszka szampana zaproponował mi wspólną podróż. Nie sądzę, żeby mówił serio, jednak byłoby mu teraz niezmiernie trudno wykręcić się z tego.’

- Świetnie - ucieszyłam się. - Będziesz miała na oku sir Eustachego i Pagetta, a ja zajmę się Chichesterem. Ale co z pułkownikiem Race?

Zuzanna popatrzyła na mnie z ukosa.

- Chyba nie podejrzewasz?...

- Podejrzewam. Jestem w takim nastroju, że podejrzewam nawet najmniej prawdopodobne osoby.

- Pułkownik Race również wybiera się do Rodezji. - Zuzanna zamyśliła się. - Gdyby udało się nam przekonać sir Eustachego, żeby go także zaprosił!

- Tobie się to uda. Ty potrafisz wszystko.

- Lubię pochlebstwa - przyznała Zuzanna.

Ustaliłyśmy, że postara się jak najlepiej wykorzystać swoje talenty.

Byłam zbyt podniecona, by pójść od razu spać. Przecież to była ostatnia noc na statku. Jutro z samego rana lądujemy w Zatoce Stołowej.

Wyszłam na pokład. Wiała świeża, chłodna bryza. Statek kołysał się leciutko. Pokład był ciemny i opustoszały. Było już po północy. Oparłam się o reling i zatopiłam wzrok w fosforyzującym szlaku piany. Przed nami leżała Afryka, zbliżaliśmy się ku niej przez ciemne wody. Czułam się tak, jakbym była jedynym człowiekiem na tym cudownym świecie. Otulona w dziwną ciszę, stałam pogrążona w myślach, nie zwracając uwagi na upływający czas.

I nagle instynkt ostrzegł mnie przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Nie usłyszałam najłżejszego nawet szmeru, ale odruchowo odwróciłam się. Za moimi plecami skradał się jakiś cień. Gdy się odwróciłam, skoczył. Jedną ręką schwycił mnie za gardło, uniemożliwiając krzyk. Walczyłam desperacko, ale nie miałam szans. Od ucisku na szyi zaczynało mi brakować tchu. Szarpałam się, drapiąc na oślep, jak to zwykle czynią kobiety. Mój napastnik był w o tyle złej sytuacji, że musiał uważać, abym nie zaczęła krzyczeć. Gdyby udało mu się zaskoczyć mnie nie przygotowaną, mógłby z łatwością wyrzucić mnie za burtę, a tam już rekiny dokończyłyby dzieła.

Wyrywałam się ze wszystkich sił, czułam jednak, że zaczynam słabnąć. Mój przeciwnik wyczuł to także. Sprężył się... Nagle usłyszałam odgłos pośpiesznych, cichych kroków i kolejny cień przyłączył się do nas. Jednym uderzeniem pięści powalił napastnika na pokład. Uwolniona, oparłam się o reling, drżąca i słaba.

Mój wybawca odwrócił się do mnie błyskawicznym ruchem.

- Pani jest ranna?

W jego głosie brzmiała agresja, jakby groził osobie, która ośmieliła się mnie zaatakować. Rozpoznałam go, zanim jeszcze się odezwał. To był on - mężczyzna z blizną.

Moment nieuwagi ze strony Rayburna wystarczył mojemu prześladowcy. Zerwał się gwałtownie i zaczął uciekać. Rayburn skoczył za nim z przekleństwem na ustach. Ponieważ nienawidzę stania z boku, przyłączyłam się do pościgu. Okrążając pokład pobiegliśmy na sterburtę. Pod drzwiami salonu leżał jakiś mężczyzna, nieruchomy jak kłoda. Rayburn pochylił się nad nim.

- Czy uderzył go pan powtórnie? - zapytałam, łapiąc oddech.

- Nie było takiej potrzeby. - Skrzywił się. - Znalazłem go leżącego pod drzwiami. Albo zemdlął tutaj, albo nie potrafił otworzyć tych drzwi i teraz udaje. Zaraz się o tym przekonamy. Zobaczmy, co to za ptaszek.

Przysunęłam się z bijącym sercem. Od samego początku zorientowałam się, że mój napastnik był wyższy od Chicheстера. Poza tym Chichester był raczej słaby i ślamazarny. Z łatwością mógłby pchnąć kogoś nożem, jednak nie starczyłoby mu siły, by zaatakować gołymi rękami.

Rayburn zapalił zapałkę. Wydaliśmy okrzyk zdumienia. To był Guy Pagett.

Rayburn nie mógł ochłonąć ze zdziwienia.

- Pagett - powtarzał - mój Boże, Pagett! Poczułam swoją przewagę.

- Pana to zaskoczyło?

- Owszem - odparł z mocą. - Nigdy bym nie przypuszczał. - Nagle odwrócił się do mnie. - Pani nie jest zdumiona? No tak, pewnie go pani rozpoznała w chwili, gdy panią zaatakował.

- Nie, nie rozpoznałam go, ale jednocześnie nie jestem zdziwiona.

Popatrzył na mnie podejrzliwie.

- Skąd się tu pani wzięła? I jak dużo pani wie?

Uśmiechnęłam się.

- Sporo, panie... Lucas.

Schwycił mnie za ramię z taką siłą, że skrzywiłam się z bólu.

- Skąd pani zna to nazwisko? - wychrypiał.

- Czyż nie tak się pan nazywa? A może mam zwracać się do pana per mężczyzno w brązowym garniturze?

Był dosłownie jak ogłuszony. Puścił moje ramię i cofnął się o krok.

- Czy pani jest czarownicą? - jęknął.

- Jestem przyjacielem. - Podeszłam do niego. - Już raz proponowałam panu swoją pomoc. Teraz ponawiam ofertę. Czy pan ją przyjmie?

Gwałtowność jego odpowiedzi zaskoczyła mnie.

- Nie chcę mieć do czynienia ani z panią, ani z żadną inną kobietą. Wszystkie jesteście przeklęte.

Poczułam gniew.

- Być może nie zdaje pan sobie sprawy z tego, że jest pan w mojej mocy. Wystarczy, abym powiedziała słowo kapitanowi.

- Spróbuj - zadrwił. Postąpił krok do przodu. - A skoro już o tym mowa, to w tej chwili ty jesteś w mojej mocy. - Jego słowom towarzyszył szybki gest. Poczułam lekki ucisk jego rąk na szyi. - O, właśnie w ten sposób. Jedna chwila i wycisnę z ciebie życie. A potem - jak planował to twój nieprzytomny przyjaciel - oddam twoje zwłoki rekinom na pożarcie. Co ty na to?

Nic nie odpowiedziałam. Roześmiałam się tylko. A przecież zagrożenie było zupełnie realne. W tej jednej chwili czułam do mnie prawdziwą nienawiść. Ale kochałam niebezpieczeństwo, kochałam dotyk jego rąk na swoim gardle. Tej jednej chwili w moim życiu nie zamieniłabym na żadną inną.

Zaśmiał się krótko i puścił mnie.

- Jak się pani nazywa? - zapytał ostro.

- Anna Beddingfeld.



- Czy pani niczego się nie boi, Anno Beddingfeld?

- O tak - odparłam, starając się mówić chłodno, choć przepełniały mnie zupełnie odmienne uczucia - os, sarkastycznych kobiet, młodych mężczyzn, karaluchów i starszych subiektów w sklepie.

Znowu się roześmiał. Potem trącił nogą nieprzytomnego Pagetta.

- A co zrobimy z tym? Wyrzucimy go za burtę? - zapytał beztrosko.

- Jak pan chce - odparłam równie obojętnie.

- Podziwiam pani krwawy instynkt, panno Beddingfeld. Myślę, że go zostawimy, aby wydobrzała. Nie jest poważnie ranny.

- A więc wzbrania się pan przed ponowną zbrodnią - powiedziałam ze słodyczą.

- Ponowną zbrodnią? - popatrzył na mnie autentycznie zdumiony.

- Ta kobieta w Marlow - przypominałam mu, bacznie obserwując efekt swoich słów.

Jego twarz przybrała nagle nieprzyjemny wyraz. Zdawało się, że zapomniał o mojej obecności.

- Mogłem ją zabić - powiedział. - Czasami zaczynam wierzyć, że naprawdę chciałem ją zabić.

Ogarnęło mnie gwałtowne uczucie nienawiści do tamtej zmarłej kobiety. Gdyby teraz stanęła przede mną, ja także mogłabym ją zabić. On kochał ją niegdyś, musiał ją kochać, musiał... Nie mogło być inaczej.

Wzięłam się w garść i powiedziałam już normalnym głosem:

- Chyba powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia. Dobranoc.

- Dobranoc, panno Beddingfeld.

- Do zobaczenia, panie Lucas.

Znowu wzdrygnął się, słysząc to nazwisko.

- Dlaczego powiedziała pani do zobaczenia?

- Ponieważ mam przecucie, że się jeszcze spotkamy.

- Nigdy, jeśli to będzie zależało ode mnie.

Powiedział to z wielkim naciskiem, ale nie poczułam się urażona. Przeciwnie, przepełniała mnie ogromna satysfakcja. Nie jestem przecież głupia.

- Mimo to uważam, że ta chwila nastąpi - rzekłam już całkiem poważnie.

- Dlaczego?

Potrząsnęłam głową, nie potrafiąc wytłumaczyć, dlaczego tak powiedziałam.

- Nie życzę sobie więcej pani widzieć - rzucił gwałtownie. Zabrzmiało to impertynencko, ale roześmiałam się tylko i oddaliłam w mrok.

Słyszałam, jak szedł za mną, potem jednak się zatrzymał. Przez ciemność poszybowało jedno jedyne słowo: „czarownica”.

## XVII

*(Wyjątki z dziennika sir Eustachego Pedlera)*

*Hotel „Mount Nelson”, Kapsztad*

To naprawdę wielka ulga móc wreszcie opuścić pokład „Kilmorden Castle”. Przez cały czas pobytu na statku miałem wrażenie, że otacza mnie sieć intryg. Jakby dla ukoronowania wszystkiego, ostatniej nocy Guy Pagett uznał za stosowne wdać się w pijacką bójkę. W każdym razie wszystko na to wskazuje. Cóż innego można pomyśleć o człowieku, który zjawia się nagle z guzem wielkości kurzego jaja i z okiem mieniącym się wszystkimi kolorami tęczy.

Oczywiście Pagett upierał się, że to nie tak, że za tym wszystkim kryje się jakaś tajemnica. Twierdził, że podbite oko jest rezultatem jego poświęcenia dla moich interesów. Historia, jaką mi opowiedział, była jak zwykle mglista i bezsensowna. Trwało dłuższą chwilę, zanim wreszcie pojąłem, gdzie początek, a gdzie koniec.

Zaczął się od tego, że zauważył jakiegoś mężczyznę, który zachowywał się bardzo podejrzanie. To były słowa samego Pagetta. Prawdopodobnie zaczerpnął je z historyjek o niemieckich szpiegach. Na czym ma polegać podejrzane zachowanie się, Pagett dokładnie nie wie. Wytknąłem mu to.

- Przemykał się chyłkiem, w dodatku w samym środku nocy, sir.

- A ty sam co wtedy robiłeś? Dlaczego nie leżałeś w łóżku i nie spałeś, jak na dobrego chrześcijanina przystało? - zapytałem z irytacją.

- Kodowałem pańskie depesze, sir, i uzupełniałem dziennik na bieżąco.

Cóż, Pagett musi mieć zawsze ostatnie słowo.

- I co dalej?

- Pomyślałem sobie, że przejdę się trochę. Ten mężczyzna przemykał się korytarzem w pobliżu pańskiej kabiny. Co chwila oglądał się za siebie, więc uznałem, że to jakaś podejrzana historia. Skierował się na schody koło salonu. Poszedłem za nim.

- Mój drogi - powiedziałem - a dlaczegoż to ten biedak nie mógł wyjść sobie na pokład? Po co go od razu śledzić? Niektórzy nawet śpią na pokładzie, co ja osobiście uważam za wielce niewygodne. Marynarze wymiatają ich potem wraz ze śmieciami o piątej rano. - Aż się wzdrygnąłem na samą myśl o tym. - A poza tym - kontynuowałem - skoro zdręczałeś jakiegoś biedaka cierpiącego na bezsenność, nic dziwnego, że ci przyłożył.

Pagett popatrzył na mnie cierpliwie.

- Gdyby zechciał pan wysłuchać mnie do końca... Jestem przekonany, że ten człowiek kręcił się w pobliżu pańskiej kabiny, gdzie nie miał nic do szukania. Przecież w tym dolnym korytarzu są tylko dwie kabiny - pana i pułkownika Race.

- Race - odparłem, starannie zapalając cygaro - sam potrafi zadbać o siebie i wcale nie potrzebuje twojej pomocy. Tak samo ja - dodałem po namyśle.

Pagett przysunął się do mnie, ciężko posapując, jak zwykle, gdy chce mi zdradzić jakiś sekret.

- Bo widzi pan, zastanawiałem się... teraz jestem zupełnie pewny, że to był Rayburn.

- Rayburn?

- Właśnie, sir. Potrząsnąłem głową.

- Rayburn jest na tyle rozsądny, że nie przyszłoby mu do głowy budzić mnie w środku nocy.

- Zgadza się. Dlatego sądzę, że szedł do pułkownika Race. Tajne spotkanie. Przyszedł po rozkazy.

- Nie świszcz tak, Pagett - powiedziałem, odsuwając się nieco - i kontroluj swój oddech. Twój pomysł jest absurdalny. Dlaczego ci dwaj mieliby odbywać jakieś sekretne, nocne spotkania? Jeśli mieli sobie coś do przekazania, mogli to zrobić o każdej innej porze, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

Widziałem, że Pagett nie jest przekonany.

- Ale coś musiało zajść tej nocy - nalegał. - W przeciwnym razie dlaczego Rayburn zaatakowałby mnie tak brutalnie?

- Jesteś pewien, że to był Rayburn?

Pagett zdawał się zupełnie pewien. Właściwie była to jedyna część jego historii, co do której nie miał żadnych wątpliwości.

- Za tym kryje się coś bardzo dziwnego - mówił. - Zaczniemy od tego, gdzie jest Rayburn?

Rzeczywiście, od czasu zejścia na ląd żaden z nas nie widział Rayburna na oczy. Nie pojawił się w hotelu. Zaczynam wierzyć, że ukrywa się w obawie przed Pagettem.

Przyznaję, że cała ta historia jest mocno irytująca. Jeden z moich sekretarzy dosłownie rozpląnął się w powietrzu, drugi wygląda niczym znokautowany bokser. Przecież w tym stanie nie będzie mógł mi towarzyszyć. Stałbym się pośmiewiskiem całego Kapsztadu. Jeszcze dzisiaj jestem umówiony na spotkanie. Muszę jednak przekazać billet doux [Billet doux. (franc.) - liścik miłosny.] od starego Milraya. Absolutnie nie mogę zabrać Pagetta ze sobą. A niech diabli wezmą jego samego i tę jego manię prześladowczą!

Jestem w złym humorze. Śniadanie było okropne, a towarzystwo jeszcze gorsze. Holenderskiej kelnerce z grubymi nogami zajęło aż pół godziny przyniesienie mi kawałka ryby, która okazała się zupełnie niejadalna. A ta cała farsa z zawinięciem do portu! Wstawanie o piątej rano, po to, aby obejrzał człowieka jakiś zatracony lekarz, trzymanie rąk nad głową - wszystko to po prostu mnie wykończyło.

*Później*

Sprawa jest poważna. Poszedłem na spotkanie z premierem, zabierając ze sobą zapieczętowany list od Milraya. Wyglądał na nienaruszony, tymczasem okazało się, że w kopercie jest czysta kartka papieru!

No i oczywiście teraz tkwię w samym środku całego zamieszania. Że też dałem się temu staremu głupcowi Milrayowi wciągnąć w tę piekielną historię.

Pagett w roli pocieszyciela jest niezastąpiony. Demonstruje ponurą satysfakcję, czym doprowadza mnie do szału. Oczywiście wykorzystał moje kłopoty i natychmiast podrzucił mi wielki kufer. Naprawdę, jeśli ten chłopak nie zmieni swojego postępowania, to następny pogrzeb, w jakim przyjdzie mu uczestniczyć, będzie jego własnym. W końcu musiałem go wysłuchać.

- Załóżmy, sir, że Rayburn podsłuchał na ulicy pańską rozmowę z panem Milrayem. Proszę pamiętać, że nie miał żadnego pisemnego upoważnienia od pana Milraya. Przyjął go pan wyłącznie na podstawie jego własnych słów.

- Czy ty uważasz, że Rayburn jest oszustem? - zapytałem wolno.

Pagett tak właśnie uważał. Jak dalece jego podejrzenia wynikają z myśli o podbitym oku, tego nie wiem. W każdym razie zgromadził przeciwko niemu całe mnóstwo dowodów. Nawet wygląd

Rayburna rzekomo świadczy przeciwko niemu. Ja zaś mam zamiar nic nie robić w tej sprawie. Ktoś, kto pozwolił, by wzięto go za głupca, nie będzie się przecież tym chwalił przed całym światem.

Natomiast Pagett, którego zapał bynajmniej nie doznał uszczerbku w wyniku tamtego niefortunnego wydarzenia, z energią rzucił się w wir działań. Skontaktował się z policją, porozysłał niezliczone depesze i zmobilizował całą armię angielskich i holenderskich urzędników, których głównym zajęciem jest teraz picie whisky z wodą sodową na mój koszt.

Wieczorem nadeszła odpowiedź od Milraya. Nic nie wiedział na temat Rayburna! W całej tej sytuacji znalazłem tylko odrobinę pociechy.

- W każdym razie nikt nie usiłował cię otruć - powiedziałem do Pagetta. - Miałeś zwykły atak gastryczny.

Widziałem, że drgnął. Zdobyłem jeden punkt.

*Później*

Pagett jest w swoim żywiole. W jego umyśle kielkują coraz to nowe błyskotliwe idee. Ostatnio doszedł do wniosku, że Rayburn to nikt inny, tylko ów sławny mężczyzna w brązowym garniturze. Ośmielam się przypuszczać, że ma rację, jak zwykle zresztą. To wążystko staje się coraz mniej przyjemne. Im szybciej wyjadę do Rodezji, tym lepiej. Musiałem wytłumaczyć Pagettowi, że nie ma mowy, abym mógł go zabrać ze sobą.

- Nie, mój drogi, ty musisz zostać na miejscu. W każdej chwili możesz być potrzebny do zidentyfikowania Rayburna. Poza tym nie wolno mi zapomnieć o mojej godności członka angielskiego parlamentu. Doprawdy nie uchodzi, abym podróżował w towarzystwie sekretarza, który wygląda, jakby brał udział w jakiejś bójce ulicznej.

Pagett zrobił bolesciwą minę. Jest tak szacowny, że jego obecny wygląd stanowi dla niego źródło prawdziwej udręki.

- A co z korespondencją i ze szkicami pańskich przemówień, sir?

- Dam sobie radę - odparłem beztróska.

- Salonka zostanie dołączona do pociągu o jedenastej. W środę, czyli jutro. Załatwię wszystkie formalności. Czy pani Blair zabiera ze sobą pokojówkę?

- Pani Blair? - Aż mnie zatkało.

- Powiedziała mi, że zaoferował jej pan miejsce.

- Istotnie, teraz sobie przypominam. Podczas balu kostiumowego. Nawet nalegałem na przyjęcie mojego zaproszenia. Skąd jednak mogłem przypuszczać, że się zgodzi? Ona jest czarująca, ale nie powiem, żebym życzył sobie jej towarzystwa przez całą drogę do Rodezji i z powrotem. Kobiety wymagają, żeby poświęcać im tyle uwagi. Potrafią być okropne. Czy zaprosiłem jeszcze kogoś? - zapytałem nerwowo. Doprawdy człowiek czasami się zapomina.

- Pani Blair jest przekonana, że zaprosił pan także pułkownika Race.

Jęknąłem.

- Jeśli zaprosiłem i jego, to musiałem być bardzo pijany. Weź sobie do serca moją radę, Pagett, a twoje podbite oko też niech będzie dla ciebie przestrożą. Nie wdawaj się w żadne pijatyki.

- Jestem abstynentem, jak panu zapewne wiadomo, słu.

- Słusznie. O wiele mądrzej jest od razu ślubować abstynencję, jeśli ktoś ma skłonności do alkoholu. Mam nadzieję, że już nikogo więcej nie zapraszałem.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Odetchnąłem z ulgą.

- Jest jeszcze panna Beddingfeld - powiedziałem w zamyśleniu. - Zdaje się, że wybiera się do Rodezji w poszukiwaniu jakichś kości. Byłoby nieźle zatrudnić ją tymczasowo jako sekretarkę. Potrafi pisać na maszynie, wspominała mi kiedyś o tym.

Ku mojemu zdumieniu Pagett gwałtownie sprzeciwił się tej propozycji. On nie przepada za tą Beddingfeld. Od czasu pamiętnej nocy, kiedy podbito mu oko, ilekroć ktoś wspomni jej imię, okazuje nie kontrolowane emocje. Doprawdy Pagett zrobił się ostatnio bardzo tajemniczy.

Zaproszę tę dziewczynę, aby zrobić mu na złość. Jak już wspomniałem, ona ma świetne nogi.

## XVIII

*(Opowiadanie Anny)*

Do końca życia nie zapomnę chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałam Stołową Górę. Tego dnia wstałam bardzo wcześnie i natychmiast udałam się na pokład szalupowy, co jest - zdaje się - karygodnym wykroczeniem. Zdecydowałam się jednak zaryzykować. Pragnęłam być sama.

„Kilmorden Castle” wpływał właśnie do Zatoki Stołowej. Nad wierzchołkiem Stołowej Góry żeglowały białe, wełniste obłoczki, do jej zboczy tuliło się uspięte miasto, wyłoczone promieniami wschodzącego słońca.

Ten widok dosłownie zaparł mi dech w piersiach. W sercu poczułam przejmujący ból, jakiego czasami doznajemy na widok czegoś niewypowiedzianie pięknego. Nie potrafię opisać tego wrażenia. Czułam, że oto odnalazłam - jeśli nawet tylko na jedną jedyną chwilę - coś, czego szukałam, opuściwszy Little Hampsley. Coś nowego, coś dotąd niewyobrażalnego, coś, co zaspokajało moją tęsknotę do romantyzmu.

W kompletnej ciszy - albo tak mi się przynajmniej zdawało - „Kilmorden Castle” zbliżał się ku brzegowi. Odnosiłam wrażenie, że śnię. Jednak nie pozwoliłam sobie na całkowite zatonięcie w marzeniach. My, biedni śmiertelnicy, zawsze jesteśmy pełni obaw, że moglibyśmy coś przegapić.

- To jest Południowa Afryka - powtarzałam pilnie. - Południowa Afryka, Południowa Afryka. Oglądasz świat. To jest świat. Właśnie go podziwiasz. Pomyśl o tym, głupiutka Anno Beddingfeld. Oglądasz szeroki świat.

Początkowo sądziłam, że mam pokład wyłącznie dla siebie, po chwili jednak dostrzegłam sylwetkę mężczyzny opartego o reling i tak jak ja wpatzonego w zbliżające się miasto. Poznałam go, zanim jeszcze odwrócił głowę. Teraz, w porannym słońcu, nocna scena wydała mi się nierealna i melodramatyczna. Co on sobie o mnie pomyślał? Przypomniałam sobie wszystko, co przedtem wygadywałam, i zrobiło mi się gorąco. Przecież nie myślałam tak. A może?...

Odwróciłam głowę i wlepiłam wzrok w szczyt Stołowej Góry. Jeśli Rayburn też szuka samotności, nie będę mu przeszkadzała.

Jednak ku mojemu wielkiemu zdumieniu usłyszałam za sobą najpierw odgłos kroków, a potem jego głos, miły i uprzejmy.

- Panna Beddingfeld? - Tak. Odwróciłam się.

- Chciałbym panią przeprosić. Ostatniej nocy zachowałem się jak gbur.

- To... to była szczególna noc - powiedziałam szybko. Nie była to zbyt zrozumiała uwaga, ale na nic innego nie potrafiłam się w tym momencie zdobyć.

- Czy pani mi wybaczy?

Bez słowa wyciągnęłam do niego rękę. Uścisnął ją.

- Jeszcze o czymś chciałbym z panią pomówić - rzekł z wielką powagą. - Panno Beddingfeld, pani może nie zdaje sobie z tego sprawy, ale wplątała się pani w naprawdę niebezpieczną historię.

- Domyślam się.

- Chyba nie do końca. Nie może pani wiedzieć wszystkiego. Pragnę panią ostrzec. Proszę trzymać się od tego z daleka. Przecież ta sprawa nie dotyczy pani bezpośrednio. Proszę nie wtrącać się w sprawy innych wyłącznie z ciekawości. Nie, niech się pani nie obraża, nie mówię tutaj o sobie. Pani nie ma pojęcia, co jeszcze może panią spotkać. Tych ludzi nic nie powstrzyma, są naprawdę bezlitośni. Już raz znalazła się pani w niebezpieczeństwie - proszę tylko pomyśleć o ubiegłej nocy.

Oni przypuszczają, że pani coś wie. Pani jedyną szansą jest przekonać ich, że są w błędzie. Proszę być ostrożną, proszę uważać na siebie. Gdyby kiedykolwiek znalazła się pani w ich rękach, niech pani nie próbuje żadnych sztuczek, tylko od razu wyzna całą prawdę. To pani jedyna szansa.

- Czuję już, że cierpnie mi skóra - powiedziałam, zresztą zgodnie z prawdą. - Dlaczego zadał pan sobie tyle trudu, aby mnie ostrzec?

Milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Być może jest to ostatnia rzecz, jaką mogę dla pani zrobić. Dopiero na lądzie będę bezpieczny, pod warunkiem że tam w ogóle dotrę.

- Co? - krzyknęłam.

- Obawiam się, że nie jest pani jedyną osobą na pokładzie, która wie, że to ja jestem mężczyzną w brązowym garniturze.

- Jeśli pan sądzi, że to ja powiedziałam... - zaczęłam z mocą.

- Ależ nie. Wierzę pani, panno Beddingfeld. Jeżeli przedtem twierdziłem coś innego, to kłamałem. Nie, na tym statku jest ktoś, kto wiedział o tym od samego początku. Jeżeli zacznę mówić, jestem zgubiony. Choć mam nadzieję, że nie zacznę.

- Dlaczego?

- Ponieważ ten człowiek lubi prowadzić własną grę. Jeśli dostanie mnie policja, będę dla niego bezużyteczny. Wolny - mógłbym mu się przydać. Cóż, za godzinę będziemy wiedzieli.

Starał się uśmiechać, widziałam jednak, że twarz mu stężała. Hazardował się z losem, ale był dobrym graczem. Potrafił przegrywać z uśmiechem.

- W każdym razie - powiedział lekko - nie sądzę, abyśmy się jeszcze zobaczyli.

- Nie - odparłam powoli - chyba nie.

- Więc żegnam panią.

- Żegnam pana.

Mocno uściśnął mi dłoń i na długą chwilę jego oczy zatoneły w moich. Potem odwrócił się gwałtownie i odszedł. Słyszałam jego kroki oddalające się po pokładzie. Ich odgłos powracał do mnie echem. Czułam, że będę słyszała je zawsze. Jego kroki - oddalające się z mego życia.

Muszę przyznać, że następne dwie godziny nie były zbyt radosne. Dopiero gdy znalazłam się na nabrzeżu, skończywszy załatwianie najdziwaczniejszych formalności wymaganych przez biurokratyczną maszynę, odetchnęłam z ulgą.



Nie aresztowano go. Dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, jak piękny był to dzień i jak bardzo jestem głodna. Dołączyłam do Zuzanny. „Kilmorden Castle” odpływał do Port Elizabeth i do Durbanu dopiero następnego ranka. Wzięłyśmy taksówkę i pojechałyśmy do hotelu „Mount Nelson”.

Wszystko było cudowne. Słońce, powietrze, kwiaty. Kiedy wyobraziłam sobie Little Hampsley w styczniu - błoto po kolana i pewność, że zaraz znowu będzie padać - pogratulowałam sobie w duchu. Zuzanna nie była aż tak entuzjastycznie nastawiona. Ona już wcześniej sporo podróżowała, poza tym nigdy nie wpada w zachwyt przed śniadaniem. Kilkakrotnie przywoływała mnie do porządku, gdy wydawałam okrzyki podziwu na widok gigantycznych, niebieskich powojników.

Przy okazji chciałabym wyjaśnić, że opisywana przeze mnie historia nie jest opowieścią o Południowej Afryce. Nie będzie w niej więc tak zwanego kolorytu lokalnego. Sądzę, że czytelnicy rozumieją, co mam na myśli - pół tuzina słów kursywą na każdej stronie i tym podobne zabiegi. Owszem, lubię ten styl, ale sama nie potrafiłabym tak pisać. Na Nowej Gwinei i na Wyspach Salomona wszyscy mówią oczywiście o *beche-de-mer* [*Beche-de-mer* (franc.) - gatunek jadalnej strzykwy; także międzynarodowa gwara oparta na języku angielskim, używana m. in. na Nowej Gwinei i Wyspach Salomona.]. Nie wiem, co to jest *beche-de-mer*, nigdy tego nie wiedziałam i prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiem. Raz czy dwa próbowałam zgadnąć, ale nie trafiłam. W Południowej Afryce z kolei wszyscy używają słowa *stoep*. Wiem, co to jest *stoep*. Jest to rodzaj przybudówki wokół domu, na której można przesiadywać. W innych częściach świata nazywają to na przykład werandą, tarasem albo ha-ha. Albo takie papaje. Często czytywałam o papajach, ale odkryłam, co to właściwie jest, dopiero wtedy, gdy jedna z nich wylądowała przede mną na stole podczas śniadania. Początkowo sądziłam, że to zepsuty melon, ale uprzejma holenderska kelnerka wyjaśniła mi różnicę i poradziła, bym skosztowała tego owocu z cukrem i sokiem z cytryny. Spotkanie z papają uszczęśliwiło mnie nad wyraz. Do tej pory papaje zawsze kojarzyły mi się z hula-hula. Wydaje mi się, acz mogę się mylić, że hula-hula to rodzaj spódniczki z trawy, noszonej przez dziewczęta na Hawajach. Nie, chyba jednak się mylę, tamto nazywa się lava-lava.

W każdym razie po Anglii te wszystkie nazwy brzmią niezwykle optymistycznie. Nasze ponure, wyspiarskie życie z pewnością stałoby się nieco weselsze, gdybyśmy tak zaczęli jadać na śniadanie bekon-bekon i wychodzić z domu odziani w dżemper-dżemper.

Po śniadaniu Zuzanna wpadła w trans. Miałam pokój sąsiadujący z jej apartamentem z przepięknym widokiem na Zatokę Stołową. Podziwiałam ten widok, podczas gdy Zuzanna zawzięcie szukała jakiegoś specjalnego kremu do twarzy. Dopiero gdy go znalazła i zaczęła wklepywać sobie w policzki, była w stanie mnie wysłuchać.

- Widziałaś sir Eustachego dzisiaj rano? - zapytałam. - Właśnie wychodził z jadalni, podczas gdy my wchodziłyśmy. Dostał na śniadanie zepsutą rybę czy coś takiego i tłumaczył starszemu kelnerowi, co o tym sądzi. Upuścił też gruszkę na podłogę, żeby udowodnić, jaka jest twarda. Niestety nie była tak twarda, jak przypuszczał, i rozbryznęła się na wszystkie strony.

Zuzanna uśmiechnęła się.

- Sir Eustachy nie jest rannym ptaszkiem, podobnie zresztą jak ja. Ale czy zwróciłaś uwagę na

Pagetta? Zauważyłam go w przejściu. Ma podbite oko. Ciekawe, co takiego zmalował.

- Po prostu usiłował wypchnąć mnie za burtę - oświadczyłam nonszalancko.

To był punkt dla mnie. Zuzanna zastygła z twarzą nakremowaną do połowy i zażądała szczegółów. Opowiedziałam jej.

- To wszystko staje się coraz bardziej tajemnicze! - zawołała. - Myślałam, że będę się nudziła, pilnując sir Eustachego, podczas gdy tobie przypadnie w udziale cała zabawa z wielebnyim Chichesterem, ale teraz nie jestem tego taka pewna. Mam nadzieję, że Pagett nie będzie usiłował wypchnąć mnie z pociągu którejs nocy.

- Myślę, że ty ciągle stoisz poza wszelkimi podejrzeniami, Zuzanno. Gdyby jednak stało się to najgorsze, zadeszuję do Clarence'a.

- No właśnie, przypomniałaś mi. Podaj mi blankiet telegraficzny. Zaraz, co ja chciałam napisać? „Zostałam wplątana w niezwykle tajemniczą historię. Proszę, przyślij mi natychmiast tysiąc funtów. Zuzanna.”

Wyjęłam jej z ręki blankiet i zwróciłam uwagę, że powinna skreślić wszystkie przymiotniki i przyimki, a także, jeśli nie zależy jej specjalnie na uprzejmościach, słówko „proszę”.

Zuzanna jest bardzo lekkomyślna. Zamiast posłuchać moich rad, wynikających przecież z oszczędności, dodała jeszcze trzy słowa: „Bawię się znakomicie.”

Zuzanna była umówiona na lunch z przyjaciółmi, którzy przyjechali do hotelu o jedenastej i zabrali ją ze sobą. Zostałam zdana na własną pomysłowość. Wybrałam się na przechadzkę. Minęłam ogród hotelowy, przecięłam linię tramwajową i cienistą aleją dotarłam do głównej ulicy. Spacerowałam, podziwiając widoki, rozkoszując się słońcem i przyglądając się czarnoskórym sprzedawcom kwiatów i owoców. Odkryłam miejsce, gdzie serwowano wyśmienite lody. Wreszcie kupiłam koszyczek gruszek za sześć pensów i skierowałam się z powrotem w stronę hotelu.

Ku mojemu zdumieniu i zadowoleniu zarazem w hotelu czekał na mnie bilecik od kustosza muzeum, który dowiedział się z gazety o przybyciu do Kapsztadu córki profesora Beddingfelda. Znał przelotnie mojego ojca i był wielkim admiratorem jego dzieł. On i jego żona czuliby się zaszczytzeni, gdybym przyjęła ich zaproszenie na herbatę, na dzisiejsze popołudnie. Mieszkają w Muizenbergu, w willi. Na bileciku widniał dokładny opis, jak tam dotrzeć.

Było mi bardzo miło, że biedny papa jest ciągle pamiętany i doceniany. Zdawałam sobie sprawę z tego, że zanim opuszczę Kapsztad, czeka mnie długa wizyta w muzeum, gdzie będę oprowadzana przez samego kustosza, ale postanowiłam zaryzykować. Dla wielu ludzi taka wizyta w muzeum byłaby prawdziwą ucztą, jednak jeżeli ktoś przez długie lata od rana do wieczora przebywał wśród eksponatów, ma prawo odczuwać pewien przesył.

Włożyłam mój najlepszy kapelusz (jeden z odrzuconych przez Zuzannę), ubrałam się w najmniej pogniecioną, białą suknię i wyruszyłam zaraz po lunchu. Złapałam pociąg do Muizenbergu i

po pół godzinie byłam już na miejscu. Krótka podróż upłynęła mi bardzo miło. Pociąg okrążył Stołową Górę u podnóża. Wszędzie rosły cudowne kwiaty. Zawsze byłam słaba z geografii i nie zdawałam sobie sprawy z tego, że Kapsztad leży na przylądku. Stąd moje zdumienie, gdy wysiadłszy z pociągu znowu ujrzałam morze.

W Muizenbergu było wspaniałe kąpielisko. Kąpiący się mieli krótkie, zakrzywione deski, na których ślizgali się po grzbietach fal. Było jeszcze za wcześnie na herbatę, więc poszłam do pawilonu kąpielowego. I kiedy mnie zapytano, czy życzę sobie deskę do surfingu, odpowiedziałam, że owszem, proszę. Surfing wydaje się taki łatwy. Ale nie jest. Więcej już nie powiem na ten temat. Omal nie cisnęłam tej deski ze złości. Ale od razu pomyślałam sobie, że ja tu jeszcze wrócę przy pierwszej nadarzającej się okazji i zafunduję sobie kolejną jazdę. Przecież nie dam się tak łatwo pokonać. A w chwilę później, zupełnie przypadkowo, pięknie poszybowałam na mojej desce, bardzo szczęśliwa. Surfing jest właśnie taki: albo człowiek złorzeczy, albo przepełnia go idiotyczne zadowolenie z siebie.

Willa „Medgee” stała na zboczu góry, w pewnym oddaleniu od innych domów. Odnalazłam ją nie bez trudu. Nacisnęłam przycisk dzwonka i po chwili w drzwiach stanął uśmiechnięty boy murzyński. Zapytałam o panią Raffini.

Boy poprowadził mnie korytarzem i otworzył jakieś drzwi.

Wchodząc zawahałam się przez moment, ogarnęło mnie złe przeczucie. Przekroczyłam próg i drzwi zamknęły się za mną.

Za stołem siedział mężczyzna. Teraz wstał i podszedł do mnie z wyciągniętą ręką.

- Jakże się cieszę, że udało się nam namówić panią na tę wizytę, panno Beddingfeld.

Mężczyzna był wysoki i miał płomiennorudą brodę. Z pewnością był Holendrem. Absolutnie nie wyglądał na kustosa muzeum. W ułamku sekundy zrozumiałam, jaką idiotkę z siebie zrobiłam.

Wpadłam w ręce wroga.

## XIX

Natychmiast przypomniałam sobie trzeci odcinek „Pameli w niebezpieczeństwie”. Jakże często siadałam na miejscu za sześć pensów i zjadając się dwupensowym batonikiem czekoladowym marzyłam, aby podobna przygoda spotkała także i mnie. Teraz los odplacił mi z nawiązką i nie było to wcale tak zabawne, jak to sobie wyobrażałam. W kinie człowiek bawi się świetnie, cały czas mając błogą świadomość, że wkrótce nastąpi odcinek czwarty. Natomiast w życiu nie mogłam mieć absolutnie żadnej gwarancji, że serial „Anna Poszukiwaczka Przygód” nie zakończy się nieoczekiwanie na trzecim odcinku.

Moja sytuacja była krytyczna. Wszystko, co mówił Rayburn jeszcze dzisiaj rano, przypomniało mi się teraz z jakąś nieprzyjemną wyrazistością. Mów prawdę, poradził mi. Mogę to oczywiście zrobić, ale czy to mi pomoże? Czy ktoś uwierzy w moją historię? Czy ktoś uzna za prawdopodobne, że wypuściłam się na tak szaloną wyprawę wyłącznie dlatego, że w moje ręce wpadł skrawek papieru przesiąknięty naftaliną? W przebłysku zdrowego rozsądku przeklełam sarną siebie jako melodramatyczną idiotkę i nagle zatęskniłam za spokojnym, nudnym Little Hampsley.

Wszystko to przemknęło mi przez głowę dosłownie w ułamku sekundy. W pierwszym, instynktownym odruchu cofnęłam się o krok, sięgając klamki. Mój prześladowca uśmiechnął się szyderczo.

- Jest pani tutaj i tutaj pani pozostanie - powiedział. Staralam się, aby mój głos zabrzmiał stanowczo.

- Zostałam zaproszona przez kustosa muzeum w Kapsztadzie. Jeśli się pomyliłam...

- Pomyliła się pani. O tak, bardzo się pani pomyliła. Zarechotał grubiańsko.

- Jakim prawem zatrzymuje mnie pan tutaj? Zamelduję policji.

- Piesek ujada, co? - roześmiał się. Usiadłam na krześle.

- Odnoszę wrażenie, że jest pan niebezpiecznym szaleńcem - powiedziałam chłodno.

- Naprawdę?

- Nie wiem, czy jest pan świadom faktu, że moi przyjaciele doskonale wiedzą, dokąd poszłam, i jeśli do wieczora nie wrócę, zaczną mnie szukać.

- Pani przyjaciele wiedzą, gdzie pani jest? A którzy to?

Tak sprowokowana zaczęłam szybko kalkulować. Czy powinnam wspomnieć sir Eustachego? Był znaną osobistością i jego nazwisko mogło zadziałać. Ale jeśli byli w kontakcie z Pagettem, mogli wiedzieć, że to nieprawda. Nie, lepiej nie ryzykować sir Eustachego.

- Na przykład pani Blair - powiedziałam swobodnie. - Przyjaciółka, z którą podróżuję.

- Nie sędzę - odparł mój prześladowca, kręcąc rudą głową. - Nie widziała jej pani od jedenastej rano, a nasz liścik z zaproszeniem dostała pani dopiero w porze lunchu.

Jego słowa uświadomiły mi, że wszystkie moje poruszenia były dokładnie śledzone. Postanowiłam jednak nie poddawać się bez walki.

- Skoro taki pan mądry, to może słyszał pan o tak użytecznym urządzeniu jak telefon? Pani Blair dzwoniła do mnie, gdy odpoczywałam w swoim pokoju po lunchu. Powiedziałam jej, dokąd się wybieram na herbatę.

Z satysfakcją zauważyłam, że przez jego twarz przemknął cień niepewności. Rzeczywiście nie przewidział, że Zuzanna mogła telefonować. Ach, jakże żałowałam, że tego nie uczyniła!

- Dostyc tego - powiedział opryskliwie, wstając.

- Co pan ma zamiar ze mną zrobić? - zapytałam, ciągle udając opanowanie.

- Umieścić panią tam, gdzie nie będzie pani mogła wyrządzić żadnej szkody, gdyby pani przyjaciele jednak zaczęli pani szukać.

Na moment zamarłam, ale jego następne słowa uspokoiły mnie.

- Jutro odpowie nam pani na kilka pytań, a później zastanowimy się, co z panią dalej zrobić. Zapewniam panią, młoda damo, że znamy wiele sposobów, aby nakłonić uparte małe kłamczuchy do mówienia.

Nie brzmiało to optymistycznie, ale zawsze stanowiło jakieś odroczenie wyroku. Ten człowiek najwyraźniej wypełniał tylko czyjeś rozkazy. Czyżby Pagetta?

Zadzwoił i pojawiło się dwóch Kafrów. Zabrali mnie na górę. Mimo mego gwałtownego oporu związali mi ręce i nogi, i założyli knebel. Zostałam umieszczona w niewielkim pokoiku na poddaszu. Pokój był zakurzony i nie wyglądał na zamieszkania. Holender skłonił się szyderczo i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Byłam zupełnie bezradna. Wierciłam się i szarpałam, ale w żaden sposób nie udało mi się rozluźnić więzów. Z powodu knebla nie mogłam krzyczeć. Nawet gdyby przez przypadek ktoś pojawił się w tym domu, nie potrafiłabym dać mu znać o mojej obecności. Usłyszałam odgłos zamykanych na dole drzwi. Najwyraźniej Holender gdzieś wychodził.

Moja bezsilność doprowadzała mnie do szału. Jeszcze raz spróbowałam zerwać więzy, ale bezskutecznie. Wreszcie zaprzestałam tych wysiłków. Zasnęłam czy może popadłam w omdlenie. Obudziwszy się, czułam ból w całym ciele. Było ciemno, musiał już być późny wieczór. Księżyc stał wysoko na niebie, jego światło wpadało przez zakurzony świetlik. Byłam na wpół uduszona od knebla, a uczucie bólu i odrętwienia stawało się wręcz nie do zniesienia.

I właśnie wtedy dostrzegłam leżący w kącie kawałek szkła. Akurat padł na nie promień księżycowego światła i błyszczący odbłask przykuł moją uwagę. To mi nasunęło pewien pomysł.

Moje ręce i nogi były wprawdzie bezużyteczne, ale przecież mogłam się potoczyć. Powoli i niezdarnie wprawiłam się w ruch. Przyszło mi to nie bez trudu. Przede wszystkim było bardzo bolesne, gdyż mając skrępowane ręce nie mogłam osłonić twarzy. Poza tym niełatwo było poruszać się w określonym kierunku.

Przesuwałam się w każdą stronę, tylko nie tam, gdzie zamierzałam. W końcu jednak udało mi się wycelować prosto na upatrzony obiekt. Prawie dotykał moich skrępowanych rąk.

Nawet wtedy przedsięwzięcie nie stało się łatwiejsze. Oparcie szkła o ścianę w takiej pozycji,

bym mogła nim przeciąć więzy, zajęło mi dosłownie całe wieki. Trwało to tak długo, że omal nie dałam za wygraną. W końcu jednak udało się. Przecięłam linkę krępującą nadgarstki. Reszta była już kwestią czasu. Gdy tylko po energicznym masażu przegubów wróciło mi krążenie w rękach, wyjęłam z ust knebel. Po kilku głębokich wdechach natychmiast poczułam się lepiej.

W chwilę później rozwiązywałam już ostatni węzeł, ale trwało jeszcze trochę, zanim stanęłam na nogi. W końcu jednak wyprostowałam się, machając energicznie ramionami dla pobudzenia krążenia. Nade wszystko marzyłam o jakimś posiłku. Odczekałam jeszcze kwadrans, aby upewnić się, że naprawdę wróciły mi siły, a potem bezszelestnie podeszłam do drzwi. Tak jak przypuszczałam, nie były zamknięte na klucz. Otworzyłam je i wyrzłam ostrożnie.

Wszędzie panowała cisza. W świetle księżycowej poświaty widziałam zakurzone schody, nie przykryte żadnym chodnikiem. Zaczęłam powolutku schodzić. Nadal żadnego dźwięku. Gdy jednak stanęłam na niższym podeście, do moich uszu dobiegł szmer głosów. Zatrzymałam się i przez dłuższą chwilę stałam bez ruchu. Zegar na ścianie wskazywał, że jest już po północy.

Byłam w pełni świadoma, że ryzykuję schodząc niżej, lecz ciekawość okazała się silniejsza. Zdecydowałam się zbadać wszystko do końca, oczywiście zachowując ostrożność. Cichutko zesłam na dół i zatrzymałam się w kwadratowym hallu. Rozejrzałam się dokoła i nagle niemal przestałam oddychać. W drzwiach hallu siedział murzyński boy. Oddychał głęboko i spokojnie, pomyślałam, że pewnie śpi.

Wycofać się czy iść dalej? Głosy dochodziły z pokoju, do którego mnie uprzednio wprowadzono. Jeden należał do mojego holenderskiego przyjaciela, drugiego nie potrafiłam zidentyfikować, choć brzmiał znajomo.

W końcu zdecydowałam, że muszę podsłuchać, o czym rozmawiają. Ryzykowałam, oczywiście, że boy może się obudzić. Bezszelestnie przecięłam hali i uklęknęłam przy drzwiach gabinetu. Przyłożyłam ucho do dziurki od klucza. W pierwszej chwili wcale nie słyszałam lepiej. Głosy brzmiały co prawda wyraźniej, ale w dalszym ciągu nie potrafiłam rozróżnić poszczególnych słów.

Przyłożyłam dla odmiany oko do dziurki. Tak jak przypuszczałam, jednym z rozmówców był ów potężnie zbudowany Holender. Drugi znajdował się poza polem mojego widzenia.

W pewnej chwili wstał jednak, aby nalać sobie drinka. Zobaczyłam jego plecy, odziane w nobliwą czerń. Jeszcze nie zdążył się odwrócić, a już wiedziałam, kto to taki.

Wielebny Chichester!

Teraz zaczęłam rozróżniać poszczególne słowa.

- To jednak jest niebezpieczne. A jeśli jej przyjaciele przyjadą jej szukać?

To mówił Holender. Chichester odpowiedział mu. Nie silił się na wymowę duchownego, nic dziwnego, że w pierwszej chwili nie mogłam rozpoznać jego głosu.

- Blefowała. Nikt nie ma pojęcia, gdzie ona jest.

- Mówiła to z wielką pewnością siebie.

- O, nie wątpię. Sprawdziłem wszystko i nie mamy się czego obawiać. Poza tym takie są rozkazy Pułkownika. Nie masz chyba zamiaru ich nie usłuchać.

Holender wyrzucił z siebie jakiś wyraz w ojczystym języku. Domyśliłam się, że gwałtownie zaprzecza.

- Najprościej byłoby dać jej po prostu w łeb - warknął. - Łódź jest przygotowana. Ciało - do morza.

- Tak - powiedział Chichester w zadumie - tak powinniśmy zrobić. Ona wie za dużo. Ale Pułkownik ma swoje metody. Nikomu nie pozwala działać na własną rękę. - Odnosiłam wrażenie, że własne słowa przywiodły mu na pamięć coś nieprzyjemnego. - Chce wydobyć od dziewczyny pewne informacje.

Przed słowem „informacje” zrobił króciutką pauzę. Holender podchwycił to natychmiast.

- Informacje?

- Coś w tym rodzaju.

Aha, diamenty, pomyślałam.

- A teraz daj mi spis - powiedział Chichester.

Dalsza część ich rozmowy była dla mnie zupełnie niezrozumiała. Zdaje się, że chodziło o ogromne ilości różnych warzyw. Wymieniali jakieś ceny, daty i miejsca, których nazwy nic mi nie mówiły.

- Dobrze - powiedział wreszcie Chichester. Do moich uszu dobiegł odgłos odsuwanej krzesła. - Zabieram to ze sobą, aby pokazać Pułkownikowi.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro rano, o dziesiątej.

- Czy chcesz zobaczyć przedtem tę dziewczynę?

- Nie. Rozkazy Pułkownika są zupełnie jednoznaczne. Do jego przyjazdu nikomu nie wolno się do niej zbliżać. Czy wszystko z nią w porządku?

- Zaglądałem do niej przed kolacją. Spała. A co z jedzeniem?

- Krótki post jej nie zaszkodzi. Pułkownik będzie tu jutro przed południem. Głodna skwapliwiej odpowie na jego pytania. W każdym razie niech nikt się do niej nie zbliża. Czy jest

dobrze związana?

Holender wybuchnął śmiechem.

- A jak ci się wydaje?

Teraz śmiali się już obaj. Ja także uśmiechnęłam się pod nosem. Z odgłosów domyśliłam się, że lada chwila wyjdą z pokoju. Najwyższy czas, aby się wycofać. Zdażyłam w samą porę. Gdy byłam u szczytu schodów, usłyszałam odgłos otwieranych drzwi. W tym samym momencie poruszył się śpiący Kafr. Nie było mowy, abym mogła przedostać się przez drzwi hallu. Wycofałam się grzecznie na poddasze, zebrałam wszystkie przecięte linki i położyłam się na podłodze, na wypadek gdyby przyszło im do głowy do mnie zajrzeć.

Nikt się jednak nie pojawił. Mniej więcej godzinę później wymknęłam się na schody. Kafr przy drzwiach czuwał, nucąc coś pod nosem. Bardzo już chciałam wydostać się z tego domu, jednak nie miałam pojęcia, jak to zrobić.

W końcu musiałam wrócić na poddasze. Kafr najwyraźniej miał stróżować całą noc. Siedziałam na strychu aż do świtu, cierpliwie nasłuchując odgłosów porannych przygotowań. Obaj mężczyźni jedli śniadanie w hallu. Od czasu do czasu dobiegały mnie ich głosy. Zaczęłam się denerwować. Jak ja, u licha, się stąd wydostanę?

Nakazałam sobie cierpliwość. Jeden nierozważny krok mógł zepsuć wszystko. Po śniadaniu z różnych odgłosów domyśliłam się, że Chichester zbiera się do drogi. Ku mojej wielkiej uldze Holender wyszedł razem z nim.

Czekałam z zapartym tchem. Resztki śniadania zostały sprzątnięte, inne prace domowe wykonane. Wreszcie zapanowała cisza. Wyśliznęłam się z mojego zamknięcia. Hall był pusty. Przemknęłam jak błyskawica, otworzyłam drzwi i wreszcie znalazłam się na zewnątrz, na słońcu. Jak szalona pobiegłam podjazdem.

Na ulicy zaczęłam iść już normalnym krokiem. Zresztą ludzie i tak gapili się na mnie. Po tarzaniu się na podłodze strychu moją twarz i ubranie znaczyły wyraźnie smugi kurzu. Wreszcie dotarłam do warsztatu samochodowego.

- Miałam wypadek - powiedziałam. - Chcę jak najszybciej dostać się do Kapsztadu i potrzebny jest mi samochód, bym mogła zdążyć na statek do Durbanu.

Nie czekałam zbyt długo. W dziesięć minut później pędziłam w kierunku Kapsztadu. Muszę sprawdzić, czy Chichester jest na pokładzie. Początkowo nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy mam z nim płynąć, czy nie, w końcu jednak zdecydowałam, że tak. Chichester nie ma przecież pojęcia, że widziałam go w Muizeribergu. Oczywiście z pewnością będzie na mnie zastawiał dalsze pułapki, teraz jednak wiem już, że muszę się go strzec. Ale z oczu go spuścić nie mogę. To on tropił diamenty na rozkaz owego tajemniczego Pułkownika.

Niestety, z moich planów nic nie wyszło. Gdy wreszcie znalazłam się w porcie, „Kilmorden



Castle” wychodził właśnie w morze. Nie miałam pojęcia, czy Chichester jest na jego pokładzie.

## XX

Pojechałam do hotelu. W foyer nie zastałam nikogo znajomego. Pobiegłam na górę i zastukałam do drzwi Zuzanny. Odpowiedziała „proszę wejść”. Gdy tylko mnie zobaczyła, rzuciła mi się na szyję.

- Anna! Kochanie, gdzie ty się podziewałaś? Myślałam, że zwariuję z niepokoju. Co się z tobą działo?

- Miałam przygodę - odparłam. - Odcinek trzeci „Pameli w niebezpieczeństwie”.

Opowiedziałam jej całą historię. Gdy skończyłam, westchnęła głęboko.

- Dlaczego takie rzeczy przytrafiają się wyłącznie tobie? - powiedziała z żalem w głosie. - Dlaczego mnie nikt nie zwiąże i nie zaknebluje?

- Wcale nie byłabyś zachwycona, gdyby ci się to przytrafiło - zapewniłam. - Mówiąc szczerze, ja sama też nie jestem już tak spragniona przygód jak poprzednio. Uważam, że ta dawka wystarczy mi na dłuższy czas.

Chyba jej nie przekonałam. Godzinka w więzach z pewnością by sprawiła, że zmieniłaby zdanie. Zuzanna uwielbia ekscytujące przygody, ale nie znosi niewygód.

- I co teraz zrobimy? - zapytała.

- Nie wiem - odparłam z namysłem. - Ty jedziesz oczywiście do Rodezji i nie spuszczasz z oka Pagetta.

- A ty?

Tu właśnie tkwił problem. Czy Chichester odpłynął do Durbanu, czy też nie? Pora, o jakiej opuścił Muizenberg, wskazywała na to, że tak. W takim razie mogłabym pojechać do Durbanu pociągiem. Zastanowiłam się, czy koleją dotarłabym tam szybciej niż on. Z drugiej strony, jeśli zadepeszowano do niego z informacją, że udało mi się zbiec i że wyjechałam do Durbanu, mógłby z łatwością wysiąść w Port Elizabeth albo w East London i zniknąć mi z oczu. Tak, to był naprawdę problem.

- W każdym razie możemy się dowiedzieć o pociągi do Durbanu - zdecydowałam.

- I napić się herbaty - dodała Zuzanna. - Nie jest jeszcze późno. Chodź, zamówimy herbatę w foyer.

W recepcji powiedziano mi, że pociąg do Durbanu odchodzi o dwudziestej piętnaście. Miałam więc jeszcze sporo czasu na podjęcie ostatecznej decyzji. Przyłączyłam się do Zuzanny pijącej spóźnioną poranną herbatę.

- A czy jesteś pewna, że rozpoznasz Chicheстера w każdych okolicznościach? To znaczy w przebraniu? - zapytała.

Ze skruchą pokręciłam głową.

- Nie rozpoznałam go w przebraniu stewardessy. Nigdy bym się tego nie domyśliła, gdyby nie twój rysunek.

- Jestem pewna, że ten człowiek jest zawodowym aktorem - powiedziała Zuzanna, z namysłem.  
- Jego charakterystyka jest bez zarzutu. Przebierze się za marynarza albo za kogoś innego i nigdy w życiu go nie rozpoznasz.

- Bardzo mnie pocieszyłaś.

Pułkownik Race wszedł do foyer przez weneckie okno i przyłączył się do nas.

- A gdzie się podziewa sir Eustachy? - zagadnęła Zuzanna. - Nie widziałam go dzisiaj.

Na twarzy pułkownika Race odmalował się dziwny wyraz.

- Musi się uporać z pewnymi kłopotami.

- Niech nam pan opowie.

- Nie mogę tego rozpowiadać na prawo i lewo.

- Och, proszę nam opowiedzieć cokolwiek, nawet gdyby pan miał wymyślić jakąś historyjkę na nasz użytek.

- Hm, a co powiedziałybyście panie na to, gdyby się okazało, że słynny mężczyzna w brązowym garniturze odbył całą podróż w naszym towarzystwie?

Poczułam, że krew odpływa mi z twarzy. Potem zaczerwieniłam się. Na szczęście pułkownik nie patrzył w moją stronę.

- To stwierdzony fakt. Porty były strzeżone, ale udało mu się wprowadzić w błąd sir Eustache'ego, tak że ten zatrudnił go jako swojego sekretarza.

- Pan Pagett?

- Nie, nie Pagett, ten drugi. Przybrał nazwisko Rayburn.

- Czy go aresztowano? - zapytała Zuzanna, współczująco ściskając mi rękę pod stołem.

- Nie. Zniknął zaraz po zawinięciu do portu. Jakby się zapadł pod ziemię.

- A jak to przyjął sir Eustachy?

- Jako osobistą obrazę. Poczuł się skrzywdzony przez los.

Później tego dnia miałyśmy okazję wysłuchania owej historii z ust samego sir Eustachego. Boy hotelowy przerwał nam popołudniową drzemkę, przynosząc bilecik. Sir Eustachy w bardzo wytwornych słowach zapraszał nas na herbatę w swoim saloniku.

Biedny człowiek był naprawdę w pożałowania godnym stanie. Zachęcony współczującymi pomrukami Zuzanny (ona to robi znakomicie), zwierzył się nam ze swoich kłopotów.

- Najpierw zupełnie obca kobieta była na tyle bezczelna, aby dać się zamordować w moim własnym domu. Z pewnością zrobiła to tylko po to, aby mnie zdenerwować. W moim domu. Ze wszystkich domów w Wielkiej Brytanii wybrała sobie akurat Mill House. Czym jej się tak naraziłem, że zapragnęła zostać zamordowana właśnie tam?

Zuzanna ponownie mruknęła współczująco. Sir Eustachy mówił tonem coraz bardziej poirytowanym.

- Mało tego. Morderca miał czelność zatrudnić się jako mój sekretarz. Mój sekretarz! Mam dosyć sekretarzy. Nie chcę już znać żadnych sekretarzy. Albo okazują się mordercami, albo wdają się w pijackie burdy. Widziałyście panie podbite oko Pagetta? Musiałyście widzieć. Jak ja się mam teraz pokazać w towarzystwie takiego sekretarza? Nie dość, że ma cerę w okropnym, żółtym odcieniu, to jeszcze ten siniak. Kolorystycznie wygląda to fatalnie. Skończyłem z sekretarzami. Zatrudnię sekretarkę. Miłą dziewczynę o marzycielskich oczach, która będzie trzymała mnie za rękę, ilekroć ogarnie mnie zły nastrój. Panno Anno, czy przyjmie pani tę posadę?

- A jak często musiałabym trzymać pana za rękę? - zapytałam śmiejąc się.

- Najlepiej przez cały dzień - odparł z galanterią.

- Nie mogłabym wtedy pisać na maszynie - zwróciłam mu uwagę.

- To już najmniejszy problem. Ta cała praca to wymysł Pagetta. Zamęcza mnie na śmierć. Nie mogę się już doczekać chwili, kiedy opuszczę Kapsztad, zostawiając go tutaj.

- To on zostaje?

- Tak. Poświęcił się śledzeniu Rayburna. Pagett uwielbia takie historie. Kocha intrygi. Ale ja mówię serio. Czy przyjmie pani moją propozycję? W osobie pani Blair będzie pani miała odpowiednią przyzwoitkę. Będzie też pani dysponowała mnóstwem wolnego czasu na poszukiwania kości.

- Bardzo panu dziękuję, sir Eustachy - powiedziałam ostrożnie - ale dziś wieczorem wyjeżdżam do Durbanu.

- Niech pani nie będzie uparta. W Rodezji jest mnóstwo lwów. Pani przecież uwielbia lwy, jak każda dziewczyna.

- Czy będą ćwiczyły niskie skoki? - Roześmiałam się. - Naprawdę muszę jechać do Durbanu.

Sir Eustachy popatrzył na mnie, westchnął głęboko, otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju i zawołał Pagetta.

- Jeśli skończyłeś już poobiednią drzemkę, mój drogi, to może popracowałeś trochę dla odmiany?

Pagett stanął w drzwiach saloniku, uklonił się, spojrzał w moją stronę, a potem odezwał się melancholijnym tonem:

- Przez całe popołudnie przepisywałem to memorandum, sir.

- Więc przestań już przepisywać. Pójdź do Biura Komisarza do Spraw Handlu albo do Ministerstwa Rolnictwa, czy Departamentu Górnictwa albo jeszcze gdzieś i załatw mi sekretarkę na czas podróży do Rodezji. Ma mieć marzycielskie oczy i nie sprzeciwiać się, gdy zechcę ją trzymać za rękę.

- Dobrze, sir, zażadam kompetentnej stenotypistki.

- Pagett to złośliwiec - powiedział sir Eustachy po odejściu sekretarza. - Jestem gotów się założyć, że wyszuka mi jakiegoś babsztyla o tępej twarzy. Zrobi wszystko, aby mnie zdenerwować. Zapomniałem mu powiedzieć, że dziewczyna ma mieć ładne nogi.

Chwyciłam Zuzannę za rękę i niemal siłą zaciągnęłam do jej pokoju.

- Zuzanno, musimy zmienić nasze plany, i to szybko. Pagett zostaje tutaj, słyszałaś?

- Tak. Zdaje mi się, że w tej sytuacji ja także nie będę mogła pojechać do Rodezji. Bardzo mnie to irytuje, bo ja chcę tam pojechać. Jakie to wszystko męczące.

- Pociesz się - powiedziałam - pojedziesz do Rodezji. Nie wiem, jak mogłabyś wycofać się z tej podróży bez wzbudzania podejrzeń. A poza tym sir Eustachy mógłby nagle wezwać Pagetta, a wtedy byłoby ci niezmiernie trudno do nich dołączyć.

- Rzeczywiście, to mogłoby wyglądać nieco dwuznacznie - zgodziła się Zuzanna, ukazując dołeczki. - Musiałabym udawać, że wzbudził moje namiętne uczucia.

- Natomiast jeśli będziesz już na miejscu, gdy Pagett dołączy do pracodawcy, twoja obecność będzie wyglądała zupełnie naturalnie. Poza tym nie możemy spuszczać z oczu i tamtej dwójki.

- Anno, chyba nie podejrzewasz pułkownika Race ani sir Eustachego?

- Podejrzewam wszystkich - odparłam ponuro. - Gdybyś czytywała historie detektywistyczne,

wiedziałybyś, że czarnym charakterem okazuje się zazwyczaj najmniej podejrzana osoba. Najczęściej ktoś o pokaźnej tuszy i jowialnym wyglądzie, tak jak sir Eustachy.

- Pułkownik Race nie jest ani gruby, ani jowialny.

- Bywają też szczupli i melancholijni - rzekłam. - Nie. twierdzą, że ich na serio podejrzewam, ale w końcu ta kobieta została uduszona w domu należącym do sir Eustachego.

- Dobrze, nie powtarzajmy wszystkiego od początku. Nie spuszczę go z oka i gdy tylko zobaczę, że przybiera na wadze i robi się coraz bardziej dobroduszny, natychmiast wysyłam telegram: „Sir Eustachy tyje w sposób wysoce podejrzany.

Przyjeżdżaj natychmiast.”

- Och, Zuzanno! - krzyknęłam. - Dla ciebie to tylko zabawa.

- Wiem - odparła, nie zbита z tropu. - Jest dokładnie tak, jak mówisz. Ale to twoja wina, Anno. Zaraziłaś mnie tym swoim „chcę przeżyć przygodę”. Cała ta historia jakoś nie wydaje mi się realna. Mój Boże, gdyby tak Clarence wiedział, że jeżdżę po Afryce, uganiając się za niebezpiecznymi przestępcami, dostałby szału.

- Możesz mu wysłać telegram - zauważyłam sarkastycznie.

Jeżeli idzie o telegramy, Zuzanna traci poczucie humoru.

Przyjęła moją uwagę zupełnie poważnie.

- Byłby to bardzo długi telegram. - Oczy jej pojaśniały na samą myśl o tym. - Chociaż lepiej nie. Mężczyźni lubią mieszać się do najbardziej niewinnych rozrywek.

- No więc dobrze - podsumowałam - ty będziesz miała na oku sir Eustachego i pułkownika Race...

- Wiem już, dlaczego mam deptać po piętach sir Eustachemu - przerwała mi Zuzanna. - Z powodu jego figury i sposobu bycia. Ale myślę, że posuwamy się zbyt daleko, podejrzewając pułkownika Race. Przecież on ma coś wspólnego z Secret Sendce. Wiesz, Anno, naprawdę uważam, że zrobiłybyśmy najlepiej, opowiadając mu całą historię.

Gwałtownie zaprotestowałam przeciw tej niesportowej propozycji. Widziałam w niej zgubny wpływ małżeństwa. Jakże często zdarza się słyszeć zupełnie inteligentne kobiety, mówiące rozstrzygającym tonem „Edgar powiedział”, podczas gdy powszechnie wiadomo, że Edgar jest skończonym durniem. Zuzanna jako mężatka skłaniała się do szukania oparcia w tym czy innym mężczyźnie.

Jednak przyrzekła solennie nie zdradzać niczego pułkownikowi Race. Przystąpiłyśmy do dalszego precyzowania naszych planów.

- Jasne jest, że w tej sytuacji ja zostaję tutaj i zajmuję się Pagettem. Musimy udawać, że wieczorem wyjeżdżam do Durbanu. Spakować mój bagaż i tak dalej. W rzeczywistości przeniosę się do jakiegoś mniejszego hoteliku. Mogę też zmienić trochę swój wygląd - włożyć jasną perukę i woalkę. Jeśli Pagett uwierzy, że się mnie pozbył, będę mogła z większą swobodą śledzić jego poczynania.

Zuzanna całym sercem zaakceptowała mój plan. Zaczęłyśmy czynić ostentacyjne przygotowania do wyjazdu. Jeszcze raz zapytałam w recepcji o pociąg, spakowałam cały bagaż.

Obiad jadłyśmy w restauracji. Pułkownik Race nie pojawił się na obiedzie, natomiast sir Eustachy i Pagett zajmowali ten co zwykle stolik pod oknem. W połowie posiłku Pagett oddalił się gdzieś, co mnie trochę zdenerwowało, gdyż miałam zamiar się z nim pożegnać. Trudno, musi mi wystarczyć sir Eustachy. Podeszłam do niego.

- Chciałam panu powiedzieć do widzenia. Dziś wieczorem wyjeżdżam do Durbanu.

Westchnął żałośnie.

- Słyszałem. Z pewnością nie chciałaby pani, abym pani towarzyszył?

- Byłabym zachwycona.

- Dobra dziewczynka. A może jednak zmieni pani zdanie i pojedzie do Rodezji podziwiać lwy?

- Nie mogę.

- On musi być bardzo przystojny - powiedział sir Eustachy smętnie. - Jakiś bezczelny smarkacz w Durbanie bezwstydnie zaćmił mój dojrzały wdzięk. Nawiasem mówiąc, Pagett będzie jechał zaraz do miasta, więc może podwieźć panią na stację.

- Och, dziękuję bardzo - powiedziałam pośpiesznie. - Pani Blair i ja zamówiłyśmy już taksówkę.

Pagett odwożący mnie na stację. Jeszcze by tego brakowało! Sir Eustachy przyglądał mi się z uwagą.

- Pani, zdaje się, nie lubi Pagetta. Wcale się nie dziwię. Ze wszystkich napuszonych osłów... Roztacza wokół siebie aurę męczeństwa i robi dosłownie wszystko, aby mi dokuczyć.

- Co zrobił tym razem? - zapytałam z ciekawością.

- Załatwił mi sekretarkę. Pewnie nigdy nie widziała pani podobnej baby. Ma co najmniej czterdziestkę, nosi pince-nez i praktyczne obuwie. Ze wszech miar kompetentna, co mnie po prostu dobija. Gębę ma toporną.

- Nie będzie trzymała pana za rękę?

- Boże uchwaj! - wykrzyknął sir Eustachy. - To byłby szczyt wszystkiego. Żegnajcie, marzycielskie oczy. Jeśli zdarzy mi się upolować lwa, nie ofiaruję pani lwiej skóry, po tym jak mnie pani opuściła.

Gorąco uściskała moją dłoń i pożegnaliśmy się. Zuzanna czekała na mnie w hallu. Miała mnie odprowadzić.

- Jedźmy od razu - powiedziałam gorączkowo i kazałam portierowi sprowadzić taksówkę.

Głos za mną sprawił, że podskoczyłam.

- Przepraszam, panno Beddingfeld, ale właśnie jadę do miasta. Z przyjemnością podwiozę panią na stację.

- Och, dziękuję, ale nie chciałabym sprawić panu kłopotu - zapewniłam pośpiesznie. - Ja...

- Naprawdę żaden kłopot. Boy, proszę włożyć te rzeczy do bagażnika.

Byłam bezradna. Chciałam jeszcze protestować, ale Zuzanna ostrzegawczo trąciła mnie łokciem.

- Dziękuję panu - powiedziałam chłodno. Wsiadliśmy do samochodu. Jadąc łamałam sobie głowę, co by tu powiedzieć. W końcu Pagett przerwał milczenie.

- Znalazłem bardzo odpowiednią sekretarkę dla sir Eustachego - zaczął. - Pannę Pettigrew.

- Nie był nią specjalnie oczarowany - odparłam.

Pagett popatrzył na mnie chłodno.

- Jest kompetentną stenotypistką - powiedział urażonym tonem.

Zajechaliśmy pod budynek stacji. Tu z pewnością nas zostawi. Odwróciłam się do niego, wyciągając rękę na pożegnanie. Niestety.

- Pójdę z paniami. Jest ósma. Pociąg odjeżdża za kwadrans.

Przywołał bagażowego. Stałam całkowicie bezradna, nie ośmielając się nawet spojrzeć na Zuzannę. Ten człowiek coś podejrzewał. Był zdecydowany upewnić się, że odjadę tym pociągiem. Co mogłam zrobić? Nic. Oczami duszy widziałam już, jak za kwadrans pociąg uwięzie mnie w dal, a Pagett pomacha mi ręką na pożegnanie. Pobił mnie moją własną bronią. Jednocześnie jego zachowanie wobec mnie zmieniło się, było pełne niepewnej łagodności, która nie pasowała do niego, a mnie przyprawiała o mdłości. Co za hipokryta. Najpierw usiłował mnie zamordować, a teraz prawi mi komplementy. Czyżby przypuszczał, że nie rozpoznałam go tamtej nocy na statku? Nie, po prostu bezczelnie kpi sobie ze mnie, zmuszając mnie do zaakceptowania swojej gierki.

Posłusznie wlokłam się za nim, niczym jagnię wiedzione na rzeź. Mój bagaż został umieszczony

w wagonie sypialnym. Miałam dla siebie dwułożkowy przedział. Było dwanaście po ósmej. Za trzy minuty pociąg odjedzie.

Ale Pagett nie docenił Zuzanny.

- Obawiam się, że może ci być bardzo gorąco w podróży - odezwała się nagle. - Zwłaszcza jutro, gdy będziecie przejeżdżali przez Karru. Mam nadzieję, że zabrałaś wodę kolońską albo lawendową.

Zrozumiałam wskazówkę.

- O Boże! - zawołałam. - Zostawiłam wodę kolońską na toaletce w hotelu.

Zuzanna była przyzwyczajona do komenderowania. Władczym ruchem odwróciła się do Pagetta.

- Szybko, jeszcze pan zdąży! Naprzeciw dworca widziałam drogerię. Anna musi mieć wodę kolońską.

Zawahał się, lecz zdecydowany ton Zuzanny przeważył. Ona jest urodzoną autokratką. Pobiegł. Zuzanna patrzyła za nim, dopóki nie zniknął jej z oczu.

- Wsiadaj szybko. Najlepiej na tamtą stronę, na wypadek gdyby śledził nas z końca peronu. Mniejsza o bagaż, zatelegrafujemy po niego jutro. Żeby tylko pociąg odszedł punktualnie.

Otworzyłam drzwi na przeciwną stronę i wysiadłam. Nikt mnie nie zauważył. Zuzanna stała na swoim miejscu, udając, że rozmawia ze mną przez okno. Rozległ się sygnał i pociąg ruszył powoli. Usłyszałam odgłos szybkich kroków. Schowałam się za kiosk z gazetami i patrzyłam, co będzie dalej.

Zuzanna przestała machać chusteczką w stronę oddalającego się pociągu.

- Za późno, panie Pagett - powiedziała łagodnym tonem. - Odjechała. Ma pan wodę kolońską? Co za szkoda, że nie pomyślałam o tym wcześniej.

Wychodząc z dworca, przeszli niedaleko mnie. Guy Pagett opływał potem. Widocznie biegł przez całą drogę do drogerii i z powrotem na peron.

- Czy mam zamówić dla pani taksówkę, pani Blair?

Zuzanna nie wypadła ze swojej roli.

- Tak, proszę. Pan nie wraca do hotelu, prawda? Czy dużo ma pan jeszcze do załatwienia dla sir Eustachego? Mój Boże, wolałabym, żeby Anna jechała z nami jutro. Nie podoba mi się to, że młoda dziewczyna sama podróżuje do Durbanu. Ale uparła się. Zastanawiam się, co ją tam tak ciągnie.

Więcej nie dosłyszałam. Brawo, Zuzanno, uratowałaś mnie.



Odczekałam jeszcze minutę czy dwie i także opuściłam dworzec. Po drodze omal nie wpadłam na jakiegoś mężczyznę. Miał bardzo niemiły wygląd. Ogromny nos wydawał się za duży w stosunku do jego twarzy.

## XXI

Dalej poszło już gładko. Znalazłam mały hotelik w bocznej uliczce, dostałam pokój, zapłaciłam depozyt, jako że nie miałam ze sobą bagażu, i poszłam spać.

Następnego ranka wstałam bardzo wczesnie i wyszłam do miasta, żeby kupić sobie odpowiednią garderobę. Miałam zamiar nie robić nic aż do godziny jedenastej, czyli do czasu, kiedy całe towarzystwo odjedzie do Rodezji. Było raczej mało prawdopodobne, aby Pagett rozpoczął swoją zbrodniczą działalność, mając ich na karku. Pojechałam za miasto i rozkoszowałam się spacerem po okolicy. Było stosunkowo chłodno. Cieszyłam się mogąc rozprostować nogi po długiej podróży i po przymusowym zamknięciu w Muizenbergu.

Jak wiele zależy od drobiazgów! Rozwiązało mi się sznurowadło, więc przystanęłam, aby je zawiązać. W tym miejscu droga zakręcała, i gdy pochylałam się nad butem, zza zakrętu wynurzył się jakiś mężczyzna i omal nie wpadł na mnie. Uchylił kapelusza, mamrocząc słowa przeprosin, i poszedł dalej. Przez moment jego twarz wydała mi się znajoma, jednak nie zastanawiałam się nad tym zbyt długo. Popatrzyłam na zegarek i uznałam, że już najwyższy czas wrócić do Kapsztadu.

Tramwaj ruszał właśnie z przystanku, więc musiałam podbiec. Słyszałam, że za mną też ktoś biegnie. Wskoczyłam na pomost i to samo uczynił biegnący za mną. Rozpoznałam go natychmiast. Był to ten sam mężczyzna, który minął mnie na drodze, gdy zawiązywałam sznurowadło. Przypomniłam sobie, skąd znam tę twarz. Tak, to przecież ten mały człowieczek z dużym nosem, na którego wpadłam wczoraj wieczorem, opuszczając dworzec.

Zbieg okoliczności był zastanawiający. Czyżby ten człowiek mnie śledził? Postanowiłam upewnić się o tym, i to jak najprędzej. Zadzwoniłam i wysiadłam na najbliższym przystanku. Mężczyzna pojechał dalej. Ukryłam się za drzwiami pobliskiego sklepu i czekałam. Mężczyzna wysiadł na następnym przystanku i siedł teraz w moją stronę.

A więc wszystko jasne. Byłam pod obserwacją. Zbyt szybko zostałam zdemaskowana. Guy Pagett okazał się niebezpiecznym przeciwnikiem. Wsiadłam do następnego tramwaju, a mój cień, tak jak przypuszczałam, uczynił to samo. Stanowczo musiałam się zastanowić.

Było zupełnie oczywiste, że wpakowałam się w coś znacznie poważniejszego, niż początkowo sądziłam. Morderstwo w Marlow nie było odrębnym przestępstwem, dokonany przez samodzielnie działającego sprawcę. Miałam do czynienia z całą szajką. Dzięki rewelacjom opowiedzianym Zuzannie przez pułkownika Race i rozmowie podsłuchanej w Muizenbergu zaczęłam rozumieć, na czym polegały jej działania. Zorganizowana przestępczość kierowana przez kogoś znanego jako

Pułkownik! Przypomniałam sobie rozmowy, jakie słyszałam jeszcze na pokładzie statku, na temat strajku w Randzie i jego przyczyn. Mówiono, że do strajku podżega jakaś tajna organizacja. To pewnie też było dziełem Pułkownika. Jego emisariusze postępowali według wskazówek szefa. Sam Pułkownik osobiście nie brał w niczym udziału, ograniczając się - jak zwykle - do kierowania, co przecież wcale nie musiało oznaczać, że nie znajdował się na miejscu. Mógł dowodzić wszystkim z zupełnie nie budzącej podejrzeń pozycji.

Tak, stąd obecność pułkownika Race na pokładzie „Kilmorden Castle”. Był na tropie tego arcykryminalisty. Wszystko pasuje. Pułkownik Race zajmuje odpowiedzialne stanowisko w Secret Service i jego zadaniem jest schwytanie Pułkownika i zakucie go w kajdany.

Pokiwałam głową. Wszystko stawało się dla mnie jasne. Ale jaki był mój udział w tej aferze? W co ja się właściwie wplątałam? Czy przestępcom chodziło wyłącznie o diamenty? Z pewnością nie. Nawet diamenty wielkiej wartości nie mogły być przyczyną wszystkich desperackich prób usunięcia mnie z drogi. Z pewnością jest jeszcze coś. Z jakichś powodów - sama nie wiedziałam jakich - stanowiłam dla nich zagrożenie. Albo coś wiedziałam, albo oni sądzili, że wiem. Dlatego chcieli mnie usunąć za wszelką cenę. Ta moja wiedza musiała mieć jakiś związek z diamentami. Byłam przekonana, że jest człowiek, który mógłby mi to wytłumaczyć - gdyby zechciał. Mężczyzna w brązowym garniturze - Harry Rayburn, który znał drugą część całej historii. On jednak zniknął, jakby się rozpułnął w powietrzu. Był zwierzyną uciekającą przed pogonią. Prawdopodobnie nigdy go już nie zobaczę...

Przywołałam się do porządku. Nie miało sensu pogrążyć się w sentymentalnych rozmyślaniach o Harrym Rayburnie. Od samego początku manifestował swoją antypatię do mnie. Albo przynajmniej... No tak, znowu marzenia. Co robić teraz?

Ja, dumna ze swej roli tropicielki, przeobraziłam się nagle w tropioną zwierzynę. Poczułam lęk. Po raz pierwszy zaczęłam tracić głowę. Byłam przecież tylko drobnym pyłkiem, zagrażającym bezkolizyjnemu funkcjonowaniu ogromnej maszyny, i pomyślałam sobie, że taka maszyna z łatwością poradzi sobie z owym maleńkim ziarenkiem. Raz uratował mnie Harry Rayburn, raz uratowałam się sama, teraz jednak czułam, że nie mam żadnych szans. Ze wszystkich stron otaczali mnie wrogowie. Jeśli będę dalej próbowała działać na własną rękę - przegram.

Skupiłam się z wysiłkiem. Co właściwie mogą mi zrobić? Jestem w cywilizowanym mieście, na każdym rogu ulicy stoi policjant. Będę ostrożniejsza. Nie schwytają mnie już w pułapkę, tak jak wtedy w Muizenbergu.

Gdy doszłam do tego punktu w swoich rozważaniach, tramwaj dojechał do Adderley Street. Wsiadłam. Niezdecydowana, co robić dalej, szłam powoli lewą stroną ulicy. Nie zadałam sobie nawet trudu, żeby sprawdzić, czy mój cień podąża za mną. Z pewnością tak. Weszłam do Cartwrighta i zamówiłam dwie mrożone kawy, żeby uspokoić nerwy. Mężczyzna w podobnej sytuacji zamówiłby, jak sądzę, whisky z wodą sodową, natomiast dziewczęta preferują kawę. Przypięłam się do słomki. Zimny napój przyjemnie chłodził mi gardło. Odsunęłam na bok pustą szklanekę.

Siedziałam na wysokim stołku przy barze. Kątem oka zauważyłam, że mój prześladowca skromnie zajął miejsce przy niewielkim stoliku w pobliżu drzwi. Dokończyłam drugą kawę i

zamówiłam syrop klonowy. Przecież mogę pić napoje chłodzące praktycznie bez ograniczeń.

Nagle mężczyzna przy drzwiach wstał i wyszedł. To mnie zaniepokoiło. Jeśli miał zamiar czekać na zewnątrz, mógł tu w ogóle nie wchodzić. Ześliznęłam się ze stołka i wyrztałam ostrożnie. Szybko schowałam się w cień. Mój prześladowca rozmawiał z Guyem Pagettem.

Jeśli kiedykolwiek miałam jakieś wątpliwości, teraz zostały one rozwiane. Pagett spoglądał na zegarek. Zamienili ze sobą kilka słów, a potem sekretarz ruszył w stronę dworca. Najwyraźniej wydał jakieś polecenie. Ale jakie?

Nagle serce skoczyło mi do gardła. Śledzący mnie mężczyzna przeciął ulicę i podszedł do policjanta. Coś mu tłumaczył przez dłuższą chwilę, wskazując w stronę Cartwrighta. Wiedziałam, o co chodzi. Lada moment zostanę aresztowana, na przykład pod zarzutem popełnienia kradzieży kieszonkowej. Dla gangu sfingowanie czegoś takiego to przecież drobnostka. Na nic zdadzą się moje zapewnienia o niewinności. Gang na pewno przewidział każdą możliwość. Harry Rayburn został oskarżony o kradzież diamentów De Beerów i nie był w stanie obalić tego oskarżenia, choć ja byłam przekonana, że jest niewinny. Jaką szansę miałam wobec pułapki zastawionej przez Pułkownika?

Odruchowo popatrzyłam na zegarek i od razu uświadomiłam sobie kolejną sprawę. Wiedziałam już, dlaczego Guy Pagett sprawdzał godzinę. Dochodziła jedenasta, a o jedenastej odjeżdżał pociąg do Rodezji, uwożąc moich wpływowych przyjaciół, którzy mogliby przyjść mi z pomocą. To była przyczyna mojej dotychczasowej nietykalności. Od wczorajszego wieczoru do dzisiaj, do godziny jedenastej, byłam bezpieczna, teraz jednak sieć zaczyna się zaciskać.

Otworzyłam torebkę, żeby zapłacić za napoje, i zmartwiałam. W środku był męski portfel wypchany banknotami. Prawdopodobnie podrzucono mi go, gdy wysiadałam z tramwaju.

Straciłam głowę. Wybiegłam z kawiarni. Mały człowieczek z dużym nosem i policjant właśnie przechodzili przez jezdnię. Dostrzegli mnie i mały z podnieceniem wskazał mnie policjantowi. Wzięłam nogi za pas i zaczęłam uciekać. Policjant sprawiał wrażenie ślamazarnego. Wiedziałam, że muszę wiać. Nie miałam żadnego planu. Biegłam jak oszalała w dół Adderley Street, budząc zdumienie przechodniów. Czułam, że w każdej chwili ktoś może mnie zatrzymać. Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Dworzec kolejowy? - wysapałam.

- Prosto i na prawo.

Przyśpieszyłam. Mogę przecież śpieszyć się na pociąg. Wpadłam na stację, ale zaraz za sobą usłyszałam szybkie kroki. Mały człowieczek z dużym nosem był świetnym sprinterem. Doszłam do wniosku, że dopędzi mnie, zanim uda mi się dobiec do właściwego peronu. Rzuciłam okiem na zegarek - za minutę jedenasta. Powinno się udać.

Przed chwilą wpadłam na stację głównym wejściem, od Adderley Street. Teraz wybiegłam szybko bocznymi drzwiami. Na wprost mnie znajdowało się boczne wejście na pocztę, której fasada również wychodziła na Adderley Street.

Tak jak przypuszczałam, mój prześladowca zamiast gonić za mną, pobiegł w dół ulicy, aby odciąć mi drogę przy głównym wejściu na pocztę albo aby zawiadomić policję.

Ja natomiast przebiegłam ponownie przez ulicę i znowu znalazłam się na stacji. Pędziłam jak szalona! Jedenasta! Gdy wpadłam na peron, pociąg właśnie ruszał. Zawiadowca usiłował mnie zatrzymać, jednak wyrwałam się z jego rąk, wskoczyłam na stopień i otworzyłam drzwi. Byłam bezpieczna. Pociąg zaczął nabierać prędkości.

Na końcu peronu stał samotnie jakiś mężczyzna. Gdy pociąg go mijał, pokiwałam do niego ręką.

- Do widzenia, panie Pagett! - zawołałam.

Nigdy jeszcze nie widziałam kogoś tak zaskoczonego. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

Miałam też, oczywiście, przeprowadzenie z konduktorem, ale przybrałam władczy ton.

- Jestem sekretarką sir Eustachego Pedlera - oznajmiłam wyniośle. - Proszę mnie zaprowadzić do jego salonki.

Zuzanna i pułkownik Race stali na tylnej platformie widokowej. Gdy mnie ujrzeli, wydali okrzyk zdumienia.

- A pani skąd się tutaj wzięła? Myślałem, że pojechała pani do Durbanu. Co za niespodzianka! - zawołał pułkownik Race.

Zuzanna nie odezwała się, ale w jej oczach malował się jeden wielki znak zapytania.

- Muszę zameldować się u mojego pracodawcy - powiedziałam z udaną skromnością. - Gdzie on jest?

- W gabinecie, w środkowym przedziale. Dyktuje zawzięcie biednej pannie Pettigrew.

- Ten zapął do pracy to u niego coś nowego - zauważyłam.

- Hm - odparł pułkownik Race - przypuszczam, że chce jej zadać tyle pracy, aby do końca dnia siedziała w swoim przedziale, przykuta do maszyny do pisania.

Roześmiałam się. We trójkę poszliśmy poszukać sir Eustachego. Krążył tam i z powrotem po przedziale, zasypując nieszczęsną sekretarkę gradem słów. Widziałam ją po raz pierwszy. Była wysoka, kanciasta, nosiła szarą suknię i pince-nez. Wyglądała jak uosobienie kompetencji. Widocznie trudno jej było zachować zimną krew w towarzystwie sir Eustachego, gdyż nagle ołówek wypadł jej z ręki, a ona sama zadrżała.

Weszłam do przedziału.

- Melduję się na pokładzie, sir - zawołałam szelmowsko.

Sir Eustachy dosłownie zamarł w połowie skomplikowanego zdania na temat sytuacji robotników i wlepił we mnie wzrok. Panna Pettigrew, mimo swojej kompetencji, musiała być bardzo nerwowa, gdyż podskoczyła gwałtownie, jakby ją ktoś postrzelił.

- Niech Bóg zachowa moją duszę! - wykrzyknął sir Eustachy. - A co z tym młodym człowiekiem w Durbanie?

- Wolę pana - odparłam ze słodyczą w głosie.

- Kochana - powiedział sir Eustachy - może mnie pani od razu wziąć za rękę.

Panna Pettigrew zakasłała, a sir Eustachy cofnął dłoń.

- Aha, na czym to stanęliśmy? - powiedział. - Już mam. Tylman Roos w swoim przemówieniu... Co się dzieje? Dlaczego pani nie notuje?

- Zdaje się, że panna Pettigrew złamała ołówek - odezwał się pułkownik Race uprzejmie.

Wyjął ołówek z rąk sekretarki i zaczął go temperować. Sir Eustachy i ja spoglądaliśmy na niego. W głosie pułkownika zabrzmiał nowy ton, którego nie rozumiałam.

## XXII

*(Wyjątki z dziennika sir Eustachego Pedlera)*

Najchętniej zrezygnowałbym z pisania „Wspomnień”, natomiast napisałbym krótki artykuł pod tytułem „Moi sekretarze”. Jeśli idzie o sekretarzy, prześladowuje mnie prawdziwy pech. Najpierw nie miałem ani jednego, później było ich znowu zbyt wielu. Obecnie podróżuję do Rodezji z całym tabunem kobiet. Oczywiście Race zaanektował te najlepsze, pozostawiając mi resztki. Mnie zawsze musi spotkać coś takiego. Do licha, w końcu to nie jest jego salonka, tylko moja!

Anna Beddingfeld jedzie z nami do Rodezji, rzekomo jako moja tymczasowa sekretarka. Całe popołudnie spędziła jednak na platformie widokowej w towarzystwie Race’a, podziwiając piękno przełomu rzeki Hex. Prawdą jest, że powiedziałem Annie, iż głównym jej obowiązkiem będzie trzymanie mnie za rękę, ale z tego też się nie wywiązuje. Pewnie obawia się panny Pettigrew. Nie mogę mieć jej tego za złe. W pannie Pettigrew nie ma nic atrakcyjnego. Ze swą odpychającą powierzchownością i wielkimi stopami przypomina raczej mężczyznę niż kobietę.

W Annie Beddingfeld jest coś tajemniczego. Wpadła do pociągu dosłownie w ostatniej minucie, sapiąc jak lokomotywa. Zupełnie jakby ją ktoś gonił. A przecież Pagett zapewniał mnie, że poprzedniego wieczoru wsadził ją do pociągu odjeżdżającego do Durbanu. Albo znowu się upił, albo

ta dziewczyna jest ciałem astralnym.

Nie udzieliła żadnych wyjaśnień. Nikt mi nigdy niczego nie tłumaczy. Właśnie, Moi sekretarze. Numer jeden: morderca umykający przed sprawiedliwością. Numer dwa: sekretny pijak, który wdał się we Włoszech w jakieś podejrzone interesy. Numer trzy: piękna dziewczyna, posiadająca bardzo przydatną umiejętność przebywania w dwóch miejscach na raz. Numer cztery: panna Pettigrew, która bez wątpienia okaże się niebezpiecznym przestępcą w przebraniu. Być może Pagett podstawiał mi jednego ze swoich włoskich współników. Pewnego dnia wszyscy przekonają się, że zostali wystrychnięci na dudka przez Pagetta, ja zaś wcale nie będę się temu dziwił. Z nich wszystkich najlepszy był Rayburn. Nigdy mnie nie irytował i schodził mi z drogi. Guy Pagett z właściwą sobie impertynencją władował mi do przedziału wielki kufer. Nie można zrobić kroku, żeby się o niego nie potknąć.

Wyszedłem na platformę widokową, oczekując, że moje pojawienie się zostanie powitane okrzykami zachwyty. Obie damy jednak jak urzeczone słuchały jednej z podróżniczych opowieści Race'a. Doprawdy zamiast tabliczki z napisem „Sir Eustachy Pedler i jego goście” ten wagon powinien mieć wizytówkę „Pułkownik Race i jego harem”.

Oczywiście pani Blair musiała pstrykać swoje głupie fotki. Ilekroć pociąg pokonywał szczególnie ostry zakręt - jako że jedziemy coraz wyżej i wyżej - robiła zdjęcie lokomotywy.

- Bo widzi pan - pokrzykiwała z zachwytem - na zakręcie mogę sfotografować przód pociągu z tylnego wagonu. Z tymi górami w tle będzie to wyglądało okropnie niebezpiecznie.

Zwróciłem jej uwagę, że przecież i tak nikt nie pozna, iż zdjęcia były robione z tylnego wagonu. Popatrzyła na mnie z politowaniem.

- Ależ ja je podpiszę: „Robione z pociągu. Lokomotywa pokonująca zakręt.”

- W ten sposób może pani podpisać każdą odbitkę przedstawiającą pociąg - powiedziałem. Kobiety nigdy nie potrafią dostrzec zupełnie oczywistych rzeczy.

- Jestem taka szczęśliwa, że przejeżdżamy tędy za dnia! - zawołała Anna Beddingfeld. - Nie zobaczyłabym tego wszystkiego, gdybym pojechała wczoraj w nocy do Durbanu!

- Nie - przyznał z uśmiechem pułkownik Race. - Obudziłaby się pani dzisiaj rano na płaskowyżu Karm, gorącym, zakurzonym pustkowiu, pełnym skał i kamieni.

- Wobec tego cieszę się, że zmieniałam plany. - Anna Beddingfeld westchnęła radośnie i rozejrzała się dookoła.

Widok był wspaniały. Potężne góry i nasz pociąg z trudem pokonujący kolejne serpentyny.

- Czy to jest najlepszy dzienny pociąg do Rodezji? - zapytała Anna Beddingfeld.

- Dzienny pociąg? - roześmiał się pułkownik Race. - Droga panno Anno, do Rodezji kursują tylko trzy pociągi tygodniowo. W poniedziałki, środy i soboty. Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że

do Wodospadu Wiktorii dotrzemy dopiero w sobotę?

- Do tego czasu będziemy się wszyscy doskonale znali - wtrąciła pani Blair złośliwie. - Sir Eustachy, jak długo zamierza pan zatrzymać się przy Wodospadzie?

- To zależy - odparłem ostrożnie.

- Od czego?

- Od sytuacji w Johannesburgu. Pierwotnie miałem za miar spędzić tam dwa dni. Nigdy przedtem nie widziałem Wodospadu, choć to już moja trzecia wizyta w Afryce. Potem chciałem jechać do Johannesburga i przyjrzeć się bliżej sytuacji w Randzie. Jak pani wiadomo, w kraju pozuję na znawcę zagadnień południowoafrykańskich. Ale z tego, co słyszałem ostatnio, wynika, że w najbliższym tygodniu Johannesburg będzie szczególnie niebezpiecznym miejscem do odwiedzania. Nie mam zamiaru studiować warunków politycznych w samym centrum szalejącej rewolty. Race uśmiechnął się raczej dziwnie.

- Sądzę, że pańskie obawy są nieco przesadzone, sir Eustachy. W Johannesburgu nie powinno być zbyt niebezpiecznie.

Obie kobiety natychmiast popatrzyły na niego wzrokiem, w którym można było wyczytać podziw dla jego bohaterstwa. Zdenerwowało mnie to. Ja także jestem odważny, niestety, nie mam odpowiedniej postury. Tym wysokim, szczupłym, ogorzałym mężczyznom zawsze się wszystko udaje.

- Przypuszczam, że pan się tam wybiera - powiedziałem zimno.

- Bardzo możliwe. Być może będziemy nawet podróżowali razem.

- Nie wiem jeszcze, jak długo zatrzymam się przy Wodospadzie - odparłem nieobowiązująco. A cóż mu tak zależy, żebym pojechał do Johannesburga? Panna Beddingfeld wyraźnie wpadła mu w oko. - A jakie są pani zamiary, panno Beddingfeld?

- To zależy - odparła poważnie, naśladowując mój ton.

- Sądziłem, że jest pani moją sekretarką - zwróciłem jej uwagę.

- Zostałam wysadzona z siodła. Całe popołudnie trzymał pan za rękę pannę Pettigrew.

- Cokolwiek robiłem dziś po południu, to z pewnością nie to - zapewniłem.

*Czwartek wieczorem*

Właśnie opuściliśmy Kimberley. Race jeszcze raz musiał opowiedzieć historię kradzieży

diamentów. Dlaczego te kobiety są tak zainteresowane wszystkim, co dotyczy diamentów?

Anna Beddingfeld nareszcie uchyliła rąbka tajemnicy. Jest korespondentką gazety. Dzisiaj rano wysłała z De Aar długi telegram. Z paplaniny, jaka niemal przez całą noc dochodziła mnie z przedziału pani Blair, wnioskuje, że odczytywała jej na głos wszystkie swoje dotychczasowe artykuły.

Zdaje się, że zajmuje się sprawą mężczyzny w brązowym garniturze. Najwidoczniej nie zauważyła go na pokładzie „Kilmorden Castle”, ale szczerze mówiąc, nie miała wtedy okazji. Za to teraz bez przerwy wysyła depesze. „Moja podróż z mordercą”. Wymyśla zupełnie fikcyjne historie typu „o czym rozmawiałam z mordercą” i tak dalej. Doskonale wiem, jak to się robi. Sam posługuję się tą metodą w moich „Wspomnieniach”, ilekroć Pagett mi na to pozwala. Oczywiście jako kompetentny współpracownik Nasby’ego, panna Beddingfeld stara się przybliżyć czytelnikom wszelkie szczegóły. Gdy to wszystko ukaże się w „Daily Budget”, Rayburn nie rozpozna sam siebie.

Ta dziewczyna nie jest wcale głupia. Zupełnie samodzielnie udało jej się ustalić tożsamość kobiety zamordowanej w moim domu. Ofiarą okazała się rosyjska tancerka imieniem Nadina. Zapytałem Annę Beddingfeld, czy jest tego pewna. Odparła, że tak wydedukowała. Zupełnie niczym Sherlock Holmes. Domyślałem się, że gazecie podała to jako sprawdzony fakt. Kobiety mają intuicję - nie wątpię, że Anna Beddingfeld odgadła trafnie - ale - nazywać to dedukcją to przecież absurd.

Nie mam pojęcia, jak udało jej się wkręcić do „Daily Budget”. Kobiety jej pokroju są zdolne do czegoś podobnego. Nie sposób się jej przeciwstawić. Usta ma wypełnione pochlebstwami, które maskują nieugiętą determinację. Wystarczy przypomnieć sobie, jak wtargnęła do mojej salonki.

Powoli zaczynam się wszystkiego domyślać. Race wspomniał, że policja podejrzewa, iż Rayburn uciekł do Rodezji. Być może dostał się tam poniedziałkowym pociągiem. Oczywiście zaalarmowano telegraficznie wszystkie stacje - tak przynajmniej sędzę - lecz nie znaleziono nikogo, kto odpowiadałby jego rysopisowi. To jednak o niczym nie świadczy. Rayburn to bystry chłopak i doskonale zna Afrykę. Pewnie podróżował w przebraniu starej Murzynki, podczas gdy dzielna policja poszukiwała młodego, przystojnego mężczyzny, ubranego według najświeższej europejskiej mody. Ta blizna zawsze mi się wydawała podejrzana.

W każdym razie Anna Beddingfeld jest na jego tropie. Pragnie okryć się sławą, demaskując mordercę i przyczyniając się do triumfu „Daily Budget”. Współczesne kobiety nie mają w sobie za grosz współczucia. Powiedziałem jej, że postępuje nie po kobiecemu. Wyśmiała mnie. Oświadczyła, że jeśli go wreszcie dopadnie, będzie szczęśliwa. Widzę, że Race też nie jest tym zachwycony. A może Rayburn jedzie naszym pociągiem? Jeżeli tak, to możemy się kiedyś nie obudzić, wymordowani we własnych łózkach.. Podzieliłem się tą myślą z panią Blair. Mój pomysł przypadł jej nawet do gustu. Powiedziała, że gdybym tak został zamordowany, byłby to świetny materiał dla Anny. Materiał dla Anny, rzeczywiście.

Jutro będziemy przejeżdżali przez Beczuanę. Już sobie wyobrażam ten kurz. Na każdej stacji z pewnością pojawią się murzyńskie dzieci, sprzedające rzeźbione w drewnie zwierzaki, różne miseczki i koszyki. Boję się, że panią Blair może opanować prawdziwy amok. W tych zabawkach tkwi pewien prymitywny wdzięk, na który może okazać się czuła.



Stało się to, czego się obawiałem. Pani Blair i Anna Beddingfeld kupiły czterdzieści dziewięć drewnianych zwierzątek!

## XXIII

*(Opowiadanie Anny)*

Podróż do Rodezji była wspaniała. Codziennie odkrywałam coś nowego i porywającego. Najpierw cudowna sceneria doliny rzeki Hex, potem majestatyczny płaskowyż Karru, wreszcie rozległy horyzont Beczuany i - te cudowne zwierzątka, które oferowały do sprzedaży tubylcze dzieci. Zuzanna i ja omal nie zostawałyśmy na każdej stacji z ich powodu. Nie wiem zresztą, czy te przystanki można w ogóle nazwać stacjami. Wydawało mi się, że pociąg po prostu przystawał, gdzie chciał, a ledwo się zatrzymał, natychmiast w pustynnym krajobrazie materializowały się całe watahy tubylców niosących kukurydzę, trzinę cukrową, futrzane karossy [Kaross - rodzaj okrycia bez rękawów, wykonanego ze skóry zwierzęcej wyprawionej razem z włosem, noszonego przez Hotentotów.] i te cudowne figurki rzeźbione w drewnie. Zuzanna zaczęła je natychmiast kolekcjonować. Poszłam za jej przykładem. Większość kosztowała *tiki* (trzy pensy), a każda była inna. Były tam żyrafy, lwy, węże, melancholijnie spoglądające antylopy i absurdalnie małe posążki czarnych wojowników. Bawiłyśmy się wspaniale.

Sir Eustachy usiłował nas powstrzymać, ale nadaremnie. Myślę, że to był prawdziwy cud, iż nie zostałyśmy na żadnej z tych małych stacyjek. Afrykańskie pociągi wcale nie mają zwyczaju sygnalizować gwizdem gotowości do odjazdu. Cichutko ruszają znienacka i trzeba wtedy odrywać się od targowania i biec co sił w nogach.

Można sobie wyobrazić zdumienie Zuzanny, gdy zobaczyła mnie wskakującą do pociągu w Kapsztadzie. Zaraz pierwszego wieczoru przegadałyśmy pół nocy, omawiając dokładnie całą sytuację.

Było i oczywiste, że muszę teraz przyjąć nie tylko taktykę ofensywną, lecz także defensywną. Podróżując z sir Eustachym, byłam bezpieczna. Zarówno on, jak i pułkownik Race byli potężnymi protektorami. Moi wrogowie z pewnością nie odważyliby się teraz na żaden bezpośredni atak. Poza tym, będąc w pobliżu sir Eustachego, nie traciłam całkowicie kontaktu z Guyem Pagettem, który przecież stanowił klucz do całej tajemnicy. Zapytałam Zuzannę, czy jej zdaniem Pagett mógłby być

owym tajemniczym Pułkownikiem. Pozycja, jaką zajmował, przemawiała co prawda przeciwko takiemu przypuszczeniu, jednak - co kilkakrotnie zauważyłam - sir Eustachy mimo całego swojego autokratyzmu pozostawał pod wyraźnym wpływem swojego sekretarza. Był tak dbały o własne wygody, że zręczny sekretarz mógł go sobie z łatwością owinać wokół małego palca. Skromne stanowisko Pagetta mogło stanowić coś w rodzaju zasłony dymnej.

Jednak Zuzanna sprzeciwiła się stanowczo takiemu przypuszczeniu. Nie mogła uwierzyć, by Guy Pagett był *spiritus movens* całego przedsięwzięcia. Według niej prawdziwy mózg - Pułkownik - trzymał się raczej w cieniu i prawdopodobnie przyjechał do Afryki wcześniej niż my.

Przyznałam, że wiele za tym przemawia, jednak nie byłam do końca przekonana. Ilekroć wydarzyło się coś podejrzanego, Pagett zdawał się tym kierować. To prawda, że nie wyglądał na kogoś obdarzonego prawdziwym autorytetem, tak jak należałoby tego oczekiwać od arcymistrza zbrodni. Jednak zgodnie z tym, co mówił pułkownik Race, ów tajemniczy przywódca był wyłącznie mózgiem. Umysłowi kreacyjnemu często towarzyszy słaba i niepozorna kondycja fizyczna.

- Oto przemówiła córka profesora - przerwała mi Zuzanna, gdy doszłam do tego punktu w swoich rozważaniach.

- Kiedy to prawda. Z drugiej strony Pagett może być równie dobrze kimś w rodzaju wielkiego wezyra na usługach władcy, jeśli mogę się tak wyrazić. - Milczałam przez chwilę, a potem dodałam: - Chętnie bym się dowiedziała, w jaki sposób sir Eustachy osiągnął swoją - fortunę.

- Znowu go podejrzewasz?

- Doszłam do takiego punktu, w którym podejrzewam wszystkich. W końcu to on zatrudnia Pagetta i on jest właścicielem Mill House.

- Zawsze słyszałam, że bardzo niechętnie mówi na ten temat - rzekła Zuzanna z namysłem. - To jednak wcale nie musi oznaczać działalności przestępczej. Mógł się dorobić na konserwach albo na środkach na porost włosów.

Przytaknęłam smętnie.

- Zastanawiam się - ciągnęła Zuzanna z powątpiewaniem - czy my przypadkiem nie idziemy w zupełnie złym kierunku. Czy nasze podejrzewania nie zawiodły nas czasem na manowce? Myślę o Pagecie. A jeśli jest niewinny?

Zastanowiłam się nad tym przez moment, potem jednak pokręciłam głową.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- W końcu on ma na wszystko jakieś wytłumaczenie.

- Taaak, ale nie bardzo przekonujące. Na przykład o tej nocy, kiedy usiłował wypchnąć mnie za burtę, powiedział, że śledził Rayburna i że to Rayburn go uderzył. A przecież wiemy, że to nieprawda.

- No tak - przyznała Zuzanna niechętnie. - Ale w końcu znamy tę historię jedynie z ust sir Eustachego. Może gdyby opowiedział nam ją sam Pagett, wyglądałaby inaczej. Wiesz, jak ludzie potrafią przekręcać, powtarzając zasłyszaną opowieść.

Usiłowałam to sobie jakoś ułożyć.

- Nie - powiedziałam w końcu - to nie może być tak. Pagett jest winny. Nie możesz pominąć faktu, że usiłował wypchnąć mnie za burtę. Wszystko inne także pasuje. Czemu tak nagle się uparłaś przy tym nowym pomysle?

- Z powodu jego twarzy.

- Jego twarzy? Ale...

- Wiem, co chcesz powiedzieć. On wygląda groźnie. Widzisz, wydaje mi się, że człowiek z jego twarzą nie może być naprawdę groźny. Byłby to kolosalny żart natury.

Argumenty Zuzanny jakoś nie trafiły mi do przekonania. Sporo wiem o naturze w odległych epokach. Jeśli nawet ma poczucie humoru, nie okazuje go zbyt często. Zuzanna najchętniej przypisałaby naturze wszystkie swoje cechy.

Przeszliśmy do dyskusji nad planami na najbliższą przyszłość. Było jasne, że powinnam stworzyć sobie coś w rodzaju alibi. Nie mogę przecież w nieskończoność unikać wszelkich wyjaśnień. Rozwiązanie tego problemu leżało dosłownie w zasięgu ręki, choć od dłuższego czasu o nim nie myślałam. „Daily Budget”. Bez względu na to, czy będę milczała, czy zacznę mówić, Harry’emu Rayburnowi to już nie zaszkodzi. Nie z mojej winy został zdemaskowany jako mężczyzna w brązowym garniturze. Udając, że jestem przeciwko niemu, potrafię mu pomóc. Pułkownik i jego gang nie mogą nabrać podejrzeń, że między mną a człowiekiem, którego wybrali, aby odegrał rolę kozła’ ofiarnego w sprawie morderstwa w Marlow, istnieje przyjazna więź. O ile wiedziałam, dotychczas nie udało się ustalić tożsamości ofiary. Mogłam więc zdepeszować do lorda Nasby i przedstawić mu hipotezę, że zamordowaną kobietą był nikt inny, tylko znana rosyjska tancerka Nadina, która oczarowała cały Paryż. Wydało mi się dość dziwne, że do tej pory jej nie zidentyfikowano, jednakże kiedy znacznie później dowiedziałam się więcej na ten temat, uznałam, że było to zupełnie naturalne.

W czasie swojej oszałamiającej kariery Nadina nigdy nie odwiedziła Anglii i była zupełnie nieznana brytyjskiej publiczności. Fotografie ofiary w gazetach były tak zamazane i niewyraźne, że nic dziwnego, iż nikt jej nie rozpoznał. Poza tym Nadina utrzymywała swój zamiar wypadu do Anglii w głębokiej tajemnicy. W dzień po morderstwie jej impresario otrzymał list, rzekomo od niej samej, w którym tancerka pisała, że musi wracać do Rosji z ważnych powodów osobistych i że zrywa kontrakt.

O tym wszystkim dowiedziałam się oczywiście znacznie później. Przy pełnej aprobacie Zuzanny wysłałam z De Aar długą depeszę. Trafiłam na świetny moment (o czym też dowiedziałam się dopiero później). „Daily Budget” pilnie potrzebował jakiejś nowej sensacji. Moja hipoteza po sprawdzeniu okazała się prawdziwa. Tym sposobem „Daily Budget” zdobył upragnioną bombę sezonu. „Ofiara morderstwa w Mill House zidentyfikowana przez naszego specjalnego wysłannika.” I

tak dalej. „Nasza reporterka podróżowała w towarzystwie mordercy. Kim jest naprawdę mężczyzna w brązowym garniturze?”

Główne fakty przedrukowano oczywiście i w prasie południowoafrykańskiej, natomiast moje własne, długie artykuły mogłam przeczytać dopiero po jakimś czasie. W Bulawayo czekał już na mnie telegram - z pełnym poparciem i dalszymi instrukcjami. Lord Nasby gratulował mi osobiście. Zostałam oficjalnie przyjęta do zespołu „Daily Budget” i zlecono mi zadanie wytropienia mordercy. Tylko ja wiedziałam, że owym mordercą nie jest bynajmniej Harry Rayburn. Jednak w obecnej chwili było najlepiej, by świat sądził, że jest on winny zbrodni.

## XXIV

W sobotę wczesnym rankiem dotarliśmy do Bulawayo. Sama miejscowość rozczarowała mnie. Dokuczał upał, a hotel uznałam za okropny. Sir Eustachy był w nastroju, który mogę określić jako posępny. Myślę, że głównie przyczyniły się do tego nasze drewniane zwierzaki, a zwłaszcza duża żyrafa. Była kolosalnych rozmiarów, z długą szyją, łagodnymi oczami i opuszczonym ogonem. Miała charakter. Miała wdzięk. Wzbudzało pewną kontrowersję do kogo właściwie należy - do mnie czy do Zuzanny. Obie zapłaciłyśmy za nią po *tiki*. Zuzanna powoływała się na prawo starszeństwa i status mężatki, ja zaś twierdziłam, że pierwsza doceniłam jej urok.

Muszę przyznać, że żyrafa zajmowała mnóstwo miejsca. Przeniesienie czterdziestu dziewięciu drewnianych zwierząt, każdego o innym kształcie, wyrzeźbionych z wyjątkowo łamliwego drewna, było dość kłopotliwe. Dwaj portierzy zostali obładowani całym naręczem. Niestety jeden z nich natychmiast upuścił stadko czarujących strusi, odłamując im głowy. Ostrzeżone tym wypadkiem, Zuzanna i ja same dźwigałyśmy, cośmy mogły. Pułkownik Race pomagał nam w tym, a wielką żyrafę wcisnęłam w objęcia sir Eustachego. Nawet pannie Pettigrew nie udało się wykręcić, przypadł jej w udziale opasy hipopotam i dwie figurki wojowników. Odnosiłam wrażenie, że panna Pettigrew mnie nie lubi. Może wyobraziła sobie, że jestem awanturnicą. W każdym razie unikała mnie jak ognia. To zabawne, ale jej twarz wydawała mi się znajoma, chociaż w żaden sposób nie potrafiłam jej umiejscowić.

Przez większą część przedpołudnia odpoczywaliśmy, po południu zaś planowaliśmy wypad do Matopos, do grobu Rhodesa. Jednak w ostatniej chwili sir Eustachy wycofał się. Był niemal tak wściekły jak w dniu przybycia do Kapsztadu, kiedy to upuścił gruszkę na podłogę. Najwidoczniej poranny przyjazd do jakiegoś miejsca wprawia go w zły nastrój. Złorzeczył na portierów, złorzeczył na kelnera przy śniadaniu, złorzeczył na całą obsługę hotelową. Bez wątpienia miał także ochotę złorzeczyć na pannę Pettigrew, która kręciła się koło niego z nieodłącznym notesem i ołówkiem. Jednak nawet on nie odważyłby się na to. Panna Pettigrew jest bowiem wzorem sekretarki, dosłownie jak z podręcznika. Oswobodziłam naszą drogą żyrafę w samą porę. Jestem pewna, że sir Eustachy cisnąłby nią najchętniej o podłogę.

Wracając do naszej wyprawy. Po tym, jak sir Eustachy zrezygnował z wycieczki, panna

Pettigrew oświadczyła, że ona także zostanie, na wypadek gdyby jej potrzebował. W ostatniej chwili Zuzanna przysłała boya z wiadomością, że boli ją głowa. Pojechaliśmy więc we dwójkę z pułkownikiem Race.

On jest doprawdy niezwykły. W większym towarzystwie nie jest to aż tak widoczne, jednak zostając z nim sam na sam, człowiek zaczyna czuć się przytłoczony siłą jego osobowości. Pułkownik mówi wtedy jeszcze mniej niż zwykle, lecz jego milczenie jest bardziej wymowne niż słowa.

Tak było i tego dnia, kiedy wyruszyliśmy do Matopos, drogą wśród przyjemnych, żółtobrazowych zarośli. Wszystko wokół nas było ciche i spokojne - oprócz naszego samochodu. Ten ford musiał być chyba pierwszym modelem, jaki kiedykolwiek skonstruowano. Tapicerkę miał dokładnie w strzępach, a choć nie znam się na silnikach, wiedziałam, że w środku także nie jest tak, jak być powinno.

Krajobraz zmieniał się powoli. Stopniowo zaczęły się pojawiać olbrzymie głazy, uformowane w najdziwniejsze kształty. Miałam wrażenie, że przenieśliśmy się w epokę kamienną. Przez moment neandertalczycy wydali mi się równie realni, jak niegdyś papie. Odwróciłam się do pułkownika Race.

- Tu kiedyś musiały mieszkać olbrzymy - powiedziałam rozmarzona. - Ich dzieci bawiły się podobnie jak nasze. Przesypywały garściami kamienie, układały je w stosy, które potem burzyły. Im zręczniejszymi nimi manipulowały, tym większą sprawiało im to radość. Gdybym miała nadać nazwę tej krainie, nazwałabym ją Krainą Dzieci Gigantów.

- Być może jest pani bliższa prawdy, niż się pani wydaje - odparł pułkownik Race z powagą. - Surowość, prymitywizm, wielkość - oto czym jest Afryka:

Przytaknęłam.

- Pan kocha ten kraj, prawda? - zapytałam.

- Kocham. Ale każdy, kto mieszka tutaj dłużej, staje się okrutny. Tak, okrutny to odpowiednie słowo. Zaczyna traktować życie i śmierć z pewną obojętnością.

- Rozumiem - powiedziałam, myśląc o Harrym Rayburnie. On był właśnie taki. - Ale chyba nie jest okrutny wobec słabych stworzeń?

- Różne są opinie na ten temat, kogo właściwie można zaliczyć do słabych stworzeń.

Zaskoczyła mnie powaga w jego głosie. Pomyślałam, że w rzeczywistości wiem bardzo niewiele o tym mężczyźnie, siedzącym teraz u mego boku.

- Miałam na myśli dzieci i psy.

- Mogę uczciwie powiedzieć, że nigdy nie byłem okrutny ani wobec dzieci, ani wobec psów. Widzę, że kobiet nie zalicza pani do słabych stworzeń.

Zastanowiłam się.

- Nie, nie zaliczam. Chociaż obecnie kobiety są słabe. Ale papa zawsze mówił, że początkowo mężczyzna i kobieta przemierzali świat razem, obdarzeni równymi siłami - podobnie jak lwy i tygrysy.

- I jak żyrafy - wtrącił pułkownik Race szelmowsko.

Roześmiałam się. Wszyscy robią przytyki do naszej żyrafy.

- I jak żyrafy. Pierwotni ludzie byli nomadami. Dopiero gdy zaczęli prowadzić osiadły tryb życia i potworzyli wspólnoty, mężczyźni przestali wykonywać te same prace co kobiety. Wtedy kobiety stały się słabsze. Oczywiście w środku nie zmieniły się wcale, odczuwały tak samo jak przedtem. Właśnie dlatego kobiety tak cenią siłę fizyczną w mężczyznach, gdyż same ją kiedyś posiadały i utraciły.

- Cześć sięgająca czasów pierwotnych?

- Coś w tym rodzaju.

- Naprawdę pani uważa, że kobiety cenią w mężczyznach siłę fizyczną?

- Tak, o ile szczerze zanalizują swoje uczucia. Człowiekowi może się wydawać, że ceni przede wszystkim wartości moralne, jednak gdy się zakocha, jego pierwsza reakcja jest zupełnie pierwotna - najważniejsze są walory fizyczne. Dopiero później - jako że nie żyjemy w czasach pierwotnych - te inne wartości biorą górę. W życiu zawsze w końcu zwyciężają rzeczy pozornie pokonane, prawda? To tak jak Biblia mówi nam o utracie życia i odzyskaniu go.

- Podsumowując - powiedział pułkownik Race w zamyśleniu - najpierw się zakochujemy, a potem przestajemy kochać. Czy to ma pani na myśli?

- Niezupełnie, ale może pan to i tak nazwać.

- Nie sędzę, aby pani kiedykolwiek przestała kochać.

- Nie - przyznałam szczerze.

- A czy zakochała się pani?

Milczałam.

Samochód zawiózł nas do celu wyprawy i musieliśmy przerwać rozmowę. Wsiedliśmy i wolno zaczęliśmy wspinać się na szczyt. Nie po raz pierwszy poczułam zakłopotanie w towarzystwie pułkownika Race. Jego czarne oczy były nieprzeniknione. Ten człowiek potrafił doskonale skrywać swoje myśli. Troszeczkę się go bałam. Zawsze się go obawiałam. W jego obecności nigdy nie wiedziałam, na czym stoję.

Wspinaliśmy się w milczeniu. Wreszcie osiągnęliśmy szczyt, na którym znajdował się grób Rhodessa, flankowany dwoma głazami gigantycznych rozmiarów. Było to niesamowite i tajemnicze miejsce, z dala od siedzib ludzkich. Nieujarzmione piękno natury objawiło się tu z całą mocą.

Przez długi czas siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie ruszyliśmy w drogę powrotną. Zboczyliśmy trochę ze ścieżki i musieliśmy teraz mozolnie torować sobie drogę. Wreszcie doszliśmy do miejsca, gdzie skała wznosiła się niemal pionowo.

Pułkownik Race, który szedł pierwszy, odwrócił się do mnie.

- Lepiej przeniosę panią - powiedział i zdecydowanym ruchem uniósł mnie w górę.

Gdy stawiał mnie z powrotem na ziemię, czułam emanującą z niego siłę. Ten człowiek miał mięśnie ze stali. Znowu ogarnął mnie lekki niepokój, zwłaszcza że pułkownik nie odsunął się na bok, tylko stanął na wprost mnie, patrząc mi prosto w twarz.

- Co pani tu naprawdę robi, Anno Beddingfeld? - zapytał bez ogródek.

- Jestem Cyganką, wędrującą po świecie.

- Tak, to prawda. Posada korespondentki gazety to tylko pretekst. Pani nie ma duszy dziennikarki. Pani działa na własną rękę, usiłując schwytać życie. Choć to jeszcze nie wszystkie powody pani obecności tutaj.

Do jakiej odpowiedzi chciał mnie sprowokować? Bałam się, po prostu bałam się. Spojrzałam mu prosto w twarz. Moje oczy nie potrafiły skrywać sekretu tak dobrze jak jego, potrafiły jednak odeprzeć atak, przerzucając działania wojenne na teren wroga.

- A co pan tu tak naprawdę robi, pułkowniku Race? - zapytałam z naciskiem.

Przez chwilę sądziłam, że nic nie odpowie. Był wyraźnie zaskoczony. W końcu przemówił, a jego własne słowa zdawały się sprawiać mu jakąś przewrotną przyjemność.

- Przywiodła mnie tu chęć zaspokojenia własnej ambicji - powiedział. - Pamięta pani: „To grzech, co z nieba strącił archaniołów.” [William Szekspir, „Sławna historia życia Henryka VIII”, akt 3, scena 2, przełożył Leon Ulrich.]

- Mówi się - zaczęłam powoli - że ma pan powiązania z rządem i że pracuje pan dla Secret Service. Czy to prawda?

Czy tylko wydawało mi się, czy rzeczywiście zawahał się na ułamek sekundy?

- Zapewniam panią, że tutaj jestem zupełnie prywatnie. Podróżuję wyłącznie dla własnej przyjemności.

Zastanawiając się później nad tą odpowiedzią, doszłam do wniosku, że była niejednoznaczna. A może miała być taka?

W milczeniu wsiedliśmy do samochodu. W połowie drogi powrotnej zatrzymaliśmy się na herbatę w prymitywnym zajeździe na poboczu. Właściciel zajęty był kopaniem w ogrodzie i nie wydawał się zachwycony oderwaniem go od tej czynności. Jednak wspaniałomyślnie obiecał, że zrobi, co będzie mógł. Po dłuższej chwili przyniósł nam jakieś zeschnięte ciasto i letnią herbatę, po czym znowu zniknął w ogrodzie.

Nie zdążył jeszcze dobrze się oddalić, gdy otoczyła nas gromada kotów. Było ich sześć i wszystkie miauczały żałośnie, powodując nieznośny hałas. Dałam im kawałek ciasta, które pożarły łapczywie. Nalałam mleka na spodek. Dosłownie biły się, aby się do niego dostać.

- Och - zawołałam oburzona - przecież one są zagłodzone! To nikczemne. Proszę, bardzo proszę, niech pan zamówi więcej mleka i ciasta.

Pułkownik Race bez słowa poszedł spełnić moją prośbę. Po chwili wrócił z dzbankiem pełnym mleka, które koty wypily do ostatniej kropelki.

Wstałam. Na mojej twarzy malowała się determinacja.

- Zabieram te koty do domu. Nie zostawię ich tutaj.

- Ależ dziecko! Niech pani nie będzie śmieszna. Nie może pani podróżować z sześcioma kotami. To nie to samo co pięćdziesiąt drewnianych zwierzaków.

- Mniejsza o drewniane zwierzaki. Te koty są żywe. Zabieram je.

- Nie robi pani tego. - Popatrzyłam na niego z urazą, a pułkownik mówił dalej: - Uważa pani, że jestem okrutny. Nie można przejść przez życie, roztkliwiając się nad wszystkim. Sprzeciw nic pani nie pomoże. Nie pozwolę pani ich zabrać. To prymitywny kraj, a ja jestem silniejszy od pani.

Wiem, kiedy muszę ustąpić. Wracając do samochodu, miałam łzy w oczach.

- Być może nie nakarmiono ich tylko dzisiaj - mówił pułkownik Race tonem pocieszenia. - Żona właściciela pojechała do Bulawayo na zakupy. Tak więc wszystko będzie dobrze. Poza tym świat jest pełen głodujących kotów.

- Niech... niech... - zaczęłam gwałtownie.

- Tłumaczę pani, jakie naprawdę jest życie. Uczę panią być twardą i bezlitosną, tak jak ja. Na tym polega tajemnica władzy, klucz do sukcesu.

- Wolę być martwa niż bezlitosna - odparłam z pasją. Wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy. Powoli zaczęłam dochodzić do siebie. Nagle, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, pułkownik Race ujął mnie za rękę.

- Anno - powiedział łagodnie - pragnę cię. Czy zostaniesz moją żoną?

Moje zaskoczenie było kompletne.



- Och nie - wymamrotałam - nie mogę.

- Dlaczego?

- Ja... ja nie kocham pana. Nigdy nie myślałam o panu w ten sposób.

- Rozumiem. Czy to jedyny powód?

Musiałam być z nim szczerą. Tyle byłam mu winna.

- Nie - odparłam - nie jedyny. - Ja... ja kocham kogoś innego.

- Rozumiem - powtórzył. - Czy tak było od początku? Od chwili, gdy panią zobaczyłem na pokładzie „Kilmorden Castle”?

- Nie - szepnęłam. - To... to przyszło później.

- Rozumiem - powiedział po raz trzeci. Tym razem jego głos zabrzmiał tak dziwnie, że odwróciłam się i popatrzyłam wprost na niego. Jego twarz była ponura jak nigdy dotąd.

- Co... co pan ma na myśli? - zapytałam niepewnie. Popatrzył na mnie nieprzenikniętym wzrokiem.

- To, że teraz wiem, co powinienem zrobić.

Jego słowa sprawiły, że zadrżałam. Była w nich determinacja, której nie rozumiałam i która mnie przerażała.

Żadne z nas nie odezwało się już ani słowem, dopóki nie przyjechaliśmy do hotelu. Poszłam prosto do Zuzanny. Leżała w łóżku i czytała książkę. Absolutnie nie wyglądała na osobę, którą boli głowa.

- Taktowna przyzwoitka pozwoliła sobie na chwilę odpoczynku - przywitała mnie. - Anno, kochanie, co się stało?

Wybuchnęłam płaczem.

Opowiedziałam jej o kotach. Czułam, że nie byłoby w porządku opowiadać o pułkowniku Race. Jednak Zuzanna jest bystra i z pewnością się domyśliła, że coś jeszcze musiało się stać.

- Chyba się nie przeziębiłaś? Wiem, że to brzmi absurdalnie przy takim upale, ale masz chyba dreszcze.

- Nic mi nie jest - odparłam. - To tylko nerwy. Ktoś przeskoczył nad moim grobem. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że zbliża się coś okropnego.

- Nie bądź niemądra - powiedziała Zuzanna zdecydowanie. - Porozmawiajmy o czymś

ciekawszym. O diamentach.

- O diamentach? A co z nimi?

- Nie jestem pewna, czy są przy mnie bezpieczne. Wszystko było w porządku, jak długo nikt nie przypuszczał, że mogą być w moim posiadaniu. Teraz jednak, kiedy wszyscy wiedzą, że się przyjaźnimy, mogą zacząć podejrzewać także i mnie.

- Przecież nikt nie wie, że diamenty są w opakowaniu po filmie. To świetna skrytka. Same nie wymyśliłybyśmy lepszej.

Zgodziła się z tym po krótkim wahaniu, lecz powiedziała, że będziemy musiały jeszcze raz przedyskutować ten problem, gdy już dotrzemy do Wodospadu Wiktorii.

Pociąg odjeżdżał o dziewiątej. Nastrój sir Eustachego był ciągle daleki od pogodnego. Panna Pettigrew wyglądała na ujarzmioną. Jedyne pułkownik Race zachowywał się tak jak zwykle. Zastanawiałam się, czy rozmowa między nami nie przyśniła mi się przypadkiem.

Tej nocy spałam źle, rzucając się bez przerwy na moim twardym pościeliu. Męczyły mnie koszmary. Obudziłam się z bólem głowy i poszłam na platformę widokową. Dzień był piękny i orzeźwiający. Jak okiem sięgnąć, rozciągały się falujące, lesiste wzgórza. Pokochałam je natychmiast - pokochałam bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsce widziane do tej pory. Pomyślałam sobie, że byłoby cudownie zamieszkać tu na zawsze, w małej chatynce w samym sercu buszu.

Krótko przed wpół do drugiej pułkownik Race wywołał mnie z „biura”, by pokazać mi obłok białej mgiełki, rozpościerający się na kształt wachlarza nad zaroślami.

- Pył wodny unoszący się nad wodospadem - powiedział. - Niebawem tam dotrzemy.

Byłam jak we śnie. Po męczącej nocy ogarnęło mnie uczucie egzaltacji. Zrodziło się we mnie przekonanie, że oto wracam do domu. Do domu! Przecież nigdy przedtem nie byłam tutaj. A może byłam we śnie?

Prosto z pociągu udaliśmy się do hotelu, dużego, białego budynku, z oknami szczelnie pozasłanianymi moskitierami. W pobliżu nie przebiegała żadna droga, nie było też żadnych domostw. Wyszliśmy na *stoep*. Westchnęłam z zachwytem. Pół mili stąd, dokładnie na wprost nas, znajdował się Wodospad Wiktorii. Nigdy przedtem nie widziałam czegoś tak majestatycznego i olśniewającego. I nigdy już nie zobaczę.

- Anno, jesteś jak pod działaniem czarów - powiedziała Zuzanna, gdy zasiedliśmy do lunchu. - Po raz pierwszy widzę cię taką.

Popatrzyła na mnie z ciekawością.

- Naprawdę? - Roześmiałam się, ale mój śmiech nie zabrzmiał szczerze. - Jestem zachwycona otoczeniem, to wszystko.

- To coś więcej. - Leciutko zmarszczyła brwi na znak zrozumienia.

Tak, byłam szczęśliwa. Jednocześnie czułam niepokój i podniecenie. Nie opuszczało mnie wrażenie, że oto niebawem coś się wydarzy...

Po herbacie ruszyliśmy na spacer. Wsiedliśmy do niewielkiego wagonika popychanego przez uśmiechniętych tubylców i dojechaliśmy do samego mostu.

Widok był cudowny. Głęboko w dole kotłowały się spienione masy rwącej wody, dokładnie zaś na wprost nas unosił się przejrzysty wachlarz wodnego pyłu. Delikatna zasłona mgiełki rozsuwała się na moment, odsłaniając spiętrzoną wodę, a potem znowu się zamykała, skrywając przed naszymi oczami niedostępną tajemnicę. Moim zdaniem, to jest najbardziej fascynujące w wodospadach. Człowiekowi wydaje się, że już za moment uchwyci wzrokiem ich kształt i nigdy nie jest w stanie tego dokonać.

Przeszliśmy przez most i wolno ruszyliśmy ścieżką. Ułożone po obu jej stronach białe kamienie znaczyły krawędzie urwiska. Wreszcie dotarliśmy do dużej polany. Ścieżka po lewej wiodła w dół, ku przepaści.

- Ta droga prowadzi do palmowego jaru - powiedział pułkownik Race. - Zejdziemy w dół czy odłożymy to do jutra? - Zejście zabrałoby nam sporo czasu, a potem trzeba znowu wspinać się pod górę.

- Odłożymy to do jutra - powiedział sir Eustachy zdecydowanie. On nie przepada za wysiłkiem fizycznym, dawno już to zauważyłam.

Poprowadził nas z powrotem. Idąc minęliśmy grupę pięciu tubylców, kroczących majestatycznie. Wśród nich znajdowała się kobieta niosąca na głowie chyba cały swój dobytek. Nie brakowało tam nawet patelni!

- Że też w takich chwilach nigdy nie mam przy sobie aparatu fotograficznego! - jęknęła Zuzanna.

- Proszę nie rozpaczać - pocieszył ją pułkownik Race. - Podobna okazja nadarzy się jeszcze nieraz.

Wróciliśmy do mostu.

- Moglibyśmy pójść do lasu tęcz, chyba że boicie się panie zamoczyć - zaproponował pułkownik Race.

Zuzanna i ja poszłyśmy z nim. Sir Eustachy wrócił do hotelu. Las mnie rozczarował. Nie było w nim wcale zbyt wielu tęcz, natomiast przemokłyśmy do nitki. Stąd także było widać wodospad. Dopiero teraz uświadomiłam sobie jego ogrom. Och, wodospadzie, najdroższy wodospadzie, Kocham cię i zawsze będę cię kochała.

Wróciliśmy do hotelu tuż przed obiadem. Sir Eustachy okazywał wyraźną antypatię wobec

pułkownika Race. Zuzanna i ja pokpiwałyśmy sobie z niego, jednak nie sprawiło nam to satysfakcji.

Po obiedzie sir Eustachy udał się od razu do swojego pokoju, zabierając ze sobą pannę Pettigrew. Zuzanna i ja gawędziłyśmy trochę z pułkownikiem Race, wreszcie Zuzanna, ziewając przeciągle, oświadczyła, że idzie spać. Nie chcąc zostać sama z pułkownikiem, także poszłam do swojego pokoju.

Byłam jednak zbyt podekscytowana, by tak zwyczajnie udać się na spoczynek. Nie rozebrałam się nawet. Siedziałam na krześle, tonąc w marzeniach. Przez cały czas miałam świadomość, że coś się zbliża, że za chwilę coś się wydarzy...

Pukanie do drzwi. Zerwałam się. Mały murzyński chłopiec trzymał w ręku zaadresowany do mnie list. Charakter pisma był mi nie znany. Wzięłam list i wróciłam do pokoju. Przez chwilę stałam nieruchomo, wreszcie rozerwałam kopertę. List był krótki.

*„Muszę się z Tobą zobaczyć, jednak nie odważę się pokazać w hotelu. Czy mogłabyś przyjść na polanę przy palmowym jarze? Proszę, przyjdź, przez pamięć o kabinie 17. Ktoś, kogo znasz pod nazwiskiem Harry Rayburn.”*

Serce łomotało mi w piersiach. A więc był tutaj. Czułam to, czułam to od samego początku. Zupełnie przypadkowo trafiłam do miejsca, gdzie się ukrywał.

Owinęłam głowę szalem i wyjrzałam ukradkiem za drzwi. Muszę zachować ostrożność. On przecież nadal jest poszukiwany. Nikt nie może zobaczyć, że idę się z nim spotkać. Przemknęłam obok pokoju Zuzanny. Chyba już spała; do moich uszu dochodził jej spokojny oddech.

Sir Eustachy? Przystanąłam pod drzwiami jego saloniku. Był w środku, dyktując pannie Pettigrew. Słyszałam jej monotony głos powtarzający: „Dlatego też ośmielałam się zasugerować, że rozpatrując problem kolorowych robotników...” Zrobiła krótką przerwę, czekając na dalszy ciąg. Usłyszałam niewyraźne mamrotanie sir Eustachego.

Ruszyłam dalej. Pokój pułkownika Race był pusty. W hallu też go nie było. A przecież jego właśnie najbardziej się obawiałam. Cóż, nie mogę tracić czasu. Szybko wymknęłam się z hotelu i ruszyłam ścieżką w stronę mostu.

Za mostem zatrzymałam się w głębokim cieniu i czekałam. Gdyby ktoś mnie śledził, zauważyłabym go przechodzącego przez most. Ale minuty mijały i nikt się nie pojawił. Nikt nie szedł moim tropem. Odwróciłam się i ruszyłam ścieżką w stronę polany. Zrobiłam może sześć kroków i znowu się zatrzymałam. Za sobą usłyszałam jakiś szelest. Nie mógł to być ktoś, kto wyszedł za mną z hotelu. Ten ktoś musiał przyjść tu wcześniej i czekać teraz na mnie.

Natychmiast, bez żadnego ostrzeżenia, ale z całkowitą, instynktowną pewnością poczułam, że grozi mi niebezpieczeństwo. Było to identyczne uczucie jak wówczas, na pokładzie „Kilmorden

Castle” - nieodparte przeświadczenie o bezpośrednim zagrożeniu.

Spojrzałam w kierunku mostu. Cisza. Postąpiłam krok lub dwa. Znowu usłyszałam szmer. Idąc oglądałam się za siebie. Z ciemności wyłoniła się sylwetka mężczyzny. Zorientował się, że go widzę, i rzucił się w moją stronę.

Było zbyt ciemno, bym mogła go rozpoznać. Dostrzegłam tylko, że był wysoki i że był Europejczykiem. Uciekałam co sił w nogach, słysząc za sobą jego ciężkie kroki. Biegłam szybko, nie spuszczać z oczu białych głazów znakujących ścieżkę. W otaczających mnie ciemnościach nie dostrzegałam niczego poza nimi.

Nagle moja stopa natrafiła na próżnię. Usłyszałam śmiech mojego prześladowcy - okropny, diabelski śmiech. Brzmiał mi jeszcze w uszach, gdy głową w dół spadałam coraz niżej i niżej - w nicość.

## XXV

Przebudzenie było długie i bolesne. Głowę rozsadzał mi ból, w lewym ramieniu czułam pulsujące rwanie, ilekroć usiłowałam ruszyć ręką. Wszystko wokół mnie wydawało się sennym majakiem. Otaczały mnie koszarne wizje. Spadałam, spadałam w przepaść. Zza welonu mgły wychylała się do mnie twarz Harry’ego Rayburna. Przez moment wydawała mi się rzeczywista. Potem odpłynęła, skrzywiona w szyderczym grymasie. Raz - to zapamiętałam dokładnie - ktoś podsunął mi kubek do ust i coś piłam. Czarna twarz wyszczerzyła do mnie zęby. Wydała mi się twarzą diabła. Krzyknęłam. Znowu śniłam - długi, męczący sen, w którym bezskutecznie poszukiwałam Harry’ego, żeby go ostrzec. Przed czym? Nie wiedziałam. Ale był w niebezpieczeństwie, w wielkim niebezpieczeństwie, i tylko ja jedna mogłam go uratować. Wreszcie ciemność, łagodna, miłosierna ciemność i głęboki sen.

Obudziłam się ponownie. Długi koszmar minął. Pamiętałam dokładnie, co się wydarzyło - moje pośpieszne wyjście z hotelu na spotkanie z Harrym, mężczyzna wynurzający się z clenia i straszny moment upadku.

Jakimś cudem nie zginęłam. Byłam posiniaczona, byłam obolała i słaba, ale żyłam. Gdzie ja jestem? Z trudem uniosłam głowę i rozejrzałam się dookoła. Znajdowałam się w niewielkim pokoiku o ścianach z surowego drewna, zawieszonych skórami zwierząt i najprzeróżniejszymi kłami. Leżałam na prymitywnej pryczy, także pokrytej skórami. Moja lewa ręka była w bandażach. Czułam jej sztywność. W pierwszej chwili wydawało mi się, że jestem sama, później jednak zauważyłam sylwetkę mężczyzny siedzącego między pryczą a źródłem światła, z głową zwróconą w stronę okna. Siedział nieruchomo, niczym wyrzeźbiony w drewnie. Zarys czaszki z krótko przyciętymi ciemnymi włosami wydał mi się znajomy, jednak nie odważyłam się uwierzyć w ten obraz, podsuwany mi pewnie przez wyobraźnię. Mężczyzna odwrócił głowę. Wstrzymałam oddech. To był on, Harry Rayburn z krwi i kości!

Podniósł się i podszedł do mnie.

- I co, lepiej? - zapytał z zabawnym zakłopotaniem.

Nie miałam siły odpowiedzieć. Łzy spływały mi po twarzy. Ciągle byłam słaba, lecz obiema rękami chwyciłam jego dłoń. Och, gdybym tak mogła umrzeć teraz, kiedy stał przy mnie, spoglądając na mnie tak jak nigdy przedtem!

- Anno, nie płacz, proszę, nie płacz. Tutaj jesteś bezpieczna, nikt cię już nie skrzywdzi.

Odszedł na chwilę, sięgnął po kubek i podał mi.

- Wypij trochę mleka.

Wypiłam posłusznie. Harry przemawiał do mnie jak do dziecka.

- Nie pytaj teraz o nic. Śpij. Pójdę sobie, jeśli chcesz.

- Nie - powiedziałam gwałtownie - nie, nie!

- Więc zostanę.

Przysunął niewielki taboret i usiadł obok mnie. Jego dłoń spoczywała na mojej. Tak ukojona, zapadłam ponownie w sen.

Wtedy musiał być wieczór, teraz, gdy obudziłam się ponownie, słońce stało wysoko na niebie. Byłam w izbie sama, jednak gdy tylko się poruszyłam, pojawiła się przy mnie stara Murzynka, brzydka jak noc. Uśmiechała się zachęcająco. Przyniosła miednicę z wodą i pomogła mi umyć twarz i ręce. Podała mi ogromny talerz zupy, którą zjadłam do ostatniej kropelki. Zadałam jej mnóstwo pytań, lecz ona tylko szczyrzyła zęby w uśmiechu, kiwała głową i mówiła coś w gardłowym narzeczu. Najwidoczniej nie знаła angielskiego.

Nagle wstała i z respektem odsunęła się na bok. Do chaty wszedł Harry Rayburn. Dał jej znak, że może odejść. Wyszła, zostawiając nas samych. Harry uśmiechnął się do mnie.

- Dzisiaj naprawdę lepiej.

- Tak, choć ciągle jestem oszołomiona. Gdzie ja jestem?

- Na niewielkiej wyspie na Zambezi, mniej więcej cztery mile w górę od Wodospadu Wiktorii.

- Czy... czy moi przyjaciele wiedzą, że tu jestem? Potrząsnął głową.

- Trzeba ich zawiadomić.

- Oczywiście, jeśli chcesz, ale ja na twoim miejscu poczekałbym, aż będziesz silniejsza.

- Dlaczego?

Nic nie odpowiedział, więc pytałam dalej.

- Jak długo tu jestem?

Jego odpowiedź wprawiła mnie w osłupienie.

- Prawie miesiąc.

- Och - zawołałam - muszę natychmiast zawiadomić Zuzannę. Pewnie umiera z niepokoju.

- Kto to jest Zuzanna?

- Pani Blair. Byłam z nią, z sir Eustachym i z pułkownikiem Race w hotelu. Ale to pewnie wiesz.

Znowu potrząsnął głową.

- Nie wiem nic poza tym, że znalazłem cię zawieszoną w rozwidleniu drzewa, ze zwichniętym ramieniem.

- A gdzie rosło to drzewo?

- Tuż nad przepaścią. Gdyby twoje ubranie nie zahaczyło o gałęzie, z pewnością roztrzaskałabyś się na kawałki.

Zadygotałam na samą myśl o tym.

- Mówisz, że nie wiedziałeś, iż byłam w hotelu. A co z listem? - zapytałam.

- Jakim listem?

- Przysłałeś mi wiadomość, żebym spotkała się z tobą na polanie.

Wlepił we mnie wzrok.

- Nie przysyłałem ci żadnego listu.

Czułam, że zaczynam się czerwienić aż po korzonki włosów. Na szczęście Harry zdawał się tego nie zauważać.

- Więc jaki to szczęśliwy traf sprawił, że akurat znalazłeś się na miejscu? - zapytałam, starając się, aby mój głos zabrzmiał nonszalancko. - A tak w ogóle, to co ty właściwie robisz w rym zakątku świata?

- Mieszkam tutaj - odparł po prostu.

- Na wyspie?

- Tak. Sprowadziłem się tu zaraz po wojnie. Czasami obwożę łodzią gości hotelowych. Utrzymanie kosztuje mnie niewiele, więc najczęściej robię to, na co mam ochotę.

- Czy mieszkasz sam?

- Zapewniam cię, że nie tęsknię za towarzystwem - odparł chłodno.

- Wobec tego przepraszam, że narzuciłam ci moje - powiedziałam. - Choć zdaje się, że w tej sprawie niewiele miałam do powiedzenia.

Ku mojemu zdumieniu w jego oczach pojawił się figlarny błysk.

- Absolutnie nic. Po prostu zarzuciłem cię na ramię niczym worek z węglem i poniosłem prosto do łodzi. Zupełnie jak neandertalczyk.

- Jednak z innych powodów - wyrwało mi się.

Teraz on się zaczerwienił. Jego twarz pokryła się silnym rumieńcem.

- Nie wytłumaczyłeś mi jeszcze, jak to się stało, że znalazłeś się w tym miejscu w dogodnym dla mnie czasie - powiedziałam szybko, żeby zatuszować jego zmieszanie.

- Nie mogłem spać. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Ciągłe wydawało mi się, że lada chwila coś się wydarzy. W końcu wziąłem łódź, przepłynąłem na ląd i poszedłem w stronę wodospadu. Byłem właśnie przy palmowym jarze, kiedy usłyszałem twój krzyk.

- Dlaczego nie szukałeś pomocy w hotelu, tylko zabrałeś mnie tutaj? - zapytałam.

Znowu poczerwieniał.

- Domyślałem się, że odbierasz to jako niewybaczalną samowolę z mojej strony. Ale chyba do tej pory nie uświadomiłaś sobie, że grozi ci niebezpieczeństwo. Miałem zawiadomić twoich przyjaciół? Ładni mi przyjaciele, którzy pozwolili na to, byś dała się zwabić w śmiertelną pułapkę. Nie, przysiągłem sobie, że sam się tobą zaopiekuję. Zrobię to lepiej niż ktokolwiek inny. Na tej wyspie nie pojawia się nigdy żywa dusza. Poprosiłem starą Batani, którą wyleczyłem kiedyś z gorączki, aby miała o ciebie staranie. Batani jest lojalna, nie piśnie ani słowa. Mógłbym cię tu trzymać miesiącami i nikt by się o tym nie dowiedział.

Mógłbym cię tu trzymać miesiącami i nikt by się o tym nie dowiedział. Co za wspaniałe słowa!

- Masz rację - powiedziałam spokojnie. - Nie będę nikogo zawiadamiała. Dzień czy dwa niepokoju więcej naprawdę nie robi różnicy. Oni nie są moimi przyjaciółmi, jak początkowo sądziłam. To w końcu zwykli znajomi, nawet Zuzanna. Ktokolwiek napisał ten list, musiał sporo wiedzieć. To nie mogło być dzieło kogoś z zewnątrz.



Udało mi się powiedzieć o liście i nie zaczerwieniść się przy tym.

- Gdybyś posłuchała mojej rady... - zaczął z wahaniem.

- Nie sędzę, abym się jej podporządkowała - odparłam otwarcie - ale posłuchać mogę.

- Czy ty zawsze robisz to, na co masz ochotę, Anno Beddingfeld?

- Najczęściej - odparłam ostrożnie. Każdemu innemu odpowiedziałabym: „zawsze”.

- Współczuję twojemu przyszłemu mężowi - powiedział nieoczekiwanie.

- Niepotrzebnie - odcięłam się. - Nie wyjdę za mąż za nikogo, dopóki nie będę do szaleństwa zakochana. A nic tak kobiety nie cieszy, jak robienie tego, czego nie lubi, po to, aby zadowolić mężczyznę, którego kocha. Im bardziej jest uparta, tym chętniej to robi.

- Nie zgadzam się. Najczęściej jest zupełnie odwrotnie. - W jego głosie brzmiało lekkie szyderstwo.

- Niestety! - zawołałam z ogniem. - Dlatego jest tak wiele nieszczęśliwych małżeństw. To wszystko wina mężczyzn. Albo spełniają każdą zachciankę swoich żon, przez co kobiety ich lekceważą, albo są potwornie egoistyczni i domagają się, aby wszystko przebiegało tak, jak oni chcą, i nigdy nie powiedzą słowa „dziękuję”. Mądrzy mężowie kierują swoimi żonami w ten sposób, że robią one wszystko, czego oni się domagają, ale zawsze im potem dziękują. Kobiety uwielbiają się poświęcać, nie znoszą jednak, jeśli się nie docenia ich ofiary. Z drugiej strony, mężczyźni nie cenią sobie kobiet, które są zbyt nadskakujące i za wszelką cenę usiłują się przypodobać. Kiedy wyjdę za mąż, będę się zachowywała jak prawdziwa diablica, ale od czasu do czasu, kiedy mój mąż będzie się tego najmniej spodziewał, pokażę mu, że potrafię być także aniołem.

Harry roześmiał się szczerze.

- Co to za życie? Niczym pies z kotem.

- Zakochani zawsze się kłócą - zapewniłam go. - Kłócą się, ponieważ się nie rozumieją. A kiedy już rozumieją się nawzajem, przestają się kochać.

- A czy jest też na odwrót? Czy ludzie, którzy się kłócą, zawsze są w sobie zakochani?

- Ja... ja nie wiem - powiedziałam nagle skonfundowana. Harry odwrócił się w stronę paleniska.

- Zjesz jeszcze trochę zupy? - zapytał normalnym tonem.

- Tak, proszę. Jestem taka głodna, że mogłabym pożreć nawet hipopotama.

- To dobry znak.

Przyglądałam mu się, jak poprawiał ogień.

- Gdy tylko wstanę, będę dla ciebie gotowała - obiecałam.

- Nie sądzę, abyś znała się na gotowaniu.

- Potrafię odgrzać zawartość puszki równie dobrze jak ty - odcięłam się, wskazując rząd puszek stojących na półce nad kominkiem.

- Trafiony! - zawołał i roześmiał się.

Jego twarz przybrała szczęśliwy, niemal chłopięcy wyraz. Zjadłam zupę ze smakiem. Zwróciłam mu uwagę, że nie powiedział w końcu, co mi właściwie radzi.

- Ach tak. Na twoim miejscu zostałbym tutaj, dopóki zupełnie nie wydobrzejesz. Twoi wrogowie są przekonani, że nie żyjesz. Nie dziwi ich, że nie odnaleziono ciała. Spodziewają się, że prąd roztrzaskał je o skały.

Zadrżałam.

- To by oznaczało, że się poddam - sprzeciwiłam się przekornie.

- Mówisz jak głupi angielski podłotek.

- Nie jestem podłotkiem! - krzyknęłam z oburzeniem. - Jestem kobietą.

Usiadłam zaczerwieniona. Harry popatrzył na mnie dziwnie. Nie mogłam zrozumieć tego spojrzenia.

- Boże, pomóż mi, jesteś - wymamrotał i wyszedł raptownie.

Mój powrót do zdrowia postępował bardzo szybko. Głównymi obrażeniami, jakich doznałam, było stłuczenie głowy i silnie wykręcone ramię. Harry początkowo obawiał się nawet złamania, jednak dokładne oględziny wykazały, że to tylko zwichnięcie. Aczkolwiek długo jeszcze odczuwałam ból w ramieniu, dość szybko odzyskałam władzę w ręce.

To był dziwny okres. Żyliśmy odcięci od całego świata. Byliśmy tylko we dwoje, niczym Adam i Ewa - ale jakaż była różnica! Stara Batani mieszkała wprawdzie z nami, ale ona przecież zupełnie się nie liczyła. Nalegałam, że będę gotować, przynajmniej na tyle, na ile pozwoli moja ręka. Harry sporo przebywał poza domem, jednak długie godziny spędzaliśmy razem, wylegując się w cieniu palm, rozmawiając i sprzecząc się. Dyskutowaliśmy na wszystkie możliwe tematy, kłócąc się i godząc na nowo. Wiedliśmy ciągłe spory, a jednak narodziła się między nami przyjaźń - prawdziwa i trwała przyjaźń, o jakiej nigdy nie sądziłam, że jest w ogóle możliwa. Przyjaźń - i coś więcej.

Zbliżał się czas, kiedy powinnam odjechać. Uświadamiałam to sobie z ciężkim sercem. Czy Harry pozwoli mi tak odejść bez jednego słowa, bez jednego znaku? Często popadał w długie,

posępne milczenie. Czasami zrywał się gwałtownie i gdzieś znikał. Pewnego wieczoru nastąpił kryzys. Siedzieliśmy przed drzwiami chaty, skończywszy nasz niewyszukany posiłek. Słońce właśnie zachodziło.

Szpilki do włosów stanowiły jedną z tych niezbędnych rzeczy, których Harry nie był w stanie mi zapewnić. Gdy siedziałam z podbródkiem wspartym na złożonych dłoniach, pogrążona w myślach, moje czarne i proste włosy sięgały aż do kolan. Czułam raczej, niż widziałam, że Harry mi się przygląda.

- Anno, wyglądasz jak czarownica - powiedział w końcu. W jego głosie brzmiała jakaś nowa nuta, której nigdy przedtem nie udało mi się uchwycić.

Wyciągnął rękę i dotknął moich włosów. Zadrżałam. Nagle zerwał się na równe nogi, z głośnym przekleństwem na ustach.

- Musisz stąd wyjechać. Jutro, słyszysz? - zawołał. - Ja... ja już tego dłużej nie zniosę. W końcu jestem tylko mężczyzną. Musisz stąd odejść, Anno, po prostu musisz. Przecież nie jesteś głupia. Sama wiesz, że tak dalej być nie może.

- Wiem - odparłam wolno. - Ale czyż to właśnie nie jest szczęście?

- Szczęście? To jest piekło!

- Aż tak źle?

- Czemu mnie dręczysz? Dlaczego kpisz sobie ze mnie? Dlaczego tak mówisz, kryjąc śmiech pod zasłoną włosów?

- Nie śmiałam się i nie kpiłam sobie z ciebie. Jeśli chcesz, abym odeszła, odejdę. Ale jeśli pragniesz, abym została - zostanę.

- Tylko nie to! - zawołał porywczo. - Tylko nie to. Nie kuś mnie, Anno. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, kim ja naprawdę jestem? Zwykłym kryminalistą, człowiekiem poszukiwanym przez policję. Tutaj znany jestem pod nazwiskiem Harry Parker i wszyscy sądzą, że odbywałem wędrowkę w głąb kraju. Jednak pewnego dnia ktoś może dodać dwa do dwóch i wtedy wszystko się skończy. Anno, ty jesteś taka młoda i taka piękna. Twoja uroda może przyprawić mężczyznę o szaleństwo. Wszystko jeszcze przed tobą - życie, miłość, wszystko. Moje życie jest skończone, obrócone w gruzy, pozostał po nim tylko osad goryczy.

- Jeśli mnie nie chcesz...

- Przecież wiesz, że cię pragnę. Wiesz, że oddałbym swoją duszę, by móc cię porwać w ramiona i trzymać tutaj, z dala od całego świata. Wodzisiz mnie na pokuszenie, Anno. Ty, z twoimi długimi włosami czarownicy, z twoimi oczami, które mienią się złotem, zielenią i brązem, i nigdy nie przestają się śmiać, nawet gdy twoje usta pozostają poważne. Muszę cię ocalić zarówno przed tobą, jak i przed sobą samym. Odjedziesz dziś wieczorem. Najpierw udasz się do Beiry...

- Nie pojedę do Beiry - przerwałam mu.

- Owszem, pojedziesz. Pojedziesz, nawet gdybym musiał cię tam odwieźć i własnoręcznie wsadzić na statek. Czy tobie się wydaje, że ja wszystko mogę znieść? Nie chcę się budzić po nocach, nękany lękiem, że znowu mają cię w swoich rękach. Nie można wiecznie liczyć na łut szczęścia. Musisz wrócić do Anglii, być szczęśliwa i wyjść za mąż.

- Za jakiegoś solidnego mężczyznę, który zapewni mi opiekę?

- Lepiej to niż... wieczne nieszczęście.

- A co z tobą? Skrzywił się ponuro.

- Mam tu jeszcze coś do załatwienia. Nie pytaj nawet, co to jest. Zresztą ośmielę się przypuścić, że zgadłaś. Powiem ci jedno. Albo uda mi się oczyścić moje nazwisko z hańby, albo zginę podczas tej próby. Przedtem jednak wycisnę ostatni dech z tego przeklętego łotra, który usiłował pozbawić cię życia tamtej nocy.

- Musimy być sprawiedliwi - odparłam. - On mnie przecież nie popchnął.

- Nie musiał. Miał lepszy plan. Po twoim wypadku zbadałem tamto miejsce. Na pozór wszystko było w porządku, ale pewne ślady wskazywały na to, że ktoś zmienił położenie kamieni wyznaczających ścieżkę. Na samym skraju przepaści rosną wysokie krzewy. Ktoś obluzował głązy pod nimi, tak że choć wydawało ci się, że stąpasz po stałym gruncie, w rzeczywistości biegłaś prosto w przepaść. Boże, miej w opiece tę kanalię, jeśli kiedykolwiek wpadnie w moje ręce.

Umilkł na chwilę, a potem podjął normalnym tonem.

- Nigdy przedtem o tym nie rozmawialiśmy, ale teraz nadszedł czas. Chciałbym, abyś poznała całą historię od samego początku.

- Jeśli wspomnienia przeszłości sprawiają ci ból, nic nie mów - powiedziałam miękko.

- Chciałbym, żebyś wiedziała. Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek będę opowiadał komuś o tamtym fragmencie mojego życia. Zabawne, jakie figle płata nam los.

Milczał przez chwilę. Słońce już zaszło i aksamitna czerń afrykańskiej nocy otuliła nas niczym płaszczem.

- Część historii znam - odezwałam się łagodnie.

- Co wiesz?

- Wiem, że naprawdę nazywasz się Harry Lucas. Zawahał się, nie patrząc w moją stronę, tylko wprost przed siebie. Nie miałam pojęcia, o czym może w tej chwili myśleć. Szarpnął głową, jakby godząc się z jakąś nie wypowiedzianą na głos decyzją, i rozpoczął opowiadanie.

## XXVI

- Nie mylisz się, naprawdę nazywam się Harry Lucas. Mój ojciec był emerytowanym wojskowym, który osiedlił się w Rodezji na farmie. Umarł, kiedy byłem na drugim roku w Cambridge.

- Kochałeś go? - zapytałam nagle.

- Sam nie wiem.

Potem zaczerwienił się i wyrzucił z siebie gwałtownie:

- Dlaczego tak powiedziałem? Kochałem mojego ojca. Podczas naszego ostatniego spotkania padło między nami mnóstwo gorzkich słów. Wielokrotnie kłóciliśmy się na temat mojej lekkomyślności i moich długów, ale przecież kochałem staruszka. Czuję to dopiero teraz - gdy jest już za późno. - Teraz mówił spokojniej. - W Cambridge poznałem mojego przyjaciela.

- Młodego Eardsleya?

- Tak, młodego Eardsleya, którego ojciec, jak ci wiadomo, był jednym z najbogatszych ludzi w Południowej Afryce. Od samego początku zapanowało między nami pełne zrozumienie. Obaj kochaliśmy Afrykę, obu nas pociągały zakątki nie tknięte jeszcze ludzką stopą. Po opuszczeniu Cambridge Eardsley pokłócił się z ojcem. Staruszek dwukrotnie już płacił jego długi i odmówił zrobienia tego po raz kolejny. Doszło między nimi do okropnej sceny. Sir Laurence oświadczył, że jego cierpliwość się wyczerpała i że od tej pory nie chce mieć z synem nic wspólnego. Chłopak ma wreszcie zacząć żyć na własny rachunek. Jaki był tego rezultat - wiesz. Dwaj młodzi ludzie wyjechali do Ameryki Południowej w poszukiwaniu diamentów. Nie będę się rozwodził nad szczegółami tej wyprawy. To był wspaniały okres, pełen trudów i wyrzeczeń, ale to było prawdziwe życie - codzienna walka o przetrwanie, z dala od utartych szlaków, z najlepszym przyjacielem u boku. Zawiązała się między nami tak silna więź, że tylko śmierć mogłaby ją przerwać. Jak ci już zdążył opowiedzieć pułkownik Race, nasze wysiłki zostały uwieńczone powodzeniem. W samym sercu dżungli Gujany Brytyjskiej odkryliśmy nowe Kimberley. Nie potrafię ci wprost opisać naszej radości. Nie chodziło nam wcale o bogactwo - widzisz, dla Eardsleya pieniądze nie były niczym nowym, wiedział też, że po śmierci ojca będzie milionerem, Lucas zaś zawsze był biedny i przyzwyczał się do tego. Rozpierała nas radość samego odkrycia.

Harry umilkł na chwilę i dodał niemal przepaszającym tonem:

- Nie masz nic przeciwko temu, że opowiadam ci to w taki sposób, jakby mnie przy tym nie było? Teraz, kiedy spoglądam w przeszłość i widzę tamtych dwóch młodzieńców, niemal zapominam o tym, że jednym z nich był obecny Harry Rayburn.

- Mów tak, jak ci najwygodniej - odparłam. Harry kontynuował:

- Przyjechaliśmy do Kimberley, dumni z naszego sukcesu. Przywieźliśmy ze sobą najpiękniejsze kamienie, aby pokazać je ekspertom. I wtedy, w jednym z hoteli w Kimberley spotkaliśmy ją...

Zesztywniałam lekko, a moja ręka, spoczywająca na framudze drzwi, zacisnęła się odruchowo.

- Nazywała się Anita Grünberg i była aktorką. Była młoda i niezwykle piękna. Urodziła się w Południowej Afryce, ale jej matka była - zdaje się - Węgierką. Roztaczała wokół siebie aurę tajemniczości, a to oczywiście podziałało na dwóch młodzieńców, którzy dopiero co powrócili z dżungli. Anita nie miała trudnego zadania. Obaj zakochaliśmy się w niej na zabój. Po raz pierwszy pojawił się pomiędzy nami jakiś cień, ale nawet to nie zdołało zachwiać naszą przyjaźnią. Każdy z nas był gotów ustąpić miejsca drugiemu, temu, którego by wybrała. Ale jej nie o to chodziło. Później zastanawiałem się czasami, dlaczego nie zdecydowała się na małżeństwo. Przecież jedyny syn sir Laurence'a Eardsleya stanowił doskonałą partię. Prawda była jednak taka, że Anita nie była wolna. Poślubiła jednego z sortowaczy pracujących u De Beerów, w owym czasie jednak nikt o tym nie wiedział. Udawała ogromne zainteresowanie naszym odkryciem, więc opowiedzieliśmy jej wszystko, a nawet pokazaliśmy nasze diamenty. Okazała się prawdziwą Dalilą i świetnie odegrała swoją rolę.

Później wyszła na jaw kradzież u De Beerów. Policja zjawiała się u nas niemal natychmiast. Zarekwirowano nasze diamenty. Początkowo śmialiśmy się z tego - całe oskarżenie wydawało nam się zupełnie absurdalne. Później jednak diamenty zostały okazane w sądzie jako dowód rzeczowy, i bez wątpienia były to te same kamienie, które skradziono De Beerom. Anita Grünberg zniknęła. Dokonała zamiany diamentów bardzo sprytnie. Gdy próbowaliśmy wyjaśnić, że nie są to te same kamienie, które pierwotnie znajdowały się w naszym posiadaniu, po prostu nas wyśmiano.

Sir Laurence Eardsley miał ogromne wpływy. Dzięki niemu zatuszowano całą sprawę. Jednak obaj młodzi ludzie byli zrujnowani i napiętnowani wobec całego świata jako złodzieje. Ich nazwiska zostały okryte hańbą. To złamało serce starego Eardsleya. Odbył długą, bolesną rozmowę z synem, czyniąc mu gorzkie wyrzuty. Powiedział, że uczynił wszystko, aby zmasać hańbę ciężącą na rodzowym nazwisku, od tej pory jednak syn przestaje dla niego istnieć. A ten młody głupiec, zraniony w swojej dumie, stał milcząc pogardliwie, nie usiłując nawet dowieść ojcu swojej niewinności.

W tydzień później wybuchła wojna. Przyjaciele zaciągnęli się razem. Wiesz, co było dalej. Najlepszy przyjaciel, jakiego można sobie wyobrazić, poległ. Poległ dlatego, że z szaleńczą odwagą wychodził naprzeciw największym niebezpieczeństwom. Zginął nie odzyskawszy dobrego imienia, napiętnowany jako złodziej.

Przysięgam ci, Anno, że głównie z jego powodu znenawidziłem wszystkie kobiety. On to bardziej przeżywał niż ja. Ja przez pewien czas byłem w niej do szaleństwa zakochany - chwilami wydawało mi się nawet, że Anita się mnie trochę obawiała - natomiast jego uczucie było spokojniejsze, za to o wiele głębsze. Anita stanowiła dla niego cały wszechświat i jej zdrada zabiła w nim wszelką wolę życia. To było jak wybuch, który go ogłuszył i sparaliżował.

Harry umilkł, by po minucie czy dwóch na nowo podjąć opowieść.

- Jak wiesz, uznano mnie za zaginionego, prawdopodobnie poległego. Nigdy nie starałem się skorygować omyłki. Przybrałem nazwisko Parker i osiedliłem się na tej wyspie, którą znałem już od dawna. Na początku wojny miałem ambitne plany, że kiedyś dowiodę swojej niewinności, potem jednak zrezygnowałem. Czy to miałoby sens, zapytywałem sam siebie. Mój przyjaciel zginął, ani on, ani ja nie mieliśmy żyjących krewnych, którym mogłoby na tym zależeć. Niech zatem już tak zostanie. Prowadziłem tu spokojną egzystencję, ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy, wyzuty z wszelkich uczuć. Teraz dopiero widzę, że był to częściowo skutek przeżyć wojennych. Przedtem nie zdawałem sobie z tego sprawy.

I oto pewnego dnia wydarzyło się coś, co sprawiło, że na nowo odżyłem. Miałem właśnie zabrać towarzystwo z hotelu na przejażdżkę po rzece. Stałem na przystani i pomagałem pasażerom przy wsiadaniu do łodzi. Nagle jeden z nich wydał okrzyk przestachu. Naturalnie zainteresowało mnie to. Był to niski, szczupły, brodaty mężczyzna. Wpatrywał się we mnie z takim napięciem, jakby zobaczył ducha. Jego wzburzenie wzbudziło moją ciekawość. Zapytałem o niego w hotelu. Dowiedziałem się, że nazywa się Carton i jest sortowaczem diamentów u De Beerów. Dawne poczucie krzywdy ogarnęło mnie z całą mocą. Opuściłem wyspę i pojechałem do Kimberley.

Niestety, nie udało mi się dowiedzieć o nim nic więcej. W końcu zdecydowałem, że muszę przycisnąć go do muru. Zabrałem ze sobą rewolwer. Carton wyglądał mi na tchórza. Gdy tylko stanęliśmy twarzą w twarz, zorientowałem się, że się mnie boi. Szybko zmusiłem go do tego, aby powiedział wszystko, czego żądałem. Był wmieszany w tamtą kradzież, a Anita Grünberg była jego żoną. Widział nas kiedyś przelotnie, gdy jedliśmy z nią obiad w hotelu. Przeczytał w gazetach o mojej śmierci i gdy zupełnie nieoczekiwanie zobaczył mnie przy wodospadzie, doznał niemal szoku. On i Anita pobrali się bardzo młodo i Anita dość szybko go opuściła. Powiedział mi, że była zamieszana w różne ciemne sprawy. Wtedy też po raz pierwszy usłyszałem o Pułkowniku. Sam Carton nigdy nie brał w niczym udziału, poza tą jedną jedyną sprawą. Tak mnie przynajmniej zapewniał. Byłem skłonny mu uwierzyć. Z pewnością nie stanowił materiału na przestępcę, był ulepiony z innej gliny.

Ciągle miałem wrażenie, że nie powiedział wszystkiego. W końcu zagroziłem mu rewolwerem. Oznajmiłem, że go zaraz zastrzelę, że teraz jest mi już wszystko jedno, co się ze mną stanie. Śmiertelnie przerażony, opowiedział mi dalszy ciąg całej historii. Anita Grünberg nie do końca ufała Pułkownikowi. W tajemnicy przed nim zatrzymała sobie niektóre diamenty zabrane nam z hotelu. Carton, wykorzystując swoje zawodowe umiejętności, poradził jej, które ma zachować. Gdyby kamienie kiedykolwiek ujrzały światło dzienne, eksperci De Beerów od razu musieliby przyznać, że te diamenty nigdy nie przeszły przez ich ręce. Różniły się od wydobywanych przez nich kształtem i barwą. W ten sposób moja historia o zamianie diamentów uzyskałaby potwierdzenie, a podejrzenia poszłyby we właściwym kierunku. Wywnioskowałem, że w przeciwieństwie do swojej zwykłej praktyki, tym razem Pułkownik osobiście brał udział w kradzieży, dlatego też Anita była tak usatysfakcjonowana, mając go w rękę. Carton zaproponował mi teraz, abym zawarł układ z Anita Grünberg czy też Nadiną, jak się sama nazwała. Przypuszczał, że za odpowiednią sumę Anita będzie skłonna rozstać się z diamentami i zdradzić swojego dotychczasowego pracodawcę. Carton był gotów natychmiast do niej zatelegrafować.

Ciągle byłem wobec niego nieufny. Z pewnością łatwo go było zastraszyć. Przerazony, mógł mi naopowiadać także wiele kłamstw i oddzielenie ziarna od plew nie byłoby wcale takie proste. Wróciłem do hotelu i czekałem. Następnego dnia wieczorem uznałem, że musiał już otrzymać odpowiedź na swój telegram. Poszedłem do niego do domu i dowiedziałem się, że pan Carton wyjechał, ale wróci jutro. Natychmiast nabrałem podejrzeń. Na szczęście w samą porę udało mi się dowiedzieć, że miał bilet na „Kilmorden Castle” odpływający za dwa dni z Kapsztadu do Anglii. Miałem dość czasu, aby złapać ten sam statek.

Nie chciałem alarmować Cartona, pokazując mu się na pokładzie. W Cambridge wielokrotnie grywałem w teatrze studenckim, tak że bez większych trudności przeobraziłem się w masywnego, brodatego mężczyznę w średnim wieku. Unikałem też Cartona, jak tylko mogłem, spędzając większość czasu w swojej kabinie, pod pozorem złego samopoczucia.

W Londynie mogłem go śledzić także bez większego trudu. Udał się prosto do hotelu i nie wychodził stamtąd aż do następnego dnia, kiedy to opuścił hotel krótko przed pierwszą. Poszedłem za nim. Pojechał prosto do agenta handlu nieruchomościami w Knightsbridge. Wypytywał o posiadłości położone nad Tamizą. Stałem przy sąsiednim biurku i również pytałem o różne domy. Nagle do agencji weszła Anita Grünberg, Nadina, czy jak ją jeszcze nazwiemy. Dumna, wyniosła i niemal tak piękna jak przed laty. Boże, jak ja jej nienawidziłem. Ta kobieta zniszczyła moje życie i życie kogoś o wiele bardziej wartościowego niż ja. W tamtej minucie naprawdę mógłbym zacisnąć ręce na jej szyi i po prostu wydusić z niej życie. Przed oczami migały mi czerwone plamy. Ledwo rozumiałem, co agent do mnie mówi. Słyszałem tylko jej głos, wysoki i czysty, z przesadnie cudzoziemskim akcentem. „Mill House, posiadłość sir Eustachego Pedlera. Chyba będzie mi to odpowiadało. W każdym razie pojedę tam i obejrzę dom.”

Urządник wypisał jej upoważnienie i wyszła swoim zuchwałym krokiem. Ani przez moment nie dała po sobie poznać, że zna Cartona, lecz byłem pewien, że to spotkanie zostało ukartowane. Nie wiedziałem wtedy, że sir Eustachy Pedler przebywa w Cannes, sądziłem więc, że komedia z poszukiwaniem odpowiedniego domu stanowi pretekst do spotkania właśnie z nim. Wiedziałem, że był w Południowej Afryce, w czasie gdy popełniono kradzież u De Beerów, a nie znając go osobiście, natychmiast doszedłem do wniosku, że to pewnie on jest owym tajemniczym Pułkownikiem, o którym tyle słyszałem.

Ruszyłem trop w trop za moimi podejrzanymi. Nadiną poszła w stronę hotelu „Hyde Park”. Przyśpieszyłem kroku i wszedłem tam za nią. Skierowała się wprost do restauracji. Doszedłem do wniosku, że nie będę ryzykował, gdyż mogłaby mnie rozpoznać, i postanowiłem udać się za Cartonem. Miałem nadzieję, że idzie po diamenty. Pomyślałem, że gdybym stanął nagle przed nim, w chwili gdy się tego najmniej spodziewa, może wreszcie wydusiłbym z niego całą prawdę. Poszedłem za nim na stację metra Hyde Park Corner. Stał na samym końcu peronu. W pobliżu była jeszcze jakaś dziewczyna, poza tym żywej duszy. Zdecydowałem, że podejść do niego teraz. Wiesz, co było dalej. W nagłym szoku na widok człowieka, o którym sądził, że jest daleko stąd, w Południowej Afryce, stracił głowę i zrobił ten fatalny krok do tyłu, prosto na tory. Zawsze był tchórzem. Udając, że jestem lekarzem, przeszukałem jego kieszenie. Znalazłem portfel z kilkoma banknotami, jeden czy dwa zupełnie nieważne listy, rolkę filmu, którą potem musiałem gdzieś zapodziać, i kawałek papieru z zapisanym terminem spotkania, dwudziestego drugiego na pokładzie „Kilmorden Castle”. Śpieszyłem



się, pragnąc jak najszybciej opuścić stację metra, zanim mnie ktoś zdemaskuje. Prawdopodobnie wtedy upuściłem gdzieś tę kartkę. Na szczęście zapamiętałem zapisaną na niej datę.

Wszedłem do najbliższej toalety i pozbyłem się charakterystyki. Bałem się, że mógłbym zostać aresztowany za okradzenie zmarłego. Potem wróciłem do hotelu „Hyde Park”. Nadina właśnie kończyła lunch. Nie będę ci opisywał wszystkich szczegółów, jak ją śledziłem w drodze do Marlow. W każdym razie weszła do domu, a ja podążyłem za nią, tłumacząc kobiecie ze stróżówki, że jesteśmy razem.

Harry urwał. Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy.

- Anno, uwierz mi. Musisz mi uwierzyć. Klnę się przed Bogiem, że mówię prawdę. Wszedłem do tamtego domu za nią z żądzą mordu w sercu. Anita jednak była już martwa. Znalazłem ją w jednym z pomieszczeń na piętrze. Boże, to było okropne. Nie żyła. A ja wszedłem tam najdalej w trzy minuty po niej. W całym domu nie było śladu niczyjej obecności! Oczywiście natychmiast uświadomiłem sobie, w jak okropnym położeniu się znalazłem. Jednym mistrzowskim pociągnięciem szantażowany pozbył się szantażystki i jednocześnie znalazł ofiarę, której ta zbrodnia zostanie przypisana. Z pewnością było to dzieło Pułkownika. Po raz drugi padłem ofiarą jego machinacji. Wlałem w pułapkę jak głupiec.

Prawie nie pamiętam, co było dalej. Jakimś cudem udało mi się opuścić dom. Wychodząc, starałem się zachowywać zupełnie normalnie. Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że niebawem morderstwo zostanie wykryte, a mój rysopis rozesłany po całym kraju.

Przez kilka najbliższych dni nie odważyłem się uczynić żadnego ruchu. Wreszcie nadarzyła się pewna szansa. Udało mi się podsłuchać na ulicy rozmowę dwóch dżentelmenów w średnim wieku. Jednym z nich okazał się sir Eustachy Pedler. Od razu przyszedł mi do głowy pomysł, by zaangażować się jako jego sekretarz. Fragmenty rozmowy, które usłyszałem, dostarczyły pewnych wskazówek. Nie byłem już taki przekonany, że sir Eustachy rzeczywiście jest Pułkownikiem. Jego dom mógł być wybrany na miejsce spotkania zupełnie przypadkowo albo z jakichś powodów, których nie potrafiłem dociec.

- Czy wiesz, że Guy Pagett był w Marlow w dniu morderstwa? - przerwałam mu.

- To by pasowało. Sądziłem, że był w Cannes z sir Eustachym.

- Miał być wtedy we Florencji, ale z pewnością tam nie dotarł. Jestem przekonana, że był w Marlow, choć oczywiście nie mam na to żadnych dowodów.

- Nigdy nie podejrzewałem Pagetta, dopóki nie usiłował wypchnąć cię za burtę. Ten człowiek jest znakomitym aktorem.

- Prawda?

- To tłumaczy wybór Mill House. Pagett mógł tam wejść i wyjść zupełnie niepostrzeżenie. Oczywiście nie sprzeciwiał się mojej podróży z sir Eustachym. Nie chciał, aby mnie natychmiast

złapano. Widzisz, sędzę, że Nadina nie przyniosła ze sobą diamentów na to spotkanie, tak jak na to liczył. Być może od początku były one w posiadaniu Carton, który ukrył je gdzieś na pokładzie statku. Może Pułkownik pomyślał, że dzięki mnie uda mu się uzyskać jakieś wskazówki. Jak długo Pułkownik nie miał w ręku tych kamieni, nie mógł czuć się bezpieczny. Stąd jego starania, aby je zdobyć za wszelką cenę. Gdzie jednak ten diabelny Carton je schował - o ile w ogóle je schował - tego doprawdy nie wiem.

- To już inna historia - powiedziałam. - Moja historia, którą zamierzam ci teraz opowiedzieć.

## XXVII

Harry słuchał uważnie, podczas gdy ja opowiadałam mu o wszystkich wydarzeniach, które tu opisałam. Najbardziej zaskoczył go fakt, że diamenty znajdowały się teraz w moim posiadaniu, a raczej w posiadaniu Zuzanny. Nigdy by tego nie podejrzewał. Oczywiście wysłuchawszy jego opowieści zrozumiałam, na czym polegał plan Carton czy raczej Nadiny, gdyż nie wątpiłam, że to ona była jego autorką, a nie Carton. Bez względu na to, jaką taktykę Pułkownik zastosuje wobec niej i jej męża, absolutnie nie zdoła odzyskać diamentów. Miejsce ich przechowywania znane jest tylko Nadinie i Cartonowi. Pułkownik nigdy by się nie domyślił, że zdecydowali się powierzyć diamenty stewardowi na statku oceanicznym!

Uwolnienie Harry'ego od zarzutu kradzieży wydawało się sprawą oczywistą. Natomiast oskarżenie o morderstwo paraliżowało wszelkie nasze działania. W obecnej sytuacji Harry nie mógł wystąpić publicznie, by dowieść swojej niewinności.

Ciągle powracaliśmy do zasadniczego pytania, kto jest Pułkownikiem. Czy jest nim Guy Pagett, czy też nie?

- Gdyby nie jedna kwestia, stawiałbym na niego - powiedział Harry. - Jest niemal pewne, że Pagett zamordował Anitę Grünberg w Marlow, co zdaje się potwierdzać tezę, iż to on jest Pułkownikiem, gdyż sprawy Anity Pułkownik z pewnością nie zleciłby żadnemu ze swoich podwładnych. Przeciw tej teorii przemawia jednak próba usunięcia cię z drogi w dniu twojego przyjazdu tutaj. Sama widziałas, że Pagett pozostał w Kapsztadzie. W żaden sposób nie dałby rady dotrzeć do wodospadu przed następną środą. Jest też mało prawdopodobne, by miał tu swoich ludzi. Plan Pułkownika zakładał rozprawienie się z tobą jeszcze w Kapsztadzie. Mógłby oczywiście zadepeszować do któregoś ze swoich podwładnych w Johannesburgu, ten zaś miałby szansę złapać pociąg do Rodezji w Mafeking. Taka depesza jednak musiałaby zawierać bardzo szczegółowe instrukcje, umożliwiające napisanie tego sfałszowanego listu.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Potem Harry kontynuował powoli:

- Powiedziałaś, że gdy opuszczałaś hotel, pani Blair spała, i że słyszałaś, jak sir Eustachy dyktuje coś pani Pettigrew. A gdzie był wtedy pułkownik Race?

- Nigdzie go nie widziałam.

- Czy miałby on jakieś podstawy, żeby przypuszczać, że ty i ja jesteśmy w przyjaźni?

- Miałby - odparłam powoli, przypominając sobie naszą rozmowę w drodze z Matopos. - On ma bardzo władczą osobowość - mówiłam dalej - ale jakoś nie wyobrażam go sobie w roli Pułkownika. Zresztą ten pomysł jest absurdalny. On współpracuje z Secret Service.

- Nie wiemy, czy na pewno. Cóż prostszego, jak rozpuścić taką pogłoskę. Nikt jej nie zaprzeczy, plotki się rozejdą i powoli wszyscy zaczną w to wierzyć. Świetna zasłona dla wszystkich podejrzanych machinacji. Czy ty go lubisz, Anno?

- I tak, i nie. Czuję do niego niechęć, a jednocześnie fascynuje mnie. Wiem tylko jedno, że zawsze się go trochę obawiałam.

- Był w Południowej Afryce, w czasie gdy doszło do kradzieży - mówił wolno Harry.

- Ale to przecież on opowiedział Zuzannie wszystko o Pułkowniku i o tym, jak usiłował wpaść na jego trop w Paryżu.

- Kamuflaż, bardzo sprytny kamuflaż.

- No dobrze, a co z Pagettem? Czy byłby on podwładnym Race'a?

- A może - powiedział Harry z namysłem - Pagett w ogóle nie ma z tym nic wspólnego?

- Jak to?

- Zastanów się. Czy słyszałaś wersję Pagetta na temat wydarzeń na pokładzie „Kilmorden Castle” tamtej nocy?

- Tak. Sir Eustachy mi ją powtórzył.

Streściłam wszystko Harry'emu, który wysłuchał mnie z uwagą.

- A więc zobaczył kogoś skradającego się od strony kabiny sir Eustachego i poszedł za nim na pokład. Tak powiedział. A czyja kabina była naprzeciwko kabiny sir Eustachego? Pułkownika Race. Załóżmy, że pułkownik Race wymknął się na pokład, zaatakował cię, zaczął uciekać i natknął się na Pagetta wychodzącego właśnie z salonu. Uderzył go i ukrył się w salonie, zamykając za sobą drzwi. W chwilę później pojawiliśmy się my i znaleźliśmy Pagetta leżącego pod drzwiami. Co o tym sądzisz?

- Zapominasz, że Pagett stanowczo twierdzi, że to ty go uderzyłeś.

- Mógł, odzyskawszy przytomność, zauważyć moją sylwetkę. Czy nie uznałby wtedy za pewnik, że to właśnie ja byłam rym napastnikiem? Zwłaszcza jeśli przypuszczał, że to mnie przedtem śledził.

- Tak, to niewykluczone - powiedziałam wolno. - To by zmieniało całą naszą koncepcję. Jednak są jeszcze inne szczegóły.

- Większość z nich można wyjaśnić. Mężczyzna, który cię śledził w Kapsztadzie, rozmawiał z Pagettem, i Pagett popatrzył na zegarek. Może tamten pytał go po prostu o godzinę?

- Myślisz, że to był przypadek?

- Niezupełnie. Wydaje mi się, że ktoś celowo dąży do pogrążenia Pagetta. Dlaczego na miejsce morderstwa wybrano właśnie Mill House? Załóżmy, że Pagett także przebywał w Kimberley, kiedy dokonano tamtej kradzieży. Może to on zostałby kozłem ofiarnym, gdybym akurat nie pojawił się na scenie w tak dogodnym momencie?

- Więc przypuszczasz, że jest całkowicie niewinny?

- Tak sędzę, choć oczywiście musimy sprawdzić, co robił w Marlow. Jeśli jego wyjaśnienie okaże się prawdziwe, będzie to oznaczało, że jesteśmy na dobrym tropie.

Wstał.

- Już po północy, Anno. Prześpij się trochę. Przed świtem wyruszamy. Musisz złapać pociąg w Livingstone. Mam tam przyjaciela, u którego możesz się ukryć do czasu odjazdu pociągu. Pojedziesz do Bulawayo, a stamtąd do Beiry. Od przyjaciela dowiemy się też, co się dzieje w hotelu i gdzie się teraz podziewają twoi znajomi.

- Beira - powiedziałam tonem zastanowienia.

- Tak, Anno, pojedziesz do Beiry. To jest męska sprawa, zostaw to mnie.

Przedtem, gdy dyskutowaliśmy o całej historii, panujące między nami napięcie opadło, teraz jednak powróciło z dawną siłą. Nie odważyliśmy się nawet spojrzeć na siebie.

- Dobrze - powiedziałam, wchodząc do chaty. Położyłam się na pokrytej skórą pryczy, ale sen nie nadchodził. Słyszałam kroki Harry'ego, chodzącego tam i z powrotem, tam i z powrotem, i tak przez długie godziny. Wreszcie zawołał mnie.

- Anno, wstawaj. Już czas wyruszać.

Wstałam posłusznie i wyszłam przed chatę. Na dworze ciągle było ciemno, lecz wiedziałam, że do świtu już niedaleko.

- Weźmiemy łódkę, nie motorówkę - zaczął Harry, lecz w tym momencie urwał, podnosząc rękę. - Cicho! Co to jest?

Zaczęłam nadśłuchiwać, nic jednak nie usłyszałam. Jego słuch, wyczulony dzięki długiemu pobytowi w dżungli, był lepszy niż mój. W końcu i ja usłyszałam jakiś dźwięk - ciche uderzenia wiosł o wodę, dobiegające z prawego brzegu rzeki i szybko zbliżające się do naszej małej

przystani.

Wyteżyliśmy wzrok, wpatrując się w ciemność. Na powierzchni wody zamigotała błękitnawa poświata. Łódź. Dostrzegliśmy krótki błysk zapalanej zapałki. W jej świetle rozpoznałam sylwetkę rudobrodego Holendra napotkanego w willi w Muizenbergu.

- Szybko, do chaty.

Harry pociągnął mnie za sobą. Zdjął ze ściany dwie strzelby i rewolwer.

- Potrafisz załadować strzelbę?

- Nigdy nie próbowałam. Pokaż mi, jak to się robi.

Bez trudu pojęłam jego instrukcje. Zamknęliśmy drzwi i Harry stanął przy oknie wychodzącym na przystań. Łódź właśnie podchodziła do lądowania.

- Kto tam? - zawołał Harry donośnie.

Jeśli mogliśmy mieć jakieś wątpliwości co do intencji naszych nieproszonych gości, szybko zostały one rozwiane. Przywitał nas grad kul. Na szczęście żadna z nich nie trafiła w cel. Harry uniósł strzelbę. Splunęła morderczo. Usłyszałam jęk i pluśnicie wody.

- To ich trochę ostudzi w zapałach - powiedział z zawziętością w głosie, sięgając po drugą strzelbę. - Stań z tyłu, na miłość boską, i szybko ładuj.

Znowu odezwały się strzelby. Jedna z kul musnęła Harry'ego w policzek. Jego strzały były bardziej celne. Załadowałam strzelbę, zanim jeszcze wyciągnął po nią rękę. Objął mnie ramieniem i pocałował gwałtownie, po czym ponownie odwrócił się do okna. Nagle wydał głośny okrzyk:

- Odpływają! Widocznie mają dosyć. Na wodzie stanowią dla nas świetny cel, zresztą nie orientują się, ilu nas naprawdę jest. Na razie jesteśmy górą, ale oni tu z pewnością wrócą. Musimy być gotowi na ich przyjęcie.

Rzucił strzelbę i odwrócił się do mnie.

- Anno, jesteś piękna, jesteś cudowna. Moja królewna, dzielna jak lew, moja czarnowłosa czarownica.

Porwał mnie w objęcia, okrywając pocałunkami moje włosy, oczy i usta.

- A teraz do roboty - powiedział, puszczając mnie. - Podaj mi tamte puszki z naftą.

Zrobiłam, o co prosił. Przez chwilę przy czymś majstrował, potem wspiął się na dach chaty, niosąc jakieś zawiniątko. Jego nieobecność trwała może minutę, może dwie.

- A teraz do łodzi. Będziemy musieli ją przenieść na drugą stronę wyspy.

Zabrał naftę. Wysłałam z chaty.

- Wracają! - zawołałam cicho. - Widziałam ślad na wodzie od strony przeciwległego brzegu.

Podbiegł do mnie.

- W samą porę. Ale gdzie, u diaska, jest łódź?

Cumy obu łodzi zostały odcięte. Harry zagwizdał cichutko.

- Skarbie, znaleźliśmy się w pułapce. Boisz się?

- Z tobą nie.

- Umierać, nawet we dwoje, wcale nie jest takie zabawne. Proponuję coś lepszego. Nasi wrogowie dysponują teraz dwiema łodziami i mogą wylądować w dwóch miejscach jednocześnie. Chyba już pora na mój efekt sceniczny.

Ledwo skończył mówić, gdy z chaty wystrzelił nagły płomień, oświetlając dwie skulone figurki, tulące się do siebie na dachu.

- Moje stare ubrania, wypchane szmatami. Przez pewien czas nie zorientują się. Chodź, Anno, musimy spróbować bardziej desperackich środków.

Pobiegliśmy do przeciwległego brzegu wyspy. Z tej strony oddzielał ją od lądu jedynie wąski pas wody.

- Musimy przepłynąć. Czy ty w ogóle potrafisz pływać? Zresztą mniejsza z tym, będę cię holował. Z tej strony nie da się podpłynąć łodzią, za dużo tu skał. Natomiast przepłynąć można. No i Livingstone jest położone po tej właśnie stronie rzeki.

- Potrafię pływać, nawet nieźle. W czym tkwi problem, Harry? - Zauważyłam, że twarz ma ponurą. - Rekiny?

- Nie, gąsko, rekiny żyją w morzu. Ale słusznie się domyślasz. Cały kłopot to krokodyle.

- Krokodyle?

- Tak. Staraj się o nich nie myśleć albo módl się, jeśli ci to bardziej odpowiada.

Zanurzyliśmy się w wodę. Moje modlitwy widocznie okazały się skuteczne, gdyż bez przeszkód wylądowaliśmy na brzegu i, ociekając wodą, wspięliśmy się na skarpe.

- A teraz do Livingstone. Droga będzie ciężka, a mokre ubrania bynajmniej nie ułatwią nam przeprawy. No cóż, ruszajmy.

Nocny marsz okazał się koszmarem. Mokra spódnica oblepiała mi nogi, a ostre ciemię

pozostawiły strzępy z moich pończoch. Wreszcie zatrzymałam się, kompletnie wyczerpana. Harry podszedł do mnie.

- Nie martw się, kochanie. Poniosę cię.

Tak właśnie dotarłam do Livingstone, przerzucona przez jego ramię niczym worek z węglem. Jak tego dokonał, nie mam pojęcia. Osiągnęliśmy Livingstone o pierwszym brzasku. Przyjaciół Harry'ego był młodym, może dwudziestoletnim mężczyzną, właścicielem sklepu z pamiątkami. Nazywał się Ned. Może miał jeszcze jakieś inne imię, nie wiem. Nie okazał najmniejszego zdziwienia, widząc Harry'ego ociekającego wodą i trzymającego za rękę podobnie ociekającą wodą kobietę. Mężczyźni są wspaniali.

Nakarcił nas, napoił gorącą kawą, wysuszył nasze ubrania. Owinięci w barwne koce, siedzieliśmy w małym pokoiku na tyłach domu. Tu byliśmy bezpieczni. Ned poszedł dowiedzieć się, dokąd udał się sir Eustachy i reszta towarzystwa, i czy ktoś z nich przebywa jeszcze w hotelu.

Oznajmiłam Harry'emu, że nic mnie nie zmusi do wyjazdu do Beiry. Nawiasem mówiąc, nigdy nie miałam takiego zamiaru, teraz jednak nie ma najmniejszego powodu, abym tam jechała. Nasz plan opierał się na założeniu, że nasi wrogowie są przekonani o mojej śmierci. Teraz wiedzą, że żyję, więc wyjazd do Beiry stracił sens. Mogą spokojnie jechać za mną i tam mnie wykończyć. Nie będę miała nikogo, kto by mnie bronił. W końcu ustaliliśmy, że powinnam dołączyć do Zuzanny, bez względu na to, gdzie teraz przebywa, i całą swoją energię poświęcić uważaniu na siebie. Mam nie szukać przygód ani nie wchodzić w drogę Pułkownikowi. Mam siedzieć cicho u boku Zuzanny i czekać na instrukcje od Harry'ego. Diamenty należy zdeponować w banku w Kimberley na nazwisko Parker.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedziałam w zamyśleniu. - Powinniśmy ustalić jakiś szyfr, żeby nas znowu nie schwytano w pułapkę, podsuwając wiadomość pochodzącą rzekomo od kogoś z nas.

- To proste. Każdy list pochodzący naprawdę ode mnie będzie zawierał skreślone słówko „oraz”.

- Bez skreślenia fałszywy - mruknęłam. - A co z telegramami?

- Telegramy będę podpisywał: Andy.

- Niedługo przyjedzie pociąg - oznajmił Ned, wsuwając głowę przez drzwi i natychmiast cofając ją z powrotem.

Wstałam.

- Czy mam wyjść za mąż za jakiegoś statecznego konkurenta, gdy taki stanie na mej drodze? - zapytałam przekornie.

- Niech cię Bóg broni. Gdybyś poślubiła kogoś innego, skreśliłbym mu kark. A ciebie...

- Tak? - zapytałam w radosnym oczekiwaniu.

- Ciebie stłukłbym na kwaśne jabłko.

- Wspaniałego męża sobie wybrałam - powiedziałam ironicznie. - Przynajmniej nie zmienia zdania w przeciągu jednej nocy.

## XXVIII

*(Wyjątki z dziennika sir Eustachego Pedlera)*

Jak już wspominałem, jestem człowiekiem nade wszystko ceniącym sobie spokój. Tęsknię za niczym nie zmaconym życiem. Niestety, wydaje się, że osiągnięcie takiego stanu nigdy nie będzie mi dane. Zawsze muszę znaleźć się w samym centrum jakichś gwałtownych wydarzeń. Odczułem ogromną ulgę, pozbywszy się wreszcie Pagetta z jego skłonnością do ustawicznego doszukiwania się wszędzie tajemnic. Panna Pettigrew z pewnością jest użytecznym stworzeniem. Co prawda w niczym nie przypomina hurysy, nie można jej jednak odmówić pewnych zalet. W Bulawayo moja wątroba dała znać o sobie, przez co zachowywałem się niczym stary niedźwiedź. W dodatku zakłócono mi nocny odpoczynek. O trzeciej w nocy wtargnął do mojego przedziału nienagannie ubrany młody człowiek, wyglądający niczym bohater komedii o Dzikim Zachodzie, i zapytał, dokąd się udaję. Nie zwracając uwagi na moje pomruki: „herbaty, tylko, na miłość boską, bez cukru”, powtórzył swoje pytanie, podkreślając, że nie jest kelnerem, lecz urzędnikiem imigracyjnym. W końcu udało mi się go zadowolić. Poinformowałem, że nie cierpię na żadną chorobę zakaźną, a motywy mojej podróży do Rodezji są absolutnie czyste. Musiałem mu też podać imiona, nazwisko oraz miejsce urodzenia. Po jego wyjściu usiłowałem złapać jeszcze trochę snu, lecz o piątej trzydzieści znowu obudził mnie jakiś umundurowany gość, przynosząc mi filiżankę płynnego cukru, który nazwał herbatą. Nie cisnąłem tym w niego, choć miałem wielką ochotę. O szóstej przyniósł mi herbatę bez cukru, za to zupełnie zimną. Wreszcie zasnąłem, do cna wyczerpany, by obudzić się tuż przed Bulawayo, gdzie natychmiast obarczono mnie obrzydliwą, drewnianą żyrafą, składającą się wyłącznie z nóg i długiej szyi.

Ale poza tymi drobiazgami wszystko przebiegało spokojnie. Do czasu, dopóki nie przydarzyło się nowe nieszczęście. Było to wieczorem w dniu naszego przyjazdu nad Wodospad Wiktorii. Siedziałem właśnie w salonie, dyktując pannie Pettigrew, gdy nagle pani Blair, w mocno niekompletnym stroju, wtargnęła do mojego pokoju bez jednego słowa przeprosin.

- Gdzie jest Anna? - zawołała.

Rzeczywiście znakomite pytanie. Zupełnie jakby sądziła, że jestem odpowiedzialny za tę dziewczynę. Co sobie pomyśli panna Pettigrew? Że potrafię wyciągnąć o północy Annę Beddingfeld



po prostu z kieszeni? Zaiste kompromitująca sytuacja dla człowieka z moją pozycją.

- Przypuszczam, że w swoim łóżku - odparłem zimno. Odchrząknąłem i popatrzyłem na pannę Pettigrew, dając do zrozumienia, że mam zamiar dyktować dalej. Miałem nadzieję, że pani Blair zrozumie ten przytyk. Nic podobnego. Rozsiadła się na krześle, niecierpliwie machając nogą obutą w ranny pantofel.

- W pokoju jej nie ma, sprawdzałam. Miałam sen, okropny sen. Śniło mi się, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo, więc wstałam i poszłam do niej, aby się upewnić, czy wszystko jest w porządku. W pokoju jej nie zastałam, a łóżko było nietknięte.

Popatrzyła na mnie błagalnie.

- Sir Eustachy, co ja mam teraz robić?

Powstrzymując cisnącą mi się na usta odpowiedź: wrócić do łóżka i nie zawracać sobie głowy byle czym; tak energiczne osoby jak Anna Beddingfeld potrafią doskonale troszczyć się o siebie”, zmarszczyłem brwi i zapytałem poważnie:

- A co powiedział Race?

Dlaczego Race miałby się z tego wykręcić? Niech pozna też ujemne strony kobiecego towarzystwa, nie tylko te dodatnie.

- Nie mogę go nigdzie znaleźć.

Najwyraźniej miała zamiar zabawić u mnie do rana. Westchnąłem głęboko i usiadłem na krześle.

- Nie widzę powodu do niepokoju - powiedziałem cierpliwie.

- Ale mój sen...

- Z pewnością był wynikiem curry, które jedliśmy na obiad.

- Och, sir Eustachy.

Wyglądała na obrażoną. A przecież każdy wie, że koszmarne sny są bezpośrednim efektem ciężkostrawnych potraw.

- A poza tym - usiłowałem ją przekonać - dlaczego Anna Beddingfeld i Race nie mogli wyjść na małą przechadzkę? Nie musieli od razu alarmować całego hotelu.

- Pan myśli, że poszli po prostu na przechadzkę? Przecież jest po północy.

- Młodym różne głupstwa w głowie - mruknąłem. - Chociaż Race jest już na tyle stary, że mógłby być rozsądniejszy.

- Naprawdę pan tak myśli?

- Przypuszczam, że uciekli, aby się pobrać - mówiłem uspokajająco, choć zdawałem sobie sprawę, że moja sugestia brzmi idiotycznie. Dokąd, na Boga, można uciec z takiego miejsca jak to?

Przed dalszym plecieniem podobnych bzdur uratowało mnie pojawienie się Race'a we własnej osobie. Poniekąd moje przypuszczenia okazały się słuszne - rzeczywiście poszedł na spacer, ale sam, bez Anny. Natomiast okazało się, że nie miałem racji, podchodząc do sprawy tak lekko. Race dosłownie w trzy minuty postawił na nogi cały hotel. Jeszcze nigdy nie widziałem nikogo tak zdesperowanego.

Sprawa rzeczywiście przedstawia się dziwnie. Dokąd ta dziewczyna poszła? Wyszła z hotelu dziesięć po jedenastej, kompletnie ubrana, i od tej pory ślad po niej zaginął. Samobójstwo nie wchodzi w grę. Była jedną z tych młodych i energicznych kobiet, które kochają życie i nie mają najmniejszego zamiaru rozstawać się z nim. Wyjechać także nie mogła. Najbliższy pociąg odjeżdżał dopiero w południe następnego dnia. No więc gdzie, u diabła, mogła się podziać?

Biedak Race wychodził z siebie. Zajrzał niemal pod każdy kamień. Wszyscy dowódcy okręgów, czy jak oni się nazywają, zostali postawieni w stan pogotowia. Miejscowi naganiacze przetrzęsnęli całą okolicę. Uczyniono wszystko, co można było zrobić. Po Annie Beddingfeld ani śladu.

W końcu zaakceptowano teorię, że Anna Beddingfeld była lunaticzką i wyszła z hotelu we śnie. Ślady koło mostu wskazują na to, że zboczyła ze ścieżki. Jeśli tak było, musiała się roztrzaskać o skały na dole. Niepomyślnym zbiegiem okoliczności większość śladów została zatarta przez turystów, którzy w poniedziałek z samego rana wybrali się na spacer do wodospadu.

Nie wiem, czy ta teoria jest słuszna. W czasach mojej młodości zawsze mówiono, że lunacy mają jakiś szósty zmysł, który ich chroni przed upadkiem. Zdaje się, że pani Blair to wyjaśnienie też nie satysfakcjonuje.

Nie mogę rozgryźć tej kobiety. Jej zachowanie wobec Race'a wyraźnie się zmieniło. Wpatruje się w niego niczym kot w mysia dziurę i z trudem zmusza się do uprzejmego zachowania wobec niego. A przecież byli takimi przyjaciółmi. Sama też się zmieniła. Stała się histeryczna i nerwowa. Podskakuje przy każdym nieoczekiwanym szeleście. Coś mi się wydaje, że już najwyższy czas wyruszać do Johannesburga.

Wczoraj rozeszły się pogłoski o jakiejś tajemniczej wyspie położonej w górze rzeki. Podobno zamieszkuje ją jakaś para, mężczyzna i kobieta. Race był bardzo podekscytowany. Jednakże to odkrycie okazało się zupełnie bezwartościowe. Ten mężczyzna mieszka tam już od lat i jest dobrze znany kierownictwu hotelu. W sezonie zabiera gości na przejażdżki po rzece, pokazując im krokodyla, stada hipopotamów i tym podobne rzeczy. Podejrzewam, że ma jakiegoś oswojonego krokodyla, który jest tak wytresowany, że w odpowiednim momencie atakuje łódź. Facet odpędza go wtedy bosakiem, a całe towarzystwo ma satysfakcję, że dotarło rzeczywiście na koniec świata. Od jak dawna mieszka z dziewczyną, tego dokładnie nie wiadomo, ale jest jasne, że to nie może być Anna. Sprawa wymaga pewnej delikatności; nie można tak po prostu wtargnąć w prywatne sprawy

tamtych dwojga. Gdyby to o mnie chodziło, z pewnością wywaliłbym Race'a z wyspy, gdyby tylko zaczął zadawać mi pytania na temat moich romansów.

*Później*

A więc postanowione. Jutro wyjeżdżam do Johannesburga. Race bardzo na to nalega. Jak słyszałem, zrobiło się tam ostatnio dość nieprzyjemnie, ale przecież później może być jeszcze gorzej. Tak czy owak, prawdopodobnie strajkujący i tak mnie zastrzelą. Pani Blair miała mi towarzyszyć, w ostatniej chwili jednak zmieniła zdanie i zdecydowała się zostać tutaj. Zdaje się, że nie może znieść nawet myśli o tym, że mogłaby spuścić Race'a z oka. Dzisiejszego wieczoru przyszła do mnie i z pewnym wahaniem powiedziała, że pragnie mnie prosić o przysługę. Czy mógłbym zabrać jej pamiątki?

- Chyba nie te zwierzęta? - spytałem zaniepokojony. Zawsze przeczuwałem, że prędzej czy później przypadnie mi w udziale użeranie się z tymi bestiami.

W końcu zawarliśmy kompromis. Zabiorę dwa mniejsze drewniane pudełka, zawierające szczególnie łamliwe przedmioty, zwierzęta zaś zostaną zapakowane przez miejscową firmę do ogromnej paki i wysłane koleją do Kapsztadu, a tam już Pagett dopilnuje ich składowania.

Ludzie, którzy je pakowali, oświadczyli, że te zwierzęta mają bardzo nieforemne kształty (!) i że koniecznie trzeba będzie zbić specjalną skrzynię. Zwróciłem uwagę pani Blair, że zanim dowiezie je do domu, będą ją kosztowały co najmniej funta za sztukę.

Pagett szarpie się na smyczy. Koniecznie chce dołączyć do mnie w Johannesburgu. Będę musiał użyć bagaży pani Blair jako pretekstu do zatrzymania go w Kapsztadzie. Pisałem już do niego, że ma odebrać paki i dopilnować ich bezpiecznego składowania, gdyż zawierają cenne pamiątki wielkiej wartości.

Tak więc wszystko zostało zapięte na ostatni guzik. Ja i panna Pettigrew udajemy się razem w nieznane. Każdy, kto ją choć raz widział, musi przyznać, że nie może w tym być nic niestosownego.

## XXIX

*Johannesburg, 6 marca*

Tutejsza sytuacja nie jest tak całkiem obojętna dla zdrowia. Że posłużę się utartym zwrotem,

który jakże często słyszałem, żyjemy tu jak na wulkanie. Bandy strajkujących i tak zwanych strajkujących patrolują ulice, obrzucając człowieka groźnymi spojrzeniami, jakby go chcieli zamordować. Szukają wypasionych kapitalistów, by mieć ich pod ręką, gdy rozpocznie się masakra. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie można skorzystać z taksówki - każdego, kto się na to odważy, strajkujący wyciągają z samochodu. A w hotelu delikatnie dają do zrozumienia, że gdy skończą się zapasy żywności, wyrzucą nas na wycieraczkę!

Wczoraj wieczorem spotkałem Reevesa, mojego labourzystowskiego znajomego z „Kilmorden Castle”. Jeszcze nie widziałem, by ktoś miał aż takiego pietra jak on. Niczym nie różni się od całej reszty. Najpierw wygłaszają długie, jątrzące przemówienia, wyłącznie w celach politycznych, a potem żalują, że to uczynili. Reeves chodzi teraz i powtarza, że on tego nie robił. Gdy go spotkałem, wybierał się właśnie do Kapsztadu na mediacje, gdzie wygłosi trwającą trzy dni mowę po holendersku, usprawiedliwiając się i podkreślając, że to, co mówił uprzednio, znaczyło w rzeczywistości coś zupełnie innego. Dzięki Bogu, nie zasiadam w Zgromadzeniu Ustawodawczym Południowej Afryki. Już sama Izba Gmin jest okropna, ale tam przynajmniej posługujemy się tylko jednym językiem. Są też pewne restrykcje ograniczające długość przemówień. Zanim wyjechałem z Kapsztadu, poszedłem na sesję Zgromadzenia. Przemawiał akurat siwowłosy dżentelmen z opadającym wąsem, wyglądający niczym Nibyzółw z „Alicji w krainie czarów”. Melancholijnie cedził słowo po słowie. Od czasu do czasu zdobywał się na większy wysiłek i wyrzucał z siebie słowa brzmiące jak „platt skeet”. Wykrzykiwał to fortissimo, co stanowiło ogromny kontrast z całą resztą jego przemowy. Po każdym takim okrzyku połowa słuchających wrzeszczała „whoof, whoof, co jest być może holenderskim odpowiednikiem naszego „słuchajcie, słuchajcie”, a druga połowa budziła się z drzemki. Jak mi wytłumaczono, ten dżentelmen przemawiał już co najmniej od trzech dni. Doprawdy w Południowej Afryce muszą mieć wiele cierpliwości.

Wymyśliłem całe mnóstwo pretekstów, aby zatrzymać Pagetta w Kapsztadzie, w końcu jednak inwencja mnie opuściła. Jutro przyjeżdża, niczym wierny pies pragnący umrzeć przy boku swego pana. A tak mi dobrze szła praca nad „Wspomnieniami”. Wymyśliłem parę wyjątkowo finezyjnych akapitów na temat, co mi powiedzieli przywódcy strajkujących i co ja im na to odpowiedziałem.

Dziś rano odbyłem rozmowę z jakimś urzędnikiem państwowym. Był bardzo uprzejmy, przekonujący i tajemniczy jednocześnie. Na samym początku uczynił aluzję do mojego eksponowanego stanowiska i ważności mojej osoby, i zasugerował, abym wyjechał do Pretorii.

- Czyżby rząd spodziewał się jakichś nieprzyjemności? zapytałem.

Jego odpowiedź była tak pokrętna, że absolutnie nic z niej nie wynikało. To mnie utwierdziło w przekonaniu, że obawiają się poważnych kłopotów. Zauważyłem, że rząd sam dopuścił do tego, aby pewne sprawy zaszły za daleko.

- Och, sir Eustachy, zna pan to powiedzenie: daj komuś kawał sznura i pozwól, aby się na nim sam powiesił.

- O tak, o tak.

- Sami strajkujący nie stanowią żadnego zagrożenia. Za nimi jednak kryje się pewna

organizacja. Masowo napływa broń i materiały wybuchowe. Zdobyliśmy pewne dokumenty, które rzucają nieco światła na sposoby, jakimi są dostarczane. Zastosowali regularny kod. Kartofle oznaczają zapalniki, kalafior - broń, inne warzywa - rozmaite środki wybuchowe.

- To bardzo interesujące - skomentowałem.

- Powiem więcej. Mamy powody sądzić, że człowiek, który tym kieruje, spiritus movens obecnych zamieszek, przebywa w tej chwili w Johannesburgu.

Popatrzył na mnie tak groźnie, że już zacząłem się obawiać, że podejrzewa, iż to ja właśnie jestem owym człowiekiem. Zacząłem żałować, że kiedykolwiek wpadłem na pomysł, by przyglądać się tej miniaturowej rewolucji z pierwszego rzędu.

- Pociągi z Johannesburga do Pretorii zostały wstrzymane - kontynuował mój rozmówca - ale mogę panu załatwić samochód. Na wypadek gdyby został pan zatrzymany po drodze, zaopatrzę pana w dwa różne paszporty, jeden wystawiony przez rząd Związku Południowej Afryki, drugi zaś stwierdzający, że jest pan angielskim turystą, nie mającym z rządem nic wspólnego.

- Jeden dla waszych ludzi, a drugi na użytek strajkujących, co?

- Właśnie.

Nie zachwyił mnie ten pomysł. Wiem, czym to się zwykle kończy. Człowiek traci głowę i wszystko mu się płacze. Na pewno okazałbym nie ten paszport co trzeba i w rezultacie zostałbym zastrzelony albo przez spragnionych krwi rebeliantów, albo przez obrońców ładu i porządku, którzy - jak zauważyłem - patrolują ulice w melonikach, z fajkami w zębach i strzelbami nonszalancko przewieszonymi przez ramię. Poza tym, co miałbym robić w Pretorii? Podziwiać architekturę budynków rządowych i nasłuchiwać echa strzałów z Johannesburga? Siedziałbym tam zamknięty Bóg wie jak długo. Podobno właśnie wysadzono linię kolejową. I czy dostałbym tam coś do picia? Przed dwoma dniami wprowadzono przecież stan wyjątkowy.

- Drogi przyjacielu - oświadczyłem - pan chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, że moim celem jest zapoznanie się ze stosunkami politycznymi w Randzie. Jak, u diabła, miałbym to robić, siedząc w Pretorii? Doceniam pańską troskę o moje bezpieczeństwo, ale proszę się o mnie nie martwić. Dam sobie radę.

- Ostrzegam pana, sir Eustachy, że mogą wystąpić braki w zaopatrzeniu w żywność.

- Niewielki post będzie z korzyścią dla mojej sylwetki - odparłem z lekkim westchnieniem.

Musielismy przerwać rozmowę, gdyż przyniesiono mi telegram. Przeczytałem zdumiony:

„Anna bezpieczna. Jest ze mną w Kimberley. Zuzanna Blair.”

Chyba nigdy na serio nie wierzyłem, by cokolwiek było w stanie unicestwić Annę Beddingfeld. W tej dziewczynie jest coś niezniszczalnego. Przypomina mi te patentowe piłki, które daje się do zabawy terierom. Posiada niezwykłą umiejętność pojawiania się w najmniej oczekiwanym

momencie, z uśmiechem na ustach. Nadal nie rozumiem, dlaczego uznała za stosowne wyjść z hotelu w samym środku nocy, by dostać się do Kimberley. Zresztą nie było żadnego pociągu. Pewnie przypięła sobie parę anielskich skrzydeł i pofrunęła. Nie sądzę też, by kiedykolwiek udzieliła jakichkolwiek wyjaśnień. Nikt mi niczego nie chce wyjaśnić, zawsze muszę się wszystkiego domyślać. To już się staje monotonne. Przypuszczam, że gnała ją pasja dziennikarska. „Jak przepłynęłam Wodospad Wiktorii - korespondencja naszego specjalnego wysłannika.”

Złożyłem starannie telegram i uwolniłem się od mojego przyjaciela z rządu. Nie podoba mi się perspektywa głodówki, jednak nie obawiam się specjalnie o swoje bezpieczeństwo. Smuts z pewnością poradzi sobie z tą rewoltą. Natomiast marzę o porządnym drinku. Zastanawiam się, czy Pagett wpadnie na ten dobry pomysł, by przywieźć ze sobą butelkę whisky.

Włożyłem kapelusz i wyszedłem do miasta z zamiarem kupienia kilku upominków. W Johannesburgu są znakomite sklepy z pamiątkami. Właśnie podziwiałem imponujący kaross na wystawie, gdy nagle wpadł na mnie wychodzący ze sklepu klient. Ze zdumieniem stwierdziłem, że to Race.

Nie będę sobie pochlebiał, że mój widok go ucieszył. Szczerze mówiąc, wyglądał raczej na poirytowanego. Mimo to nalegałem, by odprowadził mnie do hotelu. Jestem już zmęczony, nie mając żadnego innego towarzystwa poza panną Pettigrew.

- Nie przypuszczałem nawet, że jest pan w Johannesburgu - odezwałem się pogodnie. - Kiedy pan przyjechał?

- Wczoraj wieczorem.

- A gdzie się pan zatrzymał?

- U przyjaciół.

Nie kwapił się do rozmowy, a moje pytania zdawały się wprawiać go w zakłopotanie.

- Mam nadzieję, że pańscy znajomi trzymają drób - zauważyłem. - Z tego, co słyszałem, najbardziej odpowiednią dietą na najbliższy okres mają być świeże jajka i od czasu do czasu jakiś wiekowy kogut. - A właśnie - dodałem, gdy już byliśmy w hotelu - czy słyszał pan, że Anna Beddingfeld jest cała i zdrowa?

Skinął głową.

- Napędziła nam takiego stracha - mówiłem lekkim tonem. - Chciałbym wiedzieć, dokąd właściwie poszła ona tamtej nocy.

- Przez cały czas była na wyspie.

- Na jakiej wyspie? Chyba nie na tej, na której mieszka ten młody człowiek?

- Właśnie na tej.

- Jakie to niestosowne! Pagett będzie oburzony. Nigdy nie akceptował Anny Beddingfeld. Czy to ten sam młodzieniec, z którym miała spotkać się w Durbanie?

- Nie sędzę.

- Oczywiście nie musi mi pan mówić, skoro pan nie chce - sprowokowałem go.

- Zastanawiam się, czy nie jest to przypadkiem ten młody człowiek, którego tak chętnie dostalibyśmy w swoje ręce.

- Nie?! - zawołałem z rosnącym podnieceniem. Przytaknął.

- Harry Rayburn alias Harry Lucas, bo tak brzmi jego prawdziwe nazwisko. Po raz kolejny udało mu się umknąć, ale wkrótce go złapiemy.

- Mój Boże, mój Boże - powtarzałem.

- Oczywiście nie ma mowy, by dziewczyna była jego współniczką. Z jej strony jest to tylko... uczucie.

Zawsze podejrzewałem, że Race kocha się w Annie. Ze sposobu, w jaki wypowiedział ostatnie słowa, wywnioskowałem, że moje przypuszczenia były słuszne.

- Pojechała do Beiry - mówił pośpiesznie.

- Tak? - popatrzyłem na niego. - A skąd pan to wie?

- Napisała do mnie z Bulawayo, że wraca przez Beirę do Anglii. Najlepsze, co może zrobić, biedna dziewczyna.

- Mimo to nie wydaje mi się, by była w Beirze - powiedziałem z namysłem.

- Właśnie miała tam jechać, kiedy do mnie pisała.

Zaintrygowało mnie to. Ktoś tu z całą pewnością kłamał. Nie zastanawiając się nad tym, że Anna mogła mieć swoje powody, udzielając sprzecznych informacji, pozwoliłem sobie na przyjemność zagrania mu na nosie. Wyjąłem z kieszeni telegram.

- A jak pan wytłumaczy to? - zapytałem nonszalancko.

Odebrało mu mowę.

- Pisała, że właśnie wyjeżdża do Beiry - powiedział oszołomiony.

Wiem, że wszyscy uważają go za mądrego. Dla mnie Race jest zwyczajnym głupcem. Nigdy do niego nie dotarło, że dziewczęta nie zawsze mówią prawdę?

- Kimberley? Co one tam robią? - wymamrotał.

- Mnie też to dziwi. Przypuszczałem, że panna Beddingfeld pojawi się raczej tutaj, żeby osobiście zebrać materiały dla „Daily Budget”.

- Kimberley - powtórzył Race. To miejsce wyraźnie go denerwowało. - Tam przecież nie ma nic do oglądania. Kopalnie nie pracują.

Pokręcił głową i poszedł. Z pewnością dałem mu sporo do myślenia.

Ledwo się oddalił, a już pojawił się znany mi urzędnik.

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pan to powtórne najście - zaczął się usprawiedliwiać - ale chciałbym panu zadać kilka pytań.

- Proszę pytać, przyjacielu - odparłem zachęcająco.

- Chodzi mi o tę osobę, którą pan zatrudnił jako...

- Nic o tym nie wiem - powiedziałem szybko. - Narzucił mi się w Londynie, obrabował z cennych dokumentów, za co jeszcze dostanę burę, i zniknął jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. To prawda, że byłem przy Wodospadzie Wiktorii w tym samym czasie co on, ale ja mieszkałem w hotelu, on zaś na wyspie, i zapewniam pana, że nawet go tam nie widziałem.

Umilkłem dla złapania oddechu.

- Nie rozumiał mnie pan. Ja nie o nim, tylko...

- Co? Pagett? - zawołałem w najwyższym zdumieniu. - Pracuje dla mnie już osiem lat i jest ze wszech miar godny zaufania.

Mój interlokutor uśmiechnął się.

- Ciągłe się nie rozumiemy. Miałem na myśli panią.

- Panią Pettigrew? - zawołałem.

- Tak. Widziano, jak wychodziła ze sklepu z pamiątkami Agrasato.

- Boże, chroń moją duszę - przerwałem mu gwałtownie. - Sam się tam wybierałem dziś po południu. Mógłby więc pan zobaczyć mnie wychodzącego stamtąd.

Zdaje się, że w Johannesburgu nie można zrobić najmniejszego choćby kroku, by nie być od razu o coś podejrzanym.

- Och, ale ją widziano kilkakrotnie, i to w dość podejrzanym okolicznościach. Zdradzę panu coś w zaufaniu. Przypuszczamy, że w sklepie mieści się punkt kontaktowy organizacji kierującej



rebelią. Dlatego byłbym wdzięczny, gdyby mi pan powiedział wszystko, co panu wiadomo o tej damie. Gdzie i w jakich okolicznościach ją pan zaangażował?

- Została mi polecona przez pański rząd - odparłem zimno.

Omal nie zemdlał z wrażenia.

### XXX

#### *(Opowiadanie Anny)*

Przybywszy do Kimberley, zadepeszowałam do Zuzanny. Przyjechała najbliższym pociągiem, jeszcze z drogi wysyłając mi telegram. Byłam zdumiona, gdyż przekonałam się, że mnie naprawdę lubi - dotychczas sądziłam, że zainteresowanie moją osobą to jej chwilowy kaprys. Na przywitanie ze szlochem rzuciła mi się na szyję.

Gdy już trochę ochłonęliśmy z emocji, usiadłam na łóżku i opowiedziałam jej całą historię od a do z.

- Ty zawsze podejrzewałaś pułkownika Race - powiedziała w zamyśleniu, gdy skończyłam. - Ja nie, aż do twojego zniknięcia. Przedtem bardzo go lubiałam i wyobrażałam sobie, że byłby dla ciebie wymarzonym mężem. Anno, kochanie, nie obrażaj się, ale skąd wiemy, że twój młody przyjaciel nie kłamał? Ty zdajesz się wierzyć bez zastrzeżeń każdemu jego słowu.

- Oczywiście! - wykrzyknęłam z oburzeniem.

- Powiedz mi, co cię w nim tak fascynuje? Ja nie widzę w nim nic nadzwyczajnego, chyba że ktoś lubi taką zuchwałą urodę i zaloty w stylu szejka z epoki kamiennej.

Przez kilka najbliższych chwil wylewałam na Zuzannę całą swoją złość.

- A wszystko dlatego, że jesteś wygodnie urządzona w małżeństwie i zaczynasz tyć - zakończyłam. - Zapomniałaś, że istnieje coś takiego jak romantyzm.

- Wcale nie zaczynam tyć. Po tych wszystkich troskach i zmartwieniach został ze mnie dosłownie cień.

- Wyglądasz na znakomicie odżywioną - powiedziałam zimno. - Przybyło ci co najmniej siedem funtów.

- Nie jestem też pewna, czy jestem wygodnie urządzona w małżeństwie - mówiła dalej

Zuzanna, tonem pełnym melancholii. - Clarence przysłała okropne telegramy, nakazując mi natychmiastowy powrót do domu. W końcu przestałam nawet na nie odpowiadać i teraz już od przeszło dwóch tygodni nie miałam od niego żadnych wieści.

Obawiam się, że nie potraktowałam małżeńskich kłopotów Zuzanny zbyt poważnie. Jak ją znam, gdy przyjdzie pora, owinie sobie Clarence'a wokół palca. Skierowałam rozmowę na diamenty.

Zuzanna popatrzyła na mnie z otwartymi ustami.

- Och, Anno, muszę ci wszystko wytłumaczyć. Widzisz, gdy zaczęłam podejrzewać pułkownika Race, byłam bardzo niespokojna o te diamenty. Chciałam zostać nad wodospadem, na wypadek gdyby cię uprowadził i więził gdzieś w pobliżu, ale nie miałam pojęcia, co począć z diamentami. Bałam się trzymać je przy sobie.

Zuzanna niespokojnie rozejrzała się dookoła, jakby w obawie, że ściany mają uszy, po czym pośpiesznie wyszeptała kilka słów.

- Wtedy był to znakomity pomysł - pochwaliłam - ale obecnie nieco kłopotliwy. I co sir Eustachy zrobił z bagażami?

- Dużą skrzynię wysłał do Kapsztadu. Pagett pisał, że ją odebrał, załączył też dowód przyjęcia jej na przechowanie. Nawiasem mówiąc, Pagett wyjeżdża dzisiaj z Kapsztadu, by dołączyć do sir Eustachego w Johannesburgu.

- Rozumiem - powiedziałam z namysłem. - A gdzie są te mniejsze paczki?

- Myślę, że sir Eustachy ma je ze sobą.

- No dobrze - powiedziałam w końcu. - To trochę kłopotliwe, ale w gruncie rzeczy bezpieczne. A teraz nie pozostaje nam nic innego, tylko siedzieć cicho i nic nie robić.

Zuzanna uśmiechnęła się leciutko.

- Ty przecież nie lubisz siedzieć cicho.

- Niespecjalnie - przyznałam szczerze.

Żeby się czymś zająć, przyniosłam rozkład jazdy i sprawdziłam, kiedy Pagett będzie przejeżdżał przez Kimberley. Okazało się, że jego pociąg przyjeżdża następnego dnia o siedemnastej czterdzieści, a odjeżdża o osiemnastej. Chciałam jak najprędzej pomówić z Pagettem i uznałam, że najlepiej będzie zrobić to właśnie jutro. Sytuacja w Randzie stawała się coraz bardziej napięta, mogło więc upłynąć sporo czasu, zanim trafiłaby mi się następna okazja.

Ożywiłam się nieco, otrzymawszy telegram z Johannesburga. Brzmiał niewinnie:

„Przybyłem bezpiecznie. Wszystko w porządku. Eric jest tutaj, Eustachy także, Guya brak. Chwilowo zostań, gdzie jesteś. Andy.”

Eric to był pseudonim pułkownika Race. Wybrałam go, gdyż nie znoszę tego imienia. Tak więc nie miałyśmy nic do roboty, dopóki nie zobaczę się z Pagettem. Zuzanna pocieszała się, wysyłając długie, uspokajające telegramy do Clarence’a. Stała się sentymentalna na jego punkcie. Na swój sposób - oczywiście zupełnie inaczej niż ja i Harry - ona go naprawdę kocha.

- Chciałabym, żeby był tutaj - mówiła drżącym głosem. - Tak dawno go już nie widziałam.

- Użyj może trochę kremu do twarzy - usiłowałam podnieść ją na duchu.

Zuzanna rozsmarowała trochę kremu na czubku swojego czarującego noska.

- Niedługo będę potrzebowała więcej kremu - zauważyła - a ten gatunek można dostać wyłącznie w Paryżu. Ach, Paryż! - westchnęła.

- Zuzanno - powiedziałam - niebawem będziesz miała dość Południowej Afryki i wszystkich przygód.

- Marzę o nowym kapeluszu - przyznała tęsknym głosem. - Czy mam pójść jutro z tobą na spotkanie z Pagettem?

- Lepiej nie. Obecność nas obu mogłaby go speszyć. Tak więc następnego dnia stałam w drzwiach hotelu, walcząc z opornym parasolem, który za nic w świecie nie chciał się otworzyć, podczas gdy Zuzanna spokojnie wylegiwała się w łóżku, obłożona książkami i z koszykiem owoców w zasięgu ręki.

Według portiera pociąg powinien dzisiaj nadejść bez większego opóźnienia, aczkolwiek jest w najwyższym stopniu wątpliwe, czy kiedykolwiek dotrze do Johannesburga. Zostały wysadzone tory, tak mnie zapewniał. Wszystko to brzmiało raczej pocieszająco!

Pociąg spóźnił się zaledwie dziesięć minut. Tłum oczekujących wypadł na peron i zaczął biegać z jednego końca w drugi. Nie miałam trudności z odnalezieniem Pagetta. Zagadnęłam go, płonąć z emocji.

Przyzwyczałam się już do tego, że na mój widok reagował nerwowym gestem, tym razem jednak wydał mi się bardziej zdenerwowany niż zwykle.

- Boże drogi, panna Beddingfeld! Sądziłem, że pani zniknęła.

- Ale się znalazłam - zapewniłam z całą powagą. - A jak pan się miewa?

- Dziękuję, dobrze. Pragnę jak najprędzej powrócić do swoich obowiązków u sir Eustachego.

- Panie Pagett - zaczęłam - chciałam pana o coś zapytać. Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe. Od pańskiej odpowiedzi wiele zależy, więcej niż mógłby pan przypuszczać. Chciałam wiedzieć, co robił pan w Marlow ósmego stycznia. Drgnął gwałtownie.

- Naprawdę, panno Beddingfeld, ja...

- Pan był w Marlow, prawda?

- Tak... z czysto prywatnych powodów... byłem tam, owszem.

- I nie zdradzi mi pan, jakie to były powody?

- Czy sir Eustachy pani nie powiedział?

- Sir Eustachy? To on wie?

- Jestem tego niemal pewny. Miałem nadzieję, że mnie nie rozpoznał, jednak sądząc z różnych jego napomknięć i aluzji, obawiam się, że wie. Oczywiście chciałem wszystko wyjaśnić i złożyć rezygnację. Sir Eustachy bywa czasem dziwny. Ma specyficzne poczucie humoru. Trzymanie mnie w niepewności zdaje się go bawić. Ośmielam się przypuszczać, że zna całą prawdę. Być może zna ją już od lat.

Miałam cichą nadzieję, że uda mi się zrozumieć, o czym on właściwie mówi. Pagett kontynuował potoczyście.

- Wiem, że człowiekowi pokroju sir Eustachego trudno jest wczuć się w moje położenie. Zdaję sobie sprawę, że postąpiłem niewłaściwie, ale to kłamstwo wydawało mi się nieszkodliwe. Doprawdy byłoby stosowniej, gdyby mnie otwarcie odprawił, a nie bawił się moim kosztem, czyniąc różne zawoalowane przycinki.

Na dźwięk dzwonka ludzie zaczęli napływać z powrotem do wagonu.

- Panie Pagett - przerwałam mu wreszcie - całkowicie się zgadzam z pańską opinią o sir Eustachym. Ale po co pojechał pan do Marlow?

- Wiem, że to było niesłuszne, ale przecież jakże naturalne w tych warunkach. Tak, w zaistniałych, okolicznościach było to zupełnie zrozumiałe.

- W jakich okolicznościach? - zawołałam rozpaczliwie.

Pagett jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że zadałam mu jakieś pytanie. Jego umysł oderwał się wreszcie od rozpatrywania osobliwości charakteru sir Eustachego i usprawiedliwiania samego siebie.

- Bardzo panią przepraszam, panno Beddingfeld - powiedział sztywno - ale doprawdy nie wiem, w jaki sposób ta sprawa miałaby pani dotyczyć.

Wsiadł do wagonu i stojąc w drzwiach odwrócił się jeszcze ku mnie. Ogarnęła mnie desperacja. Co począć z takim człowiekiem?

- Oczywiście, skoro ukrywa pan jakąś niegodziwość, rozumiałe jest, że wstydzi się pan o tym mówić - rzuciłam złośliwie.

Nareszcie trafiłam we właściwy ton. Pagett zeszywniał i zaczerwienił się.

- Niegodziwość? Mam się wstydzić? Nie rozumiem pani.

- Więc niechże pan wreszcie wydusi to z siebie. Powiedział mi trzy krótkie zdania. Wreszcie poznałam sekret Pagetta. Tego nigdy bym się nie domyśliła.

Wolnym krokiem wróciłam do hotelu, gdzie wręczono mi telegram. Otworzyłam go. Telegram zawierał dokładne instrukcje. Miałam bezzwłocznie udać się do Johannesburga, a raczej do stacji przed Johannesburgiem, gdzie będzie czekał na mnie samochód. Podpis pod telegramem brzmiał nie „Andy”, lecz „Harry”.

Usiadłam na krześle i zaczęłam się głęboko zastanawiać.

## XXXI

*(Wyjątki z dziennika sir Eustachego Pedlera)*

*Johannesburg, 7 marca*

Przyjechał Pagett. Jest śmiertelnie przerażony. Natychmiast zasugerował, że powinniśmy wyjechać do Pretorii. Kiedy mu grzecznie, ale stanowczo oznajmiłem, że zostajemy tutaj, popadł w drugą skrajność. Pożałował, że nie ma ze sobą broni, a potem zaczął się przechwalać, jak to osłaniał jakiś most w czasie wojny. Zdaje się, że chodziło o most kolejowy na stacji węzłowej Little Puddecombe czy coś w tym rodzaju. Przerwałem jego wywody, każąc mu rozpakować maszynę do pisania. Miałem nadzieję, że to go na jakiś czas zajmie, gdyż maszyna z pewnością okaże się zepsuta, jak to jej się często zdarza, i będzie ją musiał zanieść do naprawy. Zapomniałem, że Pagett zawsze musi mieć ostatnie słowo.

- Rozpakowałem już wszystkie pakunki, sir. Maszyna jest w doskonałym stanie.

- Jak to wszystkie?

- Te dwie małe skrzynki też.

- Życzyłbym sobie, abys na przyszłość nie był tak gorliwy. Te dwie skrzynki to nie twój interes. Są własnością pani Blair.

Pagett był wyraźnie zbity z tropu. Nienawidzi popełniania błędów.

- Tak więc spokojnie spakuj je z powrotem, a później wyjdź na miasto i rozejrzyj się trochę. Do jutra Johannesburg może się zamienić w kupę dymiących zgliszczy, więc być może jest to ostatnia okazja - dorzuciłem.

Myślałem, że tym sposobem wreszcie się go pozbędę na resztę poranka.

- Jest coś, co chciałbym panu powiedzieć, sir, jeśli ma pan chwilę wolnego czasu.

- Teraz nie - odparłem szybko. - W tej chwili absolutnie nie mam czasu na nic.

Pagett zaczął się wycofywać.

- A propos - zawołałem za nim - co było w tych paczkach pani Blair?

- Futrzane kilimy, dwa futrzane... nie wiem... chyba kapelusze...

- Masz rację - zapewniłem go - kupiła je podczas podróży. To są kapelusze, choć nie dziwię się, że w pierwszej chwili ich nie rozpoznałeś. Przypuszczam, że jeden z nich ma zamiar nosić w Ascot. Co jeszcze?

- Filmy i jakieś koszyki - mnóstwo koszyków.

- Tak sądziłem. Pani Blair należy do kobiet, które każdą rzecz kupują na tuziny.

- To mniej więcej wszystko. Poza tym trochę drobiazgów. Woalka, para rękawiczek i tak dalej.

- Gdybyś nie urodził się idiotą, Pagett, wiedziałbyś od samego początku, że to nie mogą być moje rzeczy.

- Myślałem, że część z nich należy do panny Pettigrew.

- O właśnie, coś mi się przypomniało. Czym się kierowałeś, wyszukując mi na sekretarkę tak podejrzaną personę?

Opowiedziałem mu o przesłuchaniu, jakiemu mnie wczoraj poddano. Zobaczyłem dobrze mi znany błysk w oczach i natychmiast pożałowałem swoich słów. Próbowałem zmienić temat, jednak było już za późno. Pagett wstąpił na ścieżkę wojenną.

Zaczął mnie zanudzać rozwlekłą i bezsensowną historią dotyczącą jeszcze „Kilmorden Castle”. Chodziło o jakieś filmy i o zakład. Steward, który powinien był wiedzieć lepiej, wrzucił rolkę filmu

przez wentylator w samym środku nocy. Nienawidzę kiepskich żartów. Powiedziałem to Pagettowi, a ten zaczął od początku. Opowiadał - jak zwykle - bardzo nieskładnie. Trwało to bardzo długo, zanim wreszcie pojąłem, gdzie początek, a gdzie koniec.

Ponownie zobaczyłem go dopiero w porze lunchu. Przyszedł bardzo podekscytowany, zachowywał się niczym ogar na tropie. Nigdy nie lubiłem ogarów. Okazało się, że widział Rayburna.

- Co takiego? - zawołałem ze zdumieniem.

Pagett zobaczył kogoś - był pewien, że to Rayburn - przechodzącego przez ulicę. Oczywiście poszedł za nim.

- Jak pan myśli, z kim on rozmawiał? Z panną Pettigrew.

- Co?

- Tak, sir. Ale to jeszcze nie wszystko. Przeprowadziłem małe śledztwo w tej sprawie.

- Poczekaj chwilę. I co z Rayburnem?

- On i panna Pettigrew weszli do sklepu z pamiątkami na rogu ulicy.

Z moich ust mimowolnie wyrwał się okrzyk zdumienia. Zaintrygowany Pagett przerwał na moment swoją opowieść.

- Nic, nic - uspokoiłem go - mów dalej.

- Czekałem na zewnątrz bardzo długo, ale oni nie wychodzili. Wreszcie sam tam wszedłem. W sklepie ich nie było! Tam musi być drugie wyjście.

Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem.

- Więc, jak już mówiłem, sir, wróciłem do hotelu i zasięgnąłem informacji o panie Pettigrew. - Pagett zniżył głos i zaczął posapywać, jak zwykle, gdy pragnie mi powierzyć jakąś tajemnicę. - Ostatniej nocy widziano, jak z jej pokoju wychodził mężczyzna.

Podniosłem w górę brwi.

- A ja zawsze uważałem ją za damę o niewzruszonych zasadach moralnych - mruknąłem.

Pagett zlekceważył moje spostrzeżenie.

- Przeszukałem jej pokój. Jak pan myśli, co tam znalazłem?

Potrząsnąłem głową.

- To!

Pokazał mi maszynkę do golenia i mydło.

- Po co to kobiecie?

Nie sądzę, by Pagett kiedykolwiek przeglądał reklamy w pismach kobiecych. Ja natomiast czasami to robię. Nie wdając się z nim w dyskusję, odmówiłem uznania maszynki do golenia za dowód na odmienną płęć panny Pettigrew. Pagett jest tak beznadziejnie zacofany. Właściwie nie powinienem się zdziwić, gdyby mi przedstawił papierośnicę na poparcie swojej teorii. Jednak nie posunął się aż tak daleko.

- Widzę, że nie jest pan przekonany. A co pan powie na to? Zbadałem ów przedmiot, który tak triumfalnie podniósł do góry.

- Wygląda jak włosy - powiedziałem z obrzydzeniem.

- To są włosy. Zdaje się, że to się nazywa peruka.

- Rzeczywiście - przyznałem.

- I jak, sir, czy teraz wierzy pan już, że panna Pettigrew jest w rzeczywistości mężczyzną w przebraniu?

- Mój drogi, przekonałeś mnie. Powinienem się być tego domyślić po jej nogach.

- No więc to by było jedno. A teraz, sir Eustachy, chciałbym porozmawiać z panem o moich sprawach prywatnych. Z różnych aluzji i ciągłych przytyków na temat mojego pobytu we Florencji domyślałem się, że odkrył pan mój sekret.

Nareszcie wyjaśni się, co Pagett robił we Florencji!

- Więc wyznaj mi wszystko, mój drogi - powiedziałem życzliwie. - To najlepszy sposób.

- Dziękuję, sir.

- Chodzi o męża, czy tak? Mężowie to bardzo denerwujący faceci. Zawsze zjawiają się w najmniej odpowiednim momencie.

- Obawiam się, że nie nadażam za panem. Czyjego męża?

- Damy.

- Jakiej damy?

- Boże, dopomóż. Tej, z którą spotkałeś się we Florencji. Nie wmówisz mi przecież, że obrabowałeś kościół albo że ugodziłeś jakiegoś Włocha sztyletem w plecy, dlatego że nie spodobała ci się jego twarz.



- Naprawdę nie rozumiem, o czym pan mówi, sir. Pan chyba żartuje.

- Cóż, potrafię być zabawny, jeśli zadam sobie trochę trudu, jednak w tej chwili bynajmniej nie usiłuję żartować.

- Miałem nadzieję, że pan mnie nie rozpoznał, skoro stałem tak daleko od pana.

- Rozpoznał? Gdzie?

- W Marlow, sir.

- W Marlow? A cóż ty, u diabła, robiłeś w Marlow?

- Myślałem, że pan rozumie.

- Rozumiem coraz mniej. Zaczynaj jeszcze raz, od samego początku. Pojechałeś do Florencji...

- To znaczy, że pan nie wie, że pan mnie jednak nie rozpoznał!

- Coś mi się wydaje, że zupełnie niepotrzebnie się zdradziłeś. Wyrzuty sumienia nie dawały ci spokoju, co? Ale więcej będę mógł powiedzieć, gdy wreszcie usłyszysz całą historię. Tak więc głęboki oddech... i od początku. Pojechałeś do Florencji...

- Kiedy ja wcale nie pojechałem do Florencji. O to właśnie chodzi.

- Więc dokąd pojechałeś?

- Do domu, do Marlow.

- A po cóż, u diabła?

- Chciałem zobaczyć się z żoną. Ona jest słabego zdrowia i w dodatku oczekiwała...

- Z żoną? Nie miałem pojęcia, że jesteś żonaty.

- Nie, sir, i to właśnie usiłuję panu wytłumaczyć. Oszukałem pana w tym względzie.

- Jak długo jesteś żonaty?

- Ponad osiem lat. Ożeniłem się pół roku wcześniej, zanim zostałem pańskim sekretarzem. Nie chciałem stracić tej posady. Od stałego sekretarza oczekuje się, że będzie wolny, więc zataiłem przed panem ten fakt.

- Dosłownie zaparło mi dech - powiedziałem. - Gdzież twoja żona podziewała się przez cały ten czas?

- Od ponad pięciu lat mamy mały bungalow w Marlow. Nad samą rzeką, w pobliżu Mill House.

- Boże, ratuj - jęknąłem, - Dzieci?

- Czwórka, sir.

Wpatrywałem się w niego w osłupieniu. Powinienem był przewidzieć, że ktoś taki jak Pagett nie mógł mieć na sumieniu żadnych karygodnych postępów. Jego przyzwoitość stanowiła dla mnie prawdziwy dopust. Żona i czworo dzieci - oto jaki sekret ukrywał.

- Mówiłeś o tym komuś? - zapytałem wreszcie po długiej chwili wlepiania w niego wzroku.

- Tylko pannie Beddingfeld. Była na dworcu w Kimberley.

Nadal patrzyłem na niego. Pod moim spojrzeniem Pagett wił się jak piskorz.

- Mam nadzieję, że nie jest pan naprawdę zły.

- Mój drogi - odparłem - mogę cię tylko zapewnić, że rozegrałeś to cholernie dobrze.

Wyszedłem rozwścieczony. Gdy mijałem sklep Agrasato, poczułem nieodpartą pokusę wstąpienia do środka. Uniżony właściciel wyszedł mi naprzeciw, zacierając ręce.

- Czym mogę służyć? Futra? Upominki?

- Chciałbym coś wyjątkowego, coś na specjalne okazje - powiedziałem. - Czy ma pan może coś takiego?

- Przejdźmy na zaplecze. Mam tam różne interesujące przedmioty.

I tu popełniłem błąd. A myślałem, że jestem taki mądry! Wszedłem za właścicielem za falującą zasłonę.

## XXXII

*(Opowiadanie Anny)*

Z Zuzanną nie poszło wcale mi łatwo. Przekonywała, tłumaczyła, błagała, a nawet trochę się popłakała, zanim wreszcie jednak zgodziła się na mój plan i obiecała, że będzie działała zgodnie z moimi wskazówkami. Wreszcie odprowadziła mnie na dworzec, gdzie urządziła łzawą scenę pożegnalną.

Następnego dnia wczesnym rankiem dotarłam do celu podróży. Oczekiwał mnie czarnobrody

Holender, którego nigdy przedtem nie widziałam. Wsiadliśmy do samochodu. Z oddali dochodziły jakieś dziwne odgłosy. Zapytałam, co to może być. Strzały, odparł lakonicznie. A więc w Johannesburgu toczyły się walki.

Domyśliłam się, że zmierzamy do jakiegoś miejsca na przedmieściu. Kilka razy skręcaliśmy, zawracaliśmy i zbaczaliśmy z drogi. Strzały dochodziły z coraz bliższej odległości. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed mocno zaniedbanym budynkiem. Drzwi otworzył murzyński boy. Mój przewodnik dał znak, abym weszła. Zatrzymałam się niezdecydowanie w obskurnym, kwadratowym hallu. Holender poszedł naprzód i otworzył drzwi.

- Dama do pana Harry'ego Rayburna - powiedział i zaśmiał się.

Tak zaanonsowana weszłam do skromnie umeblowanego pokoju, przesyconego wonią taniego tytoniu. Za biurkiem siedział mężczyzna i coś pisał. Teraz wstał i uniósł w górę brwi.

- Mój Boże - powiedział - przecież to panna Beddingfeld.

- Ja chyba podwójnie widzę - zaczęłam się usprawiedliwiać. - Czy to pan Chichester, czy też panna Pettigrew? Dostrzegam wyraźne podobieństwo do nich obojga.

- Obie te postacie przeszły chwilowo w stan spoczynku. Pozbyłem się zarówno spódnicy, jak i sutanny. Zechce pani spocząć.

Przyjęłam zaproszenie.

- Wydaje mi się, że trafiłam pod zły adres - zauważyłam.

- Z pani punktu widzenia z pewnością. Doprawdy, panno Beddingfeld, żeby po raz drugi wpakować się prosto w pułapkę!

- Rzeczywiście nie było to zbyt mądre z mojej strony - przyznałam potulnie.

Coś w moim zachowaniu musiało go zaskoczyć.

- Pani nie wydaje się tym zaniepokojona - zauważył sucho.

- Czy moje bohaterstwo wywarłoby na panu jakiegokolwiek wrażenie?

- Z pewnością nie.

- Moja cioteczna babka Jane zawsze twierdziła, że prawdziwa dama nigdy nie bywa niczym zaskoczona ani przestraszona - szepnęłam marzycielsko. - Staram się postępować zgodnie z tą zasadą.

Z twarzy pana Chichester/Pettigrew bez trudu można było wyczytać, co sobie o mnie pomyślał. Mówiłam dalej:

- Pańska charakteryzacja była wspaniała. Kiedy przebrał się pan za pannę Pettigrew, ani przez chwilę pana nie podejrzewałam, nawet gdy pan złamał ołówek, widząc mnie wsiadającą do pociągu w Kapsztadzie.

Trzymanym w ręku ołówkiem postukał o blat biurka.

- Wszystko to bardzo pięknie, panno Beddingfeld, ale przejdźmy do rzeczy. Czy pani domyśla się, dlaczego tu panią sprowadziliśmy?

- Pan wybaczy - odparłam - ale zawsze prowadzę interesy wyłącznie z szefem.

Przeczytałam tę ripostę w jakimś piśmie i bardzo mi się spodobała. Bez wątpienia zrobiła też wrażenie na panu Chichester/Pettigrew. Otworzył usta i zamknął je na powrót. Popatrzyłam na niego promiennie.

- To maksyima mojego ciotecznego dziadka George'a - dodałam po namyśle. - Męża ciotki Jane. Trudnił się wyrabianiem mosiężnych gałek do łózek.

Wątpię, czy kiedykolwiek przedtem pan Chichester/Pettigrew był obiektem czyichś kpin. Wyraźnie mu się to nie spodobało.

- Byłoby rozsądniej zmienić ton, młoda damo.

Nie raczyłam odpowiedzieć, tylko ziewnęłam dyskretnie, dając do zrozumienia, że ta rozmowa mnie nudzi.

- Co, u diabła!... - zaczął z impetem. Nie pozwoliłam mu dokończyć.

- Zapewniam pana, że krzykiem nic pan nie zwojuje. Tracimy tylko czas. Nie mam ochoty na rozmowy z podwładnymi. Zaoszczędzi pan sobie wiele czasu i nerwów, prowadząc mnie wprost do sir Eustachego Pedlera.

- Do?...

Tym go wyraźnie dobiłam.

- Ja... ja... przepraszam na moment.

Wybiegł z pokoju jak oparzony. Wykorzystałam tę chwilę i starannie przypudrowałam nos. Poprawiłam też kapelusz, by wyglądać jak najkorzystniej. Wreszcie byłam gotowa na spotkanie z przeciwnikiem.

Chichester wrócił ugrzeczniony.

- Pozwoli pani tędy, panno Beddingfeld.

Poprowadził mnie na górę i zapukał do drzwi. Ze środka dobiegło energiczne „proszę”. Pan

Chichester/Pettigrew otworzył i gestem nakazał mi wejść.

Sir Eustachy Pedler, rozplývając się w uśmiechach, zerwał się, by mnie przywitać.

- Proszę, proszę, panna Anna. - Gorąco uściskał moją dłoń. - Niechże pani spocznie. Nie odczuwa pani zmęczenia po podróży? To dobrze.

Usiadł twarzą do mnie, cały rozpromieniony. Poczulałam się niepewnie. Jego zachowanie było tak naturalne...

- Postąpiła pani słusznie, żądając od razu rozmowy ze mną. Minks to głupiec. Świetny aktor, ale głupiec. To właśnie Minks przywitał panią na dole.

- Ach tak - powiedziałam słabo.

- A teraz - odezwał się sir Eustachy życzliwie - przystąpmy do rzeczy. Od jak dawna pani wie, że jestem Pułkownikiem?

- Odkąd pan Pagett powiedział mi, że widział pana w Marlow. Rzekomo był pan w tym czasie w Cannes.

Sir Eustachy przytaknął ponuro.

- Tak, powiedziałem temu głupcowi, że rozegrał to cholernie dobrze. Oczywiście nawet nie zrozumiał, o co chodzi. Był tak zaprzątnięty myślą, czy ja go rozpoznałem, że nawet do głowy mu nie przyszło zastanowić się, co ja tam właściwie robię. Po prostu pech. A tak to znakomicie zaplanowałem. Pagetta wysłałem do Florencji, w hotelu oznajmiłem, że wyjeżdżam do Nicei na dzień lub dwa. W momencie odkrycia zwłok byłem z powrotem w Cannes i nikt nie podejrzewał, że w ogóle opuszczałem Riwierę.

Mówił to wszystko zupełnie spokojnie i bez emocji. Musiałam się uszczypnąć, aby się upewnić, że to jawa, a nie sen, że człowiek siedzący naprzeciwko mnie rzeczywiście jest groźnym przestępcą, słynnym Pułkownikiem. Zaczęłam porządkować fakty.

- To pan usiłował wypchnąć mnie za burtę. Pagett zobaczył właśnie pana.

Wzruszył ramionami.

- Proszę o wybaczenie, drogie dziecko, naprawdę proszę o wybaczenie. Czulem do ciebie wielką sympatię, ale ty do wszystkiego się wtrącałaś. Nie mogłem dopuścić, aby moje plany zostały udaremnione przez taką dzierlatkę.

- Ta próba przy Wodospadzie Wiktorii była prawdziwym majstersztykiem - powiedziałam, usiłując spojrzeć na wszystko z odmiennego punktu widzenia. - Byłabym gotowa przysiąc, że w chwili gdy wychodziłam, był pan w hotelu. W przyszłości nie uwierzę, dopóki nie zobaczę.

- Tak. Panna Pettigrew to znakomita kreacja Minksa. A mój głos potrafi naśladować

wyśmienicie.

- Jest jeszcze coś, o czym chciałabym wiedzieć.

- Tak?

- Jak pan nakłonił Pagetta do tego, by ją zaangażował?

- Och, to było zupełnie proste. Czekala na niego przed Biurem Komisarza do Spraw Handlu czy w Departamencie Górnictwa, czy gdzieś tam jeszcze, powiedziała mu, że przed chwilą tu dzwoniłem i że ona została wybrana przez rząd na moją sekretarkę. Kupił to bez mrugnięcia okiem.

- Pan jest bardzo szczery - powiedziałam obserwując go bacznie.

- Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym być.

Nie spodobało mi się to, co powiedział. Pośpiesznie usiłowałam wytłumaczyć to po swojemu.

- Wierzy pan w sukces tej rewolucji? Spalił pan za sobą wszystkie mosty.

- Jak na skądinąd inteligentną kobietę, uczyniła pani wyjątkowo głupie spostrzeżenie. Nie, moje dziecko, nie wierzę w powodzenie tej rewolucji. Daję jej jeszcze dwa dni, potem się wypali.

- A więc porażka - zauważyłam złośliwie.

- Typowa kobieta. Zupełnie nie zna się pani na interesach. Moim zadaniem było dostarczenie pewnej ilości broni i materiałów wybuchowych, za co zostałem sownie opłacony, a także odpowiednie podgrzanie nastrojów i skompromitowanie pewnych ludzi. Z kontraktu wywiązałem się znakomicie. Przezornie kazałem zapłacić sobie z góry. Przedsięwzięciem szczególne środki ostrożności, jako że postanowiłem sobie, iż będzie to moja ostatnia sprawa przed całkowitym wycofaniem się z interesów. Co się zaś tyczy spalania za sobą wszystkich mostów, nie wiem doprawdy, o czym pani mówi. Przecież nie jestem przywódcą tej rebelii ani nikim takim. Jestem dystyngowanym angielskim turystą, który miał nieostrożność wejść do pewnego sklepu z pamiątkami i zobaczyć coś, co nie było przeznaczone dla jego oczu. Biedak został więc uprowadzony. Jutro albo pojutrze, w zależności od okoliczności, odnajdą mnie gdzieś związanego, zagłodzonego i w ogóle w pożałowania godnym stanie.

- Ach tak - powiedziałam wolno. - A co ze mną?

- No właśnie - odparł sir Eustachy łagodnie - co z panią? Mam panią tutaj. Nie chcę tego w żaden sposób podkreślać, ale taka jest prawda. Pytanie brzmi, co dalej. Najprostszym sposobem rozprawienia się z panią - i pozwolę sobie dodać, najprzyjemniejszym dla mnie - byłoby poślubienie pani. Jak pani wie, żony nie mogą świadczyć przeciwko mężom. Poza tym podoba mi się pomysł posiadania ładnej, młodej żony, która będzie trzymała mnie za rękę, wpatrując się we mnie swoimi marzycielskimi oczami. Niech pani nie patrzy na mnie tak groźnie! Niemal się pani boję. Widzę, że mój plan nie przemawia pani do przekonania.

- Nie.

Sir Eustachy westchnął.

- Szkoda. Nie jestem przecież żadnym czarnym charakterem z melodramatu. Zawsze ten sam problem. Pani kocha innego, jak piszą w książkach.

- Kocham innego.

- Tak myślałem. Początkowo sądziłem, że pani wybrańcem jest ten długonogi, napuszony osioł Race, teraz jednak doszedłem do wniosku, że obdarzyła pani swoimi uczuciami owego młodego bohatera, który wyłowił panią z wodospadu pamiętnej nocy. Kobiety nie mają gustu. Przecież żaden z tych dwóch nie ma ani połowy tego rozumu co ja. Mnie łatwo nie docenić.

Chyba miał rację. Mimo że teraz wiedziałam już, kim był naprawdę, ciągle trudno mi było się z tym pogodzić. Niejednokrotnie usiłował mnie zabić, zamordował tamtą kobietę, był też odpowiedzialny za wiele innych uczynków, o których nie miałam pojęcia, a jednak nie byłam zdolna ocenić go tak, jak na to zasługiwał. Nie potrafiłam myśleć o nim inaczej niż jako o naszym uroczym, zabawnym towarzyszku podróży. Nie potrafiłam nawet wzbudzić w sobie strachu przed nim, mimo że wiedziałam, iż zamordowałby mnie z zimną krwią, gdyby tylko uznał to za stosowne. Sir Eustachy wydał mi się podobny do Stevensonowskiego Johna Silvera. Innego porównania nie potrafiłam dla niego znaleźć.

- No trudno - powiedział ten niezwykle człowiek, odchylając się w krześle - szkoda, że pomysł zostania lady Pedler nie odpowiada pani. Inne możliwości są mało zachęcające.

Poczułam ciarki na grzbiecie. Oczywiście od samego początku wiedziałam, że podejmuję ogromne ryzyko, jednak gra wydawała mi się warta świeczki. Czy wszystko uda się tak, jak to zaplanowałam?

- Faktem jest - kontynuował sir Eustachy - że czuję do pani pewną słabość. Nie chciałbym się posuwać do rozwiązań ekstremalnych. Zróbmy więc tak. Pani opowie mi całą historię od samego początku, a potem zobaczymy. Ale proszę bez żadnych upiększeń. Chcę usłyszeć wyłącznie prawdę.

Nie miałam zamiaru popełniać żadnego błędu. Byłam pełna uznania dla jego przenikliwości. Należało powiedzieć prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Opowiedziałam mu moją historię, nie opuszczając niczego, aż do momentu uratowania mnie przez Harry'ego. Gdy skończyłam, z aprobatą pokiwał głową.

- Mądra dziewczyna, wyznała mi wszystko. Zapewniam panią, że natychmiast bym się zorientował, gdyby postąpiła pani inaczej. Wielu ludzi nie uwierzyłoby w pani historię, zwłaszcza w jej początek, ale ja pani wierzę. Pani jest tego typu dziewczyną, co to potrafi rzucić się w wir przygód, zupełnie bez zastanowienia i z zupełnie błahych powodów. Miała pani zdumiewające szczęście, lecz prędzej czy później każdy amator musi wreszcie trafić na zawodowca i wtedy rezultat jest z góry przesądzony. Ja jestem zawodowcem. Wszedłem w ten interes jeszcze w czasach młodości. Uznałem, że to dobry sposób, aby się szybko wzbogacić. Zawsze potrafiłem właściwie

ocenić każdy problem i znaleźć właściwe rozwiązanie. Nigdy też nie popełniłem tego błędu, by osobiście angażować się w realizację swoich planów. Zawsze zatrudniaj ekspertów - oto moja dewiza. Raz tylko odstępiałem od tej zasady i źle się to dla mnie skończyło. W tym wypadku jednak nie mogłem nikomu powierzyć zadania. Nadina wiedziała za dużo. Jestem wyrozumiały, łagodny i życzliwy, pod warunkiem że nikt nie usiłuje wejść mi w paradę. Nadina nie dosyć, że pokrzyżowała moje plany, to jeszcze usiłowała mi grozić, i to wtedy, gdy byłem u szczytu kariery. Gwarancją mojego bezpieczeństwa była jej śmierć i odzyskanie diamentów. Sfuszerowałem tę robotę. Wszystko przez tego idiotę Pagetta z jego żoną i czwórką dzieci. Moja wina. Zatrudnienie faceta z twarzą renesansowego truciciela i prawdziwie wiktoriańską duszyczką odpowiadało mojemu poczuciu humoru. To ostrzeżenie dla pani, Anno. Niech się pani nigdy nie kieruje poczuciem humoru. Instykt przez całe lata mnie ostrzegał, że należy pozbyć się Pagetta, on jednak był tak sumienny i skrupulatny, że szczerze mówiąc, nie potrafiłem znaleźć żadnego pretekstu, żeby mu wymówić. Pozwoliłem sprawom toczyć się własnym torem.

Ale wróćmy do tematu. Co z panią zrobić? Pani opowiadanie było zupełnie jasne i klarowne. Jeden tylko szczegół umknął mojej uwadze. Gdzie są teraz diamenty?

- Ma je Harry Rayburn - odparłam, obserwując go bacznie.

Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Nadal promieniowała humorem.

- Hm, chcę je mieć.

- Nie widzę szansy, by mógł je pan odzyskać.

- Naprawdę nie? Ja widzę. Nie chciałbym być niemiły, ale pragnę zwrócić pani uwagę, że martwa dziewczyna znaleziona w tej części miasta nie będzie dla nikogo zaskoczeniem. Na dole czeka jeden z moich ludzi, który bez wahania wykona podobne zadanie. Pani jest przecież rozsądną młodą kobietą. Proponuję następujące rozwiązanie. Pani teraz usiądzie i napisze do Harry'ego Rayburna, aby tu przyjechał i przywiózł ze sobą diamenty.

- Nie zrobię tego.

- Proszę nie przerywać starszym. Proponuję pani interes. Diamenty w zamian za życie. Niech pani nie popełni żadnego błędu. Jest pani całkowicie w moich rękach.

- A co będzie z Harrym?

- Mam zbyt współczujące serce, by rozdzielać parę kochanków. Także odejdzie stąd wolny, pod warunkiem oczywiście, że żadne z was w przyszłości nie będzie usiłowało wejść mi w paradę.

- Jaką mam gwarancję, że dotrzyma pan warunków umowy?

- Żadnej, moja droga. Musi mi pani po prostu zaufać i wierzyć, że wszystko będzie dobrze. Oczywiście jeśli pragnie pani odgrywać bohaterkę i zginąć, to już pani sprawa.

Taki był właśnie mój plan. Odgrywałam rolę osoby ostrożnej, nie rzucającej się od razu na



przynętę, a którą w rezultacie udało się przechytrzyć i skłonić do ustępstw. Napisałam pod dyktando sir Eustachego:

„Drogi Harry.

Wydaje mi się, że wiem już, w jaki sposób można udowodnić Twoją niewinność. Proszę, działaj zgodnie z moimi instrukcjami. Pójdź do sklepu z pamiątkami Agrasato i zapytaj o «coś wyjątkowego, coś na specjalne okazje». Właściciel zaproponuje Ci przejście na zaplecze. Idź za nim. Spotkasz tam posłańca, który przyprorowadzi Cię do mnie. Rób to, co Ci każe. Nie obawiaj się i weź ze sobą diamenty. Nikomu ani słowa.”

Skończył dyktować.

- Wszystkie ozdobniki pozostawiam pani uznaniu. Tylko niech pani nie popełni jakiegoś błędu.

- „Twoja na wieki Anna” będzie chyba zupełnie odpowiednie - powiedziałam.

Napisałam te słowa. Sir Eustachy wyciągnął rękę po list i przebiegł go oczami.

- W porządku. Teraz adres.

Podalam mu. Był to adres niewielkiego sklepiku, gdzie można było odbierać listy i telegramy.

Sir Eustachy nacisnął przycisk dzwonka. Chichester/Pettigrew alias Minks pojawił się na wezwanie.

- Natychmiast nadać ten list - zwykłym kanałem.

- Dobrze, Pułkowniku.

Przeczytał nazwisko na kopercie. Sir Eustachy obserwował go uważnie.

- Zdaje się, że to twój przyjaciel.

- Mój przyjaciel? - powtórzył Minks wystraszony.

- Odbyłeś z nim wczoraj dłuższą rozmowę w Johannesburgu.

- Podeszedł do mnie i wypytywał mnie o pana i o pułkownika Race. Oczywiście udzieliłem mu fałszywych informacji.

- Znakomicie, przyjacielu, znakomicie - powiedział sir Eustachy jowialnie. - Mój błąd.

Rzuciłam okiem na Minksa, gdy wychodził z pokoju. Był blady jak ściana, wyglądał, jakby go coś śmiertelnie przeraziło. Gdy tylko wyszedł, sir Eustachy podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu.

- To ty, Schwarz? Pilnuj Minksa. Bez rozkazu nie wolno mu się oddalać.

Odłożył słuchawkę i zmarszczył brwi. Ręką uderzał lekko w blat stołu.

- Czy mogę panu zadać kilka pytań? - zapytałam po chwili milczenia.

- Oczywiście. Podziwiam pani opanowanie. Potrafi pani wykazać intelektualne zainteresowanie problemem, podczas gdy większość dziewcząt na pani miejscu pociągałaby nosem i załamywałaby ręce.

- Dlaczego zatrudnił pan Harry'ego jako swojego sekretarza, zamiast oddać go w ręce policji?

- Chciałem odzyskać te przeklęte diamenty. Nadina, ta mała diablica, wygrywała Rayburna przeciwko mnie. Albo zapłacę jej cenę, jakiej żąda, albo sprzeda je jemu. To był mój drugi błąd - założyłem, że Nadina ma diamenty przy sobie. Na to była jednak za sprytna. Jej mąż Carton już nie żył. Nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie mogą być te kamienie. Udało mi się zdobyć kopię depeszy wysłanej do Nadiny z pokładu „Kilmorden Castle” - albo przez Cartonę, albo przez Rayburna. Nie wiedziałem, który z nich jest nadawcą. W depeszy było dokładnie to samo, co na owym świstku papieru, który wpadł pani w ręce: „siedemnaście jeden dwadzieścia dwa”. Uznałem, że może to być termin spotkania z Rayburnem, i gdy on tak desperacko usiłował dostać się na statek, doszedłem do wniosku, że moje przypuszczenie jest słuszne. Udałem więc, że wierzę w jego wyjaśnienia, i pozwoliłem mu jechać z sobą. Obserwowałem go bacznie przez cały czas, mając nadzieję, że tym sposobem czegoś się dowiem. Potem odkryłem, że Minks prowadzi własną grę, usiłując mnie wykiwać. Musiałem to ukrócić i przywołać go do porządku. Zirykowało mnie, że nie udało mi się zdobyć kabiny 17. Drażnił mnie też fakt, że nie potrafiłem rozszyfrować pani roli. Nie mogłem się zdecydować, czy jest pani zupełnie niewinną dziewczyną, na jaką pani wygląda, czy też nie. Gdy Rayburn udawał się na nocne spotkanie, poleciłem Minksowi, aby mu w tym przeszkodził. Oczywiście sfuszerował.

- Ale dlaczego w depeszy było 17 zamiast 71?

- Myślałem o tym. Carton dał pewnie operatorowi swoją kartkę do przetelegrafowania i nigdy potem nie zajrzał do kopii depeszy. Operator uczynił ten sam błąd co my wszyscy i odczytał notatkę jako 17.1.22 zamiast 1.71.22. Nie mam natomiast pojęcia, skąd Minks wiedział o kabinie 17. Być może czysty instynkt.

- A ta przesyłka dla generała Smutsa? Kto zamienił papiery?

- Moja droga Anno. Chyba pani nie przypuszcza, że zrezygnowałbym z moich planów, nie czyniąc żadnego wysiłku, aby je uratować. Zatrudniwszy zbiegłego mordercę jako sekretarza, nie wahałem się ani przez moment. Nikomu nie przyszłoby do głowy podejrzewać biednego, starego Pedlera.

- A co z pułkownikiem Race?

- To był przykry wstrząs. Kiedy Pagett powiedział mi, że jest on jednym z tych facetów z Secret

Service, poczułem nieprzyjemny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Przypomniałem sobie, że śledził Nadinę w Paryżu podczas wojny, i miałem okropne podejrzenia, że całą swoją uwagę skierował teraz na mnie. Nie podobał mi się sposób, w jaki się do mnie przyczepił. On należy do tych silnych, małomównych mężczyzn, którzy zawsze kryją coś w zanadrzu.

Zabrzmiał dzwonek wewnętrznego telefonu. Sir Eustachy podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę, potem powiedział:

- Dobrze, zaraz się z nim zobaczę.

- Interesy - zwrócił się do mnie. - Pozwoli pani, że pokażę pani jej pokój.

Zaprowadził mnie do niewielkiego, zakurzonego pomieszczenia. Boy przyniósł moją walizeczkę. Sir Eustachy wychodząc powiedział, abym nie wahała się prosić o wszystko, czego mogę potrzebować. Zachowywał się niczym gościnnie gospodarz. Na umywalce stał dzbanek z gorącą wodą. Zaczęłam rozpakowywać swoje rzeczy. W kosmetyczce namacałam jakiś twardy, obcy przedmiot. Zajrzałam do środka.

Ku mojemu niebotycznemu zdumieniu przedmiot okazał się niewielkim rewolwerem z rękojeścią wykładaną masą perłową. Z pewnością nie miałam go w kosmetyczce, opuszczając Kimberley. Obejrzałam go dokładnie; chyba był naładowany.

Poczułam się rażniej. W tym domu z pewnością mógł się okazać użyteczny. Współczesne ubrania absolutnie nie są przystosowane do ukrywania broni palnej. W końcu wepchnęłam rewolwer za podwiązkę. Choć znać było wybrzuszenie, a poza tym przez cały czas miałam wrażenie, że może w każdej chwili wypalić i przestrzelić mi nogę, to jednak było naprawdę jedyne miejsce, gdzie mogłam go schować.

### XXXIII

Przed oblicze sir Eustachego wezwano mnie ponownie dopiero późnym popołudniem. Poranną herbatę i lunch przyniesiono mi do pokoju. Poczułam się pokrzepiona przed dalszymi zmaganiem.

Sir Eustachy był sam. Spacerował po pokoju. Nie uszło mej uwagi, że oczy mu błyszczą podnieceniem. Wyraźnie triumfował. Jego zachowanie wobec mnie uległo pewnej zmianie.

- Mam dla pani nowiny. Pani młody przyjaciel będzie tu lada moment. Niech pani poskromi swoją radość, jeszcze nie skończyłem. Dziś rano próbowała pani wprowadzić mnie w błąd. Ostrzegałam panią, że najrozsądniej trzymać się prawdy, i do pewnego momentu była pani posłuszna moim wskazówkom. Jednak później zboczyła pani z toru. Usiłowała mi pani wmówić, że diamenty są w posiadaniu Harry'ego Rayburna. Udałem, że akceptuję to stwierdzenie, gdyż ułatwiało ono mój plan użycia pani jako przynęty do zwabienia Rayburna w pułapkę. Ale, droga pani, diamenty mam ja.

Mam je od chwili wyjazdu znad Wodospadu Wiktorii, choć odkryłem ten fakt dopiero dzisiaj.

- A więc pan wie - jęknęłam.

- Może zainteresuje panią, że na trop naprowadził mnie Pagett. Uraczył mnie długą, bezsensowną historią o jakimś zakładzie i opakowaniu z filmami. Doprawdy nie było trudno dodać dwa do dwóch. Podejrzliwość pani Blair wobec pułkownika Race, jej niepokój, jej nalegania, abym zaopiekował się nabytymi przez nią upominkami. Niezastąpiony Pagett z czystej nadgorliwości rozpakował jej bagaże. Zanim opuściłem hotel, zabrałem po prostu wszystkie filmy. Mam je tutaj. Przyznaję, że nie miałem czasu przyjrzeć się im dokładnie, ale zauważyłem, że jedno z opakowań zdecydowanie różni się ciężarem, dziwnie grzechoce i zostało zaklejone seccotina. Trzeba będzie użyć otwieracza do puszek, aby je otworzyć. Sprawa przedstawia się zupełnie jasno, prawda? Widzi pani, teraz mam was oboje w pułapce. Szkoda, że nie zgodziła się pani zostać lady Pedler.

Patrzyłam na niego w milczeniu.

Na schodach zabrzmiał odgłos kroków, drzwi otworzyły się z rozmachem i do pokoju wszedł Harry Rayburn, popycHarry przez dwóch mężczyzn. Sir Eustachy rzucił mi triumfujące spojrzenie.

- Tak jak planowałem - powiedział łagodnie. - Amatorzy przeciwko profesjonalistom.

- Co to ma znaczyć? - krzyknął Harry ochrypłym głosem.

- To znaczy, że weszłaś do mojej jadalni, rzekł pajak do muchy - odparł żartobliwie sir Eustachy. - Mój drogi Rayburn, pan ma wyjątkowego pecha.

- Zapewniałaś mnie, że mogę tu przybyć bez obawy.

- Proszę jej nie obwiniać, mój drogi. List był pisany pod moje dyktando i dama nic nie mogła na to poradzić. Oczywiście byłoby mądrzej, gdyby go wcale nie napisała, w swoim czasie jednak nie zdradziłem jej tego. Zgodnie z jej instrukcjami odwiedził pan sklep Agrasato, został przeprowadzony przez tajne przejście na zapleczu i wpadł pan prosto w ręce wroga.

Harry popatrzył na mnie. Zrozumiałam to spojrzenie i przysunęłam się bliżej sir Eustachego.

- Tak - powiedział ten ostatni - pan ma naprawdę pecha. To już... zaraz... trzecie spotkanie.

- To prawda - odparł Harry - trzecie. Dwa razy udało się panu mnie pokonać. Nigdy nie słyszał pan powiedzenia „do trzech razy sztuka”? Teraz moja kolej. Celuj w niego, Anno!

Byłam przygotowana. Szybkim ruchem wyszarpnęłam pistolet i przystawiłam sir Eustachemu do głowy. Dwaj mężczyźni, którzy pilnowali Harry'ego, skoczyli do przodu, lecz jego głos powstrzymał ich.

- Jeszcze krok i sir Eustachy zginie. Anno, gdyby próbowali podejść bliżej, pociągnij za cyngiel. Nie wahaj się.

- Nie zawaham się - odparłam rażno - choć trochę się tego boję.

Zdaje się, że sir Eustachy podzielał moje obawy. Zaczął się trząść jak galareta.

- Zostańcie na swoich miejscach - polecił i jego podkomendni zatrzymali się posłusznie.

- Niech pan każe im wyjść - powiedział Harry.

Sir Eustachy wydał odpowiedni rozkaz i strażnicy wyszli. Harry starannie zamknął drzwi na zasuwę.

- Teraz możemy porozmawiać - oznajmił groźnym tonem, podchodząc do mnie i odbierając mi rewolwer.

Sir Eustachy wydał westchnienie ulgi. Otarł czoło chusteczką.

- Potwornie się zdenerwowałem - zauważył. - Chyba mam słabe serce. Jestem doprawdy szczęśliwy, że rewolwer przeszedł w kompetentne ręce. Nie mam zaufania do panny Anny w tym względzie. Dobrze, młody przyjacielu, teraz możemy porozmawiać. Przyznaję, że tym razem mnie pan wyprzedził. Pojęcia nie mam, skąd się wziął ten rewolwer. Kazałem przeszukać bagaż dziewczyny, gdy tylko się tu znalazła. Skąd go pani nagle wytrzasnęła? Przecież minutę wcześniej jeszcze go pani nie miała.

- Owszem, miałam - odparłam - w pończosze.

- Widać nie znam kobiet dość dobrze. Powinienem się był bardziej poświęcić ich studiowaniu - powiedział sir Eustachy ze smutkiem. - Ciekaw jestem, czy Pagett by się domyślił.

Harry uderzył pięścią w stół.

- Niech pan nie udaje głupca. Gdyby nie pańskie siwe włosy, wyrzuciłbym pana przez okno. Ty łajdaku! Zresztą co mi tam siwe włosy, ja...

Postąpił krok do przodu. Sir Eustachy zwawo skoczył za stół.

- Młodzi są zawsze tacy gwałtowni - powiedział tonem pełnym wyrzutu. - Niezdolni do zrobienia użytku ze swojego mózgu, wierzący wyłącznie w siłę mięśni. Porozmawiajmy rozsądnie. W obecnej chwili jesteś górą, ale ten stan nie będzie trwał wiecznie. Dom jest pełen moich ludzi. Jesteście w mniejszości. Wasza chwilowa przewaga to zwykły zbieg okoliczności.

- Czyżby?

Szyderstwo w głosie Harry'ego nie uszło uwagi sir Eustachego.

- Czyżby? - powtórzył Harry. - Niech pan siada i słucha, co mam panu do powiedzenia. - Ciągle mierząc w niego z rewolweru, kontynuował: - Tym razem pan przegrał. Proszę posłuchać tego!

Z dołu dobiegały przytłumione odgłosy walenia w drzwi. Rozległy się okrzyki, przekleństwa, wreszcie huk wystrzałów. Sir Eustachy zbladł.

- Co to?

- Race ze swoimi ludźmi. Pan o tym nie wiedział, ale Anna i ja mieliśmy szyfr, dzięki któremu wiedzieliśmy, czy korespondencja naprawdę pochodzi od danej osoby. Moje telegramy były sygnowane „Andy”, listy zawierały skreślone słowo „oraz”. Anna wiedziała, że nie ja wysłałem ten telegram. Przybyła tutaj dobrowolnie, celowo wchodząc w zastawioną pułapkę, w nadziei że może tym sposobem schwyta w nią pana. Zanim opuściła Kimberley, zatelegrafowała do mnie i do pułkownika Race. Pozostawiliśmy w kontakcie z panią Blair. List pisany pod pańskie dyktando był tym, na który właśnie czekałem. Race i ja podejrzewaliśmy, że ze sklepu prowadzi jakieś sekretne przejście. Pułkownikowi Race udało się odkryć, gdzie się ono kończy.

Rozległ się ogłuszający huk. Budynek wstrząsnęła eksplozja.

- Ostrzeliwują tę część miasta, Anno. Muszę cię stąd zabrać.

Za oknem rozlała się szeroka łuna. Sąsiedni budynek stał w płomieniach. Sir Eustachy wstał i zaczął spacerować po pokoju. Harry trzymał go na muszce.

- Jak pan widzi, sir Eustachy, gra skończona. Był pan uprzejmy sam zdradzić nam miejsce swojego pobytu. Ludzie pułkownika Race obserwowali wyjście z sekretnego pasażu. Mimo wszystkich podjętych przez pana środków ostrożności nie mieli kłopotów z wyśledzeniem, dokąd mnie zabrano.

Sir Eustachy zrobił gwałtowny zwrot.

- Bardzo mądrze, bardzo chwalebnie. Ale ja ciągle mam coś do powiedzenia. Przegrałem tę partię, ale pan także. Nigdy nie uda się panu zrobić mnie w zamordowanie Nadiny. Byłem w tym czasie w Marlow, to wszystko, czym pan dysponuje. Nikt nie będzie w stanie udowodnić mi chociażby tego, że kiedykolwiek znałem tę kobietę. Natomiast pan ją znał, pan miał motyw. Poza tym pan ma kryminalną przeszłość. Proszę nie zapominać, że jest pan złodziejem, tak, złodziejem. Jest jeszcze jedna rzecz, o której pan nie ma pojęcia. Diamenty są tutaj. Proszę!

Niewiarygodnie szybkim ruchem uniósł w górę rękę. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Ciśnięty przez okno przedmiot zniknął w gorejącej masie zgliszczy naprzeciwko.

- Tak oto przepadł jedyny dowód pańskiej niewinności w sprawie tamtej kradzieży w Kimberley. A teraz pomówmy poważnie. Przyparł mnie pan do muru. Race znajdzie w tym domu wszystkie dowody, jakich potrzebuje. Istnieje dla mnie pewna szansa, pod warunkiem, że uda mi się umknąć. Jeśli nie, jestem skończony, ale pan także, młody człowieku. W sąsiednim pomieszczeniu znajduje się świetlik. Dwie minuty i już mnie tu nie będzie. Poczyłem odpowiednie przygotowania na podobną okoliczność. Pan pozwoli mi zbiec i da trochę czasu, a ja zostawię panu podpisane oświadczenie, że zabiłem Nadinę.

- Tak, Harry! - zawołałam. - Tak, tak, tak.

Harry odwrócił się ku mnie. Twarz miał bardzo poważną.

- Nie, Anno, po stokroć nie. Sama nie wiesz, co mówisz.

- Wiem. To rozwiązywałoby wszystko.

- Nie mógłbym potem spojrzeć w twarz pułkownikowi Race. Zaryzykuję. Byłbym przeklęty, gdybym pozwolił temu staremu lisowi wymknąć się stąd. Nie, Anno, ja tego nie zrobię.

Sir Eustachy zachichotał. Przyjął porażkę zupełnie spokojnie.

- Świetnie, Anno - powiedział - wreszcie znalazła pani swojego mistrza. Ale zapewniam was, że uczciwość nie zawsze popłaca.

Rozległ się trzask łamanego drewna! Na schodach zadudniły czyjeś kroki. Harry odryglował zasuwę. Do pokoju wszedł pułkownik Race. Na nasz widok jego twarz rozjaśniła się.

- Anno, jest pani bezpieczna. Obawiałem się... - Odwrócił się do sir Eustachego. - Długo cię szukałem, Pedler, aż wreszcie udało mi się cię dopaść.

- Zdaje się, że wszyscy tutaj powariowali - oświadczył sir Eustachy zupełnie swobodnie. - Ta dwójka młodych ludzi groziła mi rewolwerem, oskarżając mnie o różne okropne rzeczy. Nie rozumiem, co to ma znaczyć.

- Naprawdę? To znaczy, że wreszcie znalazłem Pułkownika. To znaczy, że ósmego stycznia nie byłeś w Cannes, tylko w Marlow. To znaczy, że gdy Nadina - twoje dotąd posłuszne narzędzie - zwróciła się przeciwko tobie, postanowiłeś się jej pozbyć. Wreszcie jestem w stanie udowodnić ci to morderstwo.

- Czyżby? A od kogóż to uzyskał pan te wszystkie interesujące informacje? Od kryminalisty poszukiwanego przez policję. Jego zeznania będą miały doprawdy wielką wartość.

- Mamy też inne dowody. Był jeszcze ktoś, kto wiedział, że Nadina ma zamiar spotkać się z tobą w Mill House.

Sir Eustachy wyglądał na zaskoczonego. Pułkownik Race zrobił znaczący ruch ręką. Arthur Minks alias wielebny Edward Chichester, alias panna Pettigrew wystąpił naprzód. Był błydy i wyraźnie zdenerwowany, mówił jednak zupełnie wyraźnie.

- Spotkałem się z Nadiną w przeddzień jej wyjazdu do Anglii. Wystąpiłem jako rosyjski hrabia. Nadina zwierzyła mi się ze swoich planów. Ostrzegałem ją, wiedząc, z kim będzie miała do czynienia, ale ona nie posłuchała mojej rady. Na stole leżała depesza. Przeczytałem ją. Postanowiłem sam spróbować zdobyć te diamenty. W Johannesburgu zaczepił mnie pan Rayburn i namówił do współpracy.

Sir Eustachy nie odezwał się ani jednym słowem. Popatrzył tylko na niego, a Minks od razu się przygarbił.

- Szczury zawsze uciekają z tonącego okrętu - odezwał się wreszcie sir Eustachy. - Nie dbam o szczury. Prędzej czy później wytepię te szkodniki.

- Jest jeszcze coś, co chciałabym panu powiedzieć, sir Eustachy - wtrąciłam. - To opakowanie, które wyrzucił pan przez okno, nie zawierało wcale diamentów, tylko zwykłe kamyki. Diamenty są bezpiecznie schowane. Naprawdę są w brzuchu tej wielkiej żyrafy. Zuzanna wydrążyła w niej otwór, włożyła tam diamenty, owinięte w watę, żeby nie grzechotały, i zalepiła dziurę z powrotem.

Sir Eustachy spoglądał na mnie przez dłuższą chwilę. Jego odpowiedź była bardzo charakterystyczna.

- Od samego początku nie znosiłem tej przeklętej żyrafy - powiedział. - Widocznie przeczucie mnie ostrzegало.

## XXXIV

Tego wieczoru nie zdołaliśmy dotrzeć do Johannesburga. Strzelanina zbliżała się szybko i, jak się domyślałam, byliśmy odcięci przez rebeliantów, którzy zajęli kolejne przedmieście.

Naszym schronieniem stała się farma, usytuowana w szczerym polu, około dwadzieścia mil od Johannesburga. Upadałam ze zmęczenia. Napięcie i niepokój dwóch ostatnich dni sprawiły, że byłam teraz zupełnie pozbawiona energii, niczym szmaciana lalka.

Powtarzałam sobie, ciągle nie mogąc w to uwierzyć, że nasze kłopoty nareszcie się skończyły. Harry i ja jesteśmy razem i nic nie może nas rozdzielić. A jednak czułam, że między nami wyrosła jakaś bariera, że Harry nie zachowuje się wobec mnie z pełną swobodą. Nie wiedziałam, jaka mogła być tego przyczyna.

Sir Eustachy został odwieziony w przeciwnym kierunku, pod silną strażą. Na pożegnanie pomachał nam beztrosko ręką.

Następnego ranka wyszłam na *stoep* i popatrzyłam przez pola w stronę Johannesburga. W promieniach słońca widziałam dymiące zgliszcza, do moich uszu dochodziły stłumione odgłosy wystrzałów. Rewolucja jeszcze się nie skończyła.

Żona farmera zawołała mnie na śniadanie. Bardzo ją polubiłam. Była to miła kobieta, taka w typie matczynym. Oznajmiła mi, że Harry wyszedł dokądś i jeszcze nie wrócił. Znowu poczułam niepokój. Skąd ta bariera między nami?

Po śniadaniu usiadłam na *stoepie* z książką w ręku, ale nie czytałam. Byłam tak pogrążona w



myślach, że nawet nie zauważyłam pułkownika Race, zsiadającego z konia. Dopiero gdy powiedział: „Dzień dobry, Anno”, powróciłam do rzeczywistości.

- Och! - zawołałam, czerwieniąc się. - To pan.

- Czy mogę usiąść?

Przysunął sobie krzesło i usiadł obok mnie. Po raz pierwszy od tamtego dnia w Matopos byliśmy sami. Jak zwykle w jego towarzystwie poczułam jednocześnie fascynację i pewien niepokój.

- Jakie są nowiny? - zapytałam.

- Smuts przyjeżdża jutro do Johannesburga. Daję tej rebelii jeszcze trzy dni, potem się załamie. Do tego czasu jednak walki będą trwały.

- Gdyby tak można być pewnym, że zostaną zabici właściwi ludzie. To znaczy... tacy, którzy pragnęli bitwy, nie zaś zwyczajni, biedni ludzie, którym zdarzyło się mieszkać akurat tam, gdzie toczą się walki.

Skinął głową.

- Rozumiem, co pani ma na myśli. niesprawiedliwość wojny. Ale mam dla pani jeszcze inną wiadomość.

- Tak?

- Muszę się przyznać do własnego niedołęstwa. Pedlerowi udało się zbiec.

- Jak to?

- Niestety. Nikt nie wie, jak tego dokonał. Był zamknięty na noc w pokoju na piętrze, na jednej z farm przejętych przez wojsko. Jednak dzisiaj rano okazało się, że pokój jest pusty, a ptaszek wyfrunął.

W głębi ducha byłam ucieszona. Wbrew wszelkim faktom wciąż czułam do sir Eustachego pewną sympatię. Wiem, że to godne potępienia, ale nic na to nie mogłam poradzić. Podziwiałam go. Był zdecydowanym na wszystko przestępcą, ale - ośmielę się powiedzieć - bardzo miłym. Nigdy jeszcze nie spotkałam nikogo, kto byłby choć w połowie tak zabawny jak on.

Oczywiście nie zdradzałam się z tymi uczuciami. Pułkownik Race z pewnością oceniał go inaczej. Chciał oddać sir Eustachego w ręce sprawiedliwości. Jeśli się jednak zastanowić, w ucieczce sir Eustachego nie było nic nadzwyczajnego. Z pewnością w całym Johannesburgu roило się od jego szpiegów i agentów. Bez względu na to, co myślał pułkownik Race, bardzo wątpiłam, czy go kiedykolwiek złapią. Prawdopodobnie miał doskonale zabezpieczoną drogę odwrotu. Tak nam przynajmniej dał do zrozumienia.

Trochę obojętnym tonem wygłosiłam kilka odpowiednich frazesów. Nasza konwersacja

zaczęła kuleć. Znienacka pułkownik Race zapytał o Harry'ego. Powiedziałam, że Harry wyszedł zaraz z samego rana i od tego czasu go nie widziałam.

- Pani rozumie, Anno, że należy jeszcze załatwić pewne formalności, ale poza tym Harry został całkowicie oczyszczony ze wszystkich ciężących na nim zarzutów. Pozostaje oczywiście do zbadania parę szczegółów, lecz wina sir Eustachego jest bezsporna. Tak więc nic już was nie dzieli.

Powiedział to nie patrząc na mnie, powolnym, urywanym głosem.

- Rozumiem - odparłam z wdzięcznością.

- Nie ma też żadnych powodów, dla których Harry nie miałby wrócić do swojego prawdziwego nazwiska.

- Rzeczywiście.

- Pani wie, jak on się naprawdę nazywa?

Zdumiało mnie to pytanie.

- Oczywiście, że wiem. Harry Lucas.

Pułkownik Race nic nie odpowiedział, jednak jego milczenie wydało mi się bardzo wymowne.

- Anno... czy pamięta pani ten dzień, kiedy pojechaliśmy do Matopos? Powiedziałem wtedy, że teraz wiem, co powinienem zrobić.

- Pamiętam.

- I teraz mógłbym z czystym sumieniem powiedzieć, że wypełniłem swoją powinność. Pani ukocHarry został oczyszczony z zarzutów.

- Czy to miał pan wtedy na myśli?

- Tak.

Pochyliłam głowę, zawstydzona moimi niczym nie uzasadnionymi podejrzeniami. Pułkownik Race mówił dalej, głosem pełnym zadumy.

- Kiedy byłem młody, pokochałem pewną dziewczynę, która mnie potem rzuciła. Po tym wydarzeniu pomyślałem sobie, że pozostała mi jeszcze moja praca. Kariera oznaczała dla mnie wszystko. Potem spotkałem panią, Anno, i tamto wydało mi się nagle nieważne. Ale młodość ciągnie do młodości. Ja... nadal mam swoją pracę.

Milczałam. Z pewnością nie można kochać dwóch mężczyzn na raz - ale można odnosić takie wrażenie. Ten człowiek naprawdę odznaczał się ogromną siłą przyciągania. Nagle popatrzyłam na niego.

- Myślę, że zajdzie pan daleko - powiedziała w rozmarzeniu. - Przed panem wielka kariera. Będzie pan jedną z bardziej znaczących osobistości tego świata.

Czułam, jakby nagle było mi dane spojrzeć na moment w przyszłość.

- Ale pozostanę samotny.

- Wielcy ludzie są zawsze samotni.

- Tak pani uważa?

- Jestem o tym przekonana. Ujął moją rękę i powiedział cicho:

- Wolałbym raczej... to drugie.

W tym momencie zza rogu domu wynurzył się Harry. Pułkownik Race wstał.

- Dzień dobry... Lucas - powiedział.

Z jakiegoś powodu Harry zaczerwienił się po koniuszki włosów.

- Tak - odezwałam się radośnie - teraz już powinieneś wrócić do swojego prawdziwego nazwiska.

Harry uporczywie wpatrywał się w pułkownika Race.

- A więc pan wie? - powiedział w końcu.

- Nigdy nie zapominam twarzy. Widziałem cię kiedyś, gdy byłeś chłopcem.

- O czym wy mówicie? - zapytałam zdumiona, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego.

Między nimi toczyła się niema walka. Pułkownik Race zwyciężał. Harry odwrócił głowę.

- Myślę, że ma pan rację. Niech jej pan powie moje nazwisko.

- Anno, to nie jest Harry Lucas. Harry Lucas poległ na wojnie. To John Harold Eardsley.

## XXXV

Wypowiedziawszy te słowa, pułkownik Race odjechał, zostawiając nas samych. Spoglądałam za nim. Głos Harry'ego przywołał mnie do rzeczywistości.

- Anno, przebacz mi. Powiedz, że mi przebaczasz. Ujął moją dłoń, lecz ja cofnęłam ją

odruchowo.

- Dlaczego mnie oszukałeś?

- Nie wiem, co mam powiedzieć, żebyś zrozumiała. Bałem się. Obawiałem się czegoś takiego jak moc i fascynacja bogactwem. Chciałem, żebyś mnie kochała dla mnie samego - bez tych wszystkich tytułów i splendorów.

- To znaczy, że nie miałaś do mnie zaufania?

- Jeżeli chcesz, możesz to i tak nazwać, choć niezupełnie to miałem na myśli. Stałem się zgorzkniały, podejrzliwy, pełen uprzedzeń. Wszędzie dopatrywałem się niskich pobudek działania. Dopiero potem - to było cudowne, być kocHarrym w taki sposób, jak ty to robiłaś.

- Rozumiem - powiedziałaś wolno. Przypomniam sobie historię, którą mi opowiedział. Dopiero teraz zauważyłam pewne nieścisłości. Przedtem uszły one mojej uwagi. Fakt, że miał pieniądze, skoro mógł zaproponować Nadinie odkupienie diamentów, sposób, w jaki opowiadał o obu mężczyznach - jakby był kimś stojącym z boku. Kiedy mówił „mój przyjaciel”, miał na myśli nie Eardsleya, lecz Lucasa. To Lucas był owym cichym, spokojnym chłopcem, który tak mocno i głęboko pokochał Nadinę.

- Jak do tego doszło? - zapytałam.

- Obaj byliśmy szaleni - pragnęliśmy polec. Pewnej nocy zamieniliśmy się znakami identyfikacyjnymi - na szczęście. Następnego dnia Lucas zginął. Rozerwało go na strzępy.

Zadrżałam.

- Ale dlaczego teraz mi tego nie powiedziałaś? Dzisiaj rano? Przecież nie mogłaś już wątpić o moim uczuciu.

- Bałem się, że to wyznanie mogłoby wszystko zepsuć. Chciałem cię zabrać z powrotem na wyspę. Cóż mogą dać człowiekowi pieniądze? Szczęścia nie da się kupić. Na wyspie byliśmy tacy szczęśliwi. Boję się innego życia. Już raz omal mnie ono nie wykoleiło.

- Czy sir Eustachy wiedział, kim naprawdę jesteś?

- O tak.

- A Carton?

- Nie. Widział nas kiedyś razem z Nadiną, ale nie rozróżniał mnie i Lucasa. Bez zastrzeżeń przyjął moje zapewnienie, że nazywam się Lucas. Nadina została wprowadzona w błąd jego telegramem. Lucasa nigdy się nie obawiała. On był bardzo spokojny. Natomiast ja miałem diabelski temperament. Nadina umarłaby ze strachu, gdyby się dowiedziała, że żyję.

- Harry, co byś zrobił, gdyby pułkownik Race nie odkrył przede mną prawdy?

- Nic. Nadal funkcjonowałbym jako Lucas.

- A miliony twojego ojca?

- Dostałby je Race. Z pewnością zrobiłby z nich lepszy użytek niż ja. Anno, o czym teraz myślisz? Ty przecież drżysz.

- Niemal żałuję, że pułkownik Race nakłonił cię do tego wyznania - odparłam powoli.

- Nie, miał rację. Zaslugujesz na to, aby poznać prawdę.

- Harry zamilkł na chwilę, a potem wyrzucił z siebie gwałtownie: - Wiesz, Anno, jestem o niego zazdrosny. On cię tak kocha. On jest wielkim człowiekiem. Ja taki nie jestem ani nigdy nie będę.

Odwróciłam się do niego ze śmiechem.

- Harry, głuptasie, to przecież ciebie pragnę, nikogo innego.

Gdy tylko sytuacja na to pozwoliła, wróciliśmy do Kapsztadu, gdzie czekała zniecierpliwiona Zuzanna. Razem wypatroszyłyśmy wielką żyrafę. Gdy zamieszki wreszcie ucichły, w Kapsztadzie pojawił się też pułkownik Race. Zaproponował, by użytkować wielką willę w Muizenbergu, należącą niegdyś do sir Laurence'a Eardsleya. Przenieśliśmy się do niej.

Zaczęliśmy układać plany na przyszłość. Zuzanna i ja miałyśmy wrócić do Anglii, mój ślub miał się odbyć w jej londyńskim domu. Wyprawę należało oczywiście kupić w Paryżu. Planowanie tych wszystkich szczegółów sprawiało Zuzannie wielką radość. Mnie także. A jednak przyszłość wydawała mi się jakby nierealna. Czasami, zupełnie bez powodu, czułam, że się duszę, że brak mi tchu.

Nadeszła ostatnia noc przed odjazdem. Nie mogłam spać. Czułam się przygnębiona, choć nie wiedziałam dlaczego. Nienawidziłam myśli o wyjeździe z Afryki. Czy kiedy powrócę, wszystko będzie takie samo? Czy kiedykolwiek można przeżyć to samo po raz drugi?

Usłyszałam zdecydowane pukanie w okiennicę. Zerwałam się. Na werandzie stał Harry.

- Ubierz się i wyjdź. Muszę z tobą pomówić.

Narzuciłam coś na siebie i wyszłam na dwór. Owiało mnie chłodne, nocne powietrze, ciche i pachnące, i miękkie jak aksamit. Odeszliśmy od domu na taką odległość, by nikt nie mógł nas usłyszeć. Harry był blady, oczy mu błyszczały. W jego głosie brzmiała prawdziwa determinacja.

- Anno, czy pamiętasz, jak powiedziałaś, że kobiety, gdy kogoś kochają, z radością zrobią dla niego wszystko, nawet jeśli tak naprawdę nie mają na to ochoty?

- Oczywiście - odparłam, zastanawiając się, do czego zmierza.

Porwał mnie w objęcia.

- Anno... jedź ze mną... teraz... tej nocy. Wracajmy do Rodezji, na naszą wyspę. Nie mogę znieść tych błazeństw tutaj. Nie wytrzymam bez ciebie ani chwili dłużej.

- A moje paryskie suknie? - jęknęłam płaczliwie.

Do dziś dnia Harry nie wie, kiedy mówię poważnie, a kiedy żartuję sobie z niego.

- Do diabła ze wszystkimi paryskimi toaletami. Czy myślisz, że ja mam zamiar ubierać cię w jakieś suknie? O wiele bardziej pragnę je z ciebie zedrzeć. I zamierzam to zrobić. Nie pozwalam ci stąd odjechać, słyszysz? Należysz do mnie. Jeśli cię teraz puszczę, mogę cię utracić. Nie mogę być ciebie pewny. Pojedziesz ze mną dzisiaj - zaraz - do diabła z tym wszystkim.

Przyciągnął mnie do siebie i zaczął całować tak gwałtownie, że niemal straciłam dech.

- Nie mogę dłużej żyć bez ciebie. Po prostu nie mogę. Nienawidzę pieniędzy. Niech Race je sobie zatrzyma. Chodź, Anno, idziemy.

- A moja szczoteczka do zębów? - zaprotestowałam.

- Kupisz sobie nową. Wiem, że jestem szaleńcem, ale na miłość boską, chodźmy już.

Ruszył przed siebie szybkim krokiem. Podążyłam za nim niczym ta potulna kobieta z plemienia Barotsi, którą widziałam nad Wodospadem Wiktorii, z tą tylko różnicą, że ja nie dźwigałam na głowie patelni. Harry narzucił takie tempo, że trudno mi było dotrzymać mu kroku.

- Harry - powiedziałam wreszcie płaczliwym głosem - czy masz zamiar iść pieszo aż do samej Rodezji?

Wybuchnął śmiechem i przytulił mnie do siebie Jestem szalony, najdroższa, wiem o tym. Ale tak bardzo wiec parę szaleńców. Harry, nie zapytałeś mnie nawet o to, ale zapewniam cię, że z mojej strony nie jest to żadne poświęcenie. Ja także tego pragnęłam.

## XXXVI

To wszystko wydarzyło się dwa lata temu. Nadal mieszkamy na wyspie. Przede mną, na stole z surowego drewna, leży stary list od Zuzanny.

*Drogie dzieci w lesie - szaleńcy w miłości!*

*Nie jestem zaskoczona - ani trochę. Przechwały ten czas, kiedy rozmawialiśmy o Paryżu i toaletach, czułam, że to się nie ziści, że pewnego dnia po prostu znikniecie, by zawrzeć związek pod gwiazdami i księżycem, zgodnie z cygańskim obyczajem. Jesteście parą szaleńców. Pomysł zrzeczenia się całej fortuny to po prostu absurd. Pułkownik Race chciał się z Wami spierać, ale go przekonałam, aby odłożył sprawę na później. Będzie zarządzał majątkiem w imieniu Harry'ego, nic więcej. Bo przecież żaden miesiąc miodowy nie trwa wiecznie - ponieważ nie ma Cię przy mnie, Anno, mogę Ci to spokojnie powiedzieć, nie ryzykując, że rzucisz się na mnie z pazurkami niczym rozzłoszczona kotka. Miłość w samym sercu dżungli dobra jest na krótki czas, ale pewnego dnia zaczniesz marzyć o domu na Park Lane, wytwornych Jutrach, kreacjach prosto z Paryża, o największym samochodzie i najnowszym modelu dzieciennego wózka, o francuskiej pokojówce i szkockiej niani. Zobaczysz sama.*

*Ale na razie, drodzy szaleńcy, ciągle trwa Wasz miesiąc miodowy i pozwólcie, aby trwał jak najdłużej. Pomyślcie o mnie od czasu do czasu, rozkosznie przybierającej na wadze i pławiącej się w dostatku.*

*Wasza kochająca przyjaciółka*

*Zuzanna Blair*

*PS. W prezencie ślubnym przesyłam Wam cały asortyment patelni i ogromną puszkę „pate de foie gras” [Pate de foie gras (franc.) - pasztet z gęsich wątróbek.], abyście o mnie pamiętali.*

Otrzymałam jeszcze jeden list, który też czasami odczytuję na nowo. Przyszedł w jakiś czas po liście Zuzanny, a towarzyszyła mu ogromna paczka. Nadany był gdzieś w Boliwii.

*Moja droga Anno Beddingfeld!*

*Nie mogłem się oprzeć pokusie napisania do Pani Powodowała mną nie tyle przyjemność samego pisania, ile świadomość, jaką radość sprawi Pani otrzymanie mojego listu. Nasz przyjaciel Race nie okazał się aż tak mądry, za jakiego się uważał.*

*Myślę, że mogę mianować Panią swoim agentem literackim. Przesyłam Pani mój dziennik. Race i jego ludzie nic w nim dla siebie nie znajdują, sądzą natomiast, że niektóre fragmenty mogą zainteresować Panią. Może je Pani wykorzystać. Sugeruję artykuł do „Daily Budget”: „Przestępcy, których spotkałam”. Zastrzegani sobie tylko, że to ja mam być główną postacią.*

*Nie wątpię, że obecnie nie jest już Pani Anną Beddingfeld, lecz lady Eardsley, królującą na Park Lane. Pragnę podkreślić, że nie żywię do Pani żadnej urazy. Trudno jest oczywiście zaczynać karierę od nowa, zwłaszcza w moim wieku, ale między nami mówiąc, dysponuję pewnym rezerwowym funduszem, odłożonym wiośnie na wypadek podobnych okoliczności. Bardzo mi się teraz przydaje. Nawiązałem też sporo użytecznych znajomości. A propos, gdyby spotkała Pani*

*kiedyś naszego zabawnego przyjaciela, Arthura Minksa, proszę mu powiedzieć, że nie zapomniałem o nim. To mu dopiero napędzi stracha.*

*Do całej sprawy podszedłem w duchu chrześcijańskiego przebaczenia. Nawet wobec Pagetta. Słyszałem, że on, a raczej pani Pagett, urodziła szóste dziecko. Niebawem cała Anglia będzie zaludniona małymi Pagettami. Posłałem dla dziecka srebrny kubek i kartkę, w której wyraziłem chęć zostania ojcem chrzestnym. Już widzę, jak Pagett bierze kartkę i kubek, i niesie je prosto do Scotland Yardu bez cienia uśmiechu na twarzy.*

*Żegnajcie, marzycielskie oczy. Pewnego dnia zrozumie Pani, jakim błędem było odrzucenie mojej propozycji małżeństwa.*

*Pani na zawsze Eustachy Pedler*

Harry był wściekły. W tym punkcie absolutnie nie jesteśmy zgodni. Dla niego sir Eustachy jest kimś, kto usiłował mnie zamordować i kto jest odpowiedzialny za śmierć jego przyjaciela. Ataki sir Eustachego na moje życie zawsze mnie zdumiewały. Jakoś mi nie pasują do jego obrazu. Poza tym jestem przekonana, że on mnie w gruncie rzeczy bardzo lubił.

Dlaczego więc dwukrotnie usiłował pozbawić mnie życia? Harry twierdzi, że dlatego, iż jest „przeklętym łajdakiem”. Jego zdaniem, to tłumaczy wszystko. Zuzanna jest bardziej wnikliwa. Rozmawialiśmy kiedyś na ten temat i Zuzanna nazwała działania sir Eustachego „kompleksem strachu”. Zuzanna skłania się ku psychoanalizie. Uważa, że całe życie sir Eustachego podporządkowane było pragnieniu bezpieczeństwa i wygody. Miał silnie rozwinięty instynkt samozachowawczy. Zamordowanie Nadiny pozbawiło go pewnego rodzaju hamulców. Jego późniejsze działania nie wynikały z niechęci do mnie, lecz były rezultatem obaw o własne bezpieczeństwo. Myślę, że Zuzanna ma rację. Co się zaś tyczy Nadiny, to ta kobieta zasłużyła sobie na śmierć. Mężczyźni mogą stosować różne, także niezbyt szlachetne metody, aby dojść do pieniędzy, natomiast kobiety nigdy nie powinny dla osiągnięcia niskich celów udawać, że są zakochane, jeśli naprawdę nie są.

Z łatwością potrafię wybaczyć sir Eustachemu, ale Nadinie nie wybaczę nigdy, nigdy, nigdy!

Pewnego dnia rozpakowywałam jakieś pakunki poowijane w stare numery „Daily Budget”, gdy nagle wpadł mi w oko tytuł Mężczyzna w brązowym garniturze. Mój Boże, jakże to było dawno temu! Oczywiście zerwałam kontakty z „Daily Budget”. Zrobiłam to, zanim jeszcze oni zerwali ze mną. MÓJ ROMANTYCZNY ŚLUB cieszył się wielkim zainteresowaniem publiczności.

Mój syn leży na słońcu, wymachując nogami. To jest mężczyzna w brązowym garniturze, jeśli chcecie. Ma na sobie tyle co nic, co jest najpraktyczniejszym strojem w Afryce, a jego skóra brązowi się niczym jagoda. Uwielbia grzebać w ziemi. Myślę, że odziedziczył to po papie. W przyszłości będzie miał to samo zamiłowanie do plejstocenijskiej gliny. Gdy się urodził, Zuzanna przysłała telegram: „Gratulacje i wyrazy miłości dla najnowszego przybysza na Wyspie Szaleńców. Jaką ma czaszkę, brachycefaliczną czy dolichocefaliczną?”



Nie miałam zamiaru tego tolerować nawet ze strony Zuzanny. Moja odpowiedź zawierała jedno jedyne słowo, jasno określające mój punkt widzenia: „Łysocefaliczną.”